

S122

[1,2]

572 511

S. 122[1]





522511  
BIBLIOTEKA PODRÓŻY 4

I MALOWNICZO - HISTORYCZNYCH OPISÓW  
RÓŻNYCH KRAJÓW,

WYDAWANA

PRZEZ

~~Adama Zawadzkiego.~~ //

Serya pierwsza.

NOWE ŚWIATY,

przez

P. Niboyet.

*Levanthos Buch*  
W I L N O.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego

1857.

CBGİOŚ, ul. Twarda 51/55

tel. 22 69-78-773



Wa5150254

Podróże  
<http://rcin.org.pl>

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komite-  
cie Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno,  
17 Maja 1856 roku



Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.

S. 122 [1]

*[Handwritten signature]*

### **Kilka słów Wydawcy.**

---

**W** obecnym czasie, gdy zamięłowanie w literaturze, w czytelnictwie w ogólności, w różnych prowincjach kraju naszego, coraz to szerszego rozwoju i silniejszego wzrostu nabiera, gdy coraz nowe zastępy czytelników i czytelniczek, chciwych lżejszej wprawdzie tylko umysłowej strawy, przybywają; pomimo obfitości nowszych utworów, pomimo ciągle na polu piśmiennictwa pojawiających się nowych imion; liczba ksiąg nieutrudniających umysłu poważniejszą pracą i studjowaniem przedmiotu, jednym słowem odnoszących się do beletrystyki, w popularnem tego nazwania znaczeniu, nie jest wcale dostateczną.

Ten brak w ogólnej konsumpcyi literatury, tem dotkliwiej czuć się daje, gdy publiczność czytająca w belletrystyce, radaby jak najczęściej spotykać się tylko z kilku imionami wybrańszych mistrzów, jako Kraszewskich, Korzeniowskich, Chodźków, Rzewuskich, Kaczkowskich; do którego to tak szczupłego zodyaku, w ostatnich czasach nieliczne tylko gwiazdki przybyły, jakiemi są np. Tripplin, Wilczyński, Pług, Padalica, Felińska, Nieviarowski; z innemi zaś jest wybredniejszą, ostrożniejszą i niekiedy tylko chyba dla zaspokojenia dokuczającego głodu literackiego, acz z trudnością do nich się skłania. A wszakże, przy całej płodnej twórczości tego najwytrwalszego pracownika w winnicy Kraszewskiego, przy całej łatwości, a niemniej starannem i artystycznym opracowywaniu utworów Korzeniowskiego, i innych wyżej przytoczonych imion, możnaż wymagać, mając jakiegokolwiek wyobrażenie tego niełatwego procederu tworzenia artystycznego, możnaż oczekiwać, iżby oni jedni cały ciężar dnia i upalenia ponosili, a na coraz nowo rodzące się potrzeby czytelników, sami wystarczyć mogli, zwłaszcza gdy ci, na głębsze i poważniejsze studia nie chciwi, tak zwanej tylko belletrystyki pragną? Jakże tu zaradzić temu ciągle powstającemu niedostatkowi? A godziż się, sumiennie powołanie

swoje pojmującemu wydawcy, czytelników pragnących posilnej, zdrowej strawy, karmić przekładami zwłaszcza francuzkiej szalonej literatury i powiększać jeszcze liczbę lichych i tak literaturę naszą tej gałęzi, przepelniających tłómaczen utworów owej szkoły, która dzięki Bogu już upadła prawie, a u nas nie jedną poczwią przewróciła głowę, nie jedno niewinne zatrula serce?

W naszym zawodzie wydawniczym, w czasie nawet wielkiej na polu literatury ojczystej ciszy, zawsześmy tak się kierowali, iżby jak najmniej obdarzać ją przekładami romansów i powieści pomienionej szkoły; a przy imionach znakomitych, woleliśmy mniej świetnym własnym, raczej w oficynie naszej dać prawo obywatelstwa, niżeli w wydawaniu przekładów takich, źle zrozumianej acz ponętnej szukać spekulacyi. Dzisiaj też widząc coraz wzrastające potrzeby duchowe i popęd do czytelnictwa chociaż lżejszej treści, postanowiliśmy zaspakajać je, o ile pojedyncze siły nasze wydołają, dla zastąpienia braku w belletrystyce czuć się dającego, wydawaniem przekładów z tej gałęzi literatury, która zawsze wielki powab, nieprzeparty pociąg dla czytelników najróżnorodniejszych usposobień mieć będzie, gdyż działa na wrażliwszą władzę duszy naszej, na wyobraźnię i wrodzoną naturze ludzkiej ciekawość drażni. Bo i jakże nie mia-



łoby to żywego w czytelnikach obudzać interesu, jak się u dalekich ludów, lądami i morzami od nas przedzielonych dzieje? jak tam wygląda natura, owa Przedwiecznego Mistrza wszechmocną ręką zdziałana dekoracya, przed którą czyny ludzkie i wypadki dziejowe przechodzą?

Tak więc przedsięwzięliśmy obdarzać czytelników i łaskawe czytelniczki wyborem głównie opisów podróży, które nie już suche statystyczne lub powszechnie wiadome szczegóły obyczajów i zwyczajów, albo wreszcie tylekroć powtórzone anegdoty zawierają, lecz takie jedynie, w których autorowie pełni talentu i wielostronnemi poglądami i malowniczymi a nowemi obyczajowo-historycznemi opisaniami się odznaczają.

Do tego zbioru wejdą przedewszystkiem opisy stron zamorskich, mniej znanych, mniej często przedstawianych, do których wszakże podróżnicy europejscy, dzięki coraz to więcej ułatwionemu przejazdowi za pomocą szybkich parowców, coraz częściej się przedzierają, z bogacając opisy tych krain nowemi a interesującemi spostrzeżeniami.

Niekiedy wszakże powrócimy i do starej matki cywilizacyi naszej Europy, lecz tu wybór nasz jeszcze ściślejszym będzie, a padnie jedynie na opisy w oryginalne i niepospolite szczegóły i po-

strzeżenia bogate, i których sława już ustalona w obcych literaturach tej gałęzi.

Francuzcy podróżopisarze, których godłem po większej części, *utile dulci*, pełni dowcipu, trafnych a niezwykłych spostrzeżeń, i innych świetnych barw w swych opisach, gdzie i część anegdotyczna, tyle nieraz budząca gorącego interesu, nie jest zapomniana, głównego dostarcza do naszego przedsięwzięcia materiału, z którego wszakże z właściwą oględnością korzystać nie o-mieszkamy. Niekiedy jednak i mglistego Albjonu podróżopisarze wystąpią w naszym zbiorze, zwłaszcza gdzie przy właściwej im sumiennosci i wierności opisów i powyżej napomknione świetniejsze przymioty ich sąsiadów napotkać się dadzą. Następnie, nie ograniczymy się na samych opisach podróży, lecz i malowniczo-historyczne opowiadania o różnych krajach, ich urządzeniach społecznych i t. p. wejdą do tej biblioteki.

W tym szeregu, przedstawiamy naprzód czytelnikom, a szczególnie wrażliwej wyobraźni czytelniczkom, dowcipny i malowniczo-anegdotyczny opis podróży do Ameryki południowej: Chili, Peru, wysp Oceanu spokojnego, Otaity, Markizów i t. d., przez *Niboyet*, który wielkie zrobił wrażenie we Francyi, a którego wybór pewnie nasi czytelnicy potwierdzą. W drugiej zaś seryi damy równie pię-

kny a malowniczy opis podróży do Szpicbergu przez panią Aunier; dalej pójdą podróże, do Kalifornji, Stanów-Zjednoczonych, Australji; później wrócimy może do Europy podróżą po pięknej Hiszpanii i staraniem naszym będzie karmić czytelników świeżemi nieużytemi wrażeniami i coraz to pożywniejszej, smaczniejszej dostarczać im umysłowej strawy.

Każda serya stanowi skończoną w sobie oddzielną całość, i każda też oddzielnie nabywać się może.

**Wydawca Adam Zawadzki.**

**W Styczniu 1857 roku.**

NOWE ŚWIATY.

Podróż Anagnotycka.

PO OCHRONIE SPOROJNYM

1776

Wydawnie Niborot

**N O W E   Ś W I A T Y .**

WILSO

Wydawnie J. Niborot J. Niborot J. Niborot

1776

NOWE SWIATY



**NOWE ŚWIATY.**

**Podróż Anegdotyczna**

**PO OCEANIE SPOKOJNYM**

przez

**Paulina Niboyet.**

*Przetłomaczył z Francuskiego*

Jerzy Laskarys.



**W I L N O.**

**Nakładem i Drukiem Józefa Zawadzkiego.**

**1 8 5 6.**

**Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie  
Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 17 Maja  
1856 roku.**

**Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.**

## SPIS RZECZY.

---

	<i>Stronica.</i>
WSTĘP . . . . .	5
ROZDZIAŁ I. Wyjazd z Hawru.— <i>Staoueli</i> .—Pasażerowie. — Rozrywki na pokładzie. — Zachód słońca pod zwrotnikiem. — Prawda o niebie równikowém. — Noc księżycowa pod odkrytém niebem . . . . .	11
ROZDZIAŁ II. Że wszystko jest względnem.—Dobra strona niepomyślnego wiatru. — Spotkanie Flotylli z <i>Bordeaux</i> . — Przejazd mimo ciasniny Gibraltarskiej. — Wojenny bryg daremnie nas ściga. — Czarny słup. — Zbliżenie się do równika. — Deszcz z fasoli. — <i>Ojciec równik</i> . — Chrzest — Dręczenie krawca . . . . .	23
ROZDZIAŁ III. Powrót do zwykłych rozrywek na pokładzie. — Burza zniesiona. — Rozbicie się okrętu jest tylko uszkodzeniem. — Ziemia Stanów. — Dla czego Magellan nazwał ją <i>ognistą ziemią</i> . — Co marynarze nazywają tabaką. — Przyładek Horn. — Śtraszna nawałnica. — Płyniemy o milę	

od *Diego-Ramirez*.—Jakim sposobem polowanie na Albatrozy zmienia się w połów na wędę.—Wpływamy na Ocean Spokojny.—*Talcahuana*. Tkliwa Dydona. — Wzruszenie przy przybiciu do brzegu. — Kordyliery lub Andy.—Spostrzeżenie ich o mil czterdzieści.—Ziemia . . . . . 34

ROZDZIAŁ IV. Walparaizo nie trafnie nazwane.—Przystań.—Staoueli zatrzymuje się między dwoma statkami z Bordeaux.—Stacya francuzka.—Dywizya angielska.—Wylądowanie.—Zewnętrzny i wewnętrzny widok miasta.—*Placuela de la Aduana*.—Przegląd pasportów.—Rewizya pakunków.—Hotel Aubry.—Podobieństwo między Walparaizo i Pontoise.—Mały Paryż Ameryki południowej.—Don Manuel. — Kto on taki.—Staje się przewodnikiem czytelnika . . . . . 43

ROZDZIAŁ V. Chilijszyk.—Rys charakterystyczny. Izba skarbu.—Trudność dziwnym sposobem przełamana. — Kradzież bez wyłamania drzwi. Domy.—Dom generała Korteza. — Almendral. — Bulwar.—Walparaizo w nocy.—Teatr.—Urządzenie sali. — Publiczność. — Aktorowie. — Repertuar. — Orkiestra. — *Cavaliero*.—Przywileje obywatelskich synów.—Człowiek z ludu.—Chata chilijska. — Żebrak na koniu.—Pożycie ubogiego.—Stół bogacza.—*Olla-podrida*. — Wygórowana miłość zbytku.—Dwa przysłowia któreby zasłużyły na pochwałę Sancho . . . . . 51

ROZDZIAŁ VI. Wojsko chilijskie. — Oficerowie — Żołnierze. — Muzyka wojskowa. — Flota. — Jej wielkość.—Żegluga kupiecka.—Jej znaczenie.—*Serenos*.—Cel instytucyi.—Złodziej z przypadku. Sprawiedliwość zapobiegająca. — Tortoza.—Jak się zmuszają ludzie do mówienia prawdy.—Osada poprawcza przy cieśninie Magelańskiej. —

Wszystko jest dobrze na tym dobrym świecie.  
Konstytucya chilijska. — Władza. Zarząd. — Dy-  
plomaci. — Wychowanie publiczne. — Religia sta-  
nu. — Organizacya religijna państwa. — Finanse. **62**

ROZDZIAŁ VII. Postać Walparaizo w miesiącu Li-  
stopadzie 1848 r. — Kalifornija — Emigracya. —  
Admiralska fregata *Poursuivante*. — Dzień ś.  
Barbary. — Boże Narodzenie. — Ożywienie miasta.  
Wyjazd do Santiago. — Powozy pocztowe. — Cor-  
reo. — Stacya. — Jakim sposobem podróż się od-  
bywa. — Wspaniały widok z wierzchołda Andów.  
Santiago — Widok miasta. — Jakim sposobem zbu-  
dowane domy. — Monumenta. — Mennica. — Alame-  
da. — Tama Majpocho. — Towarzystwo w Santia-  
go. — Chilijska gościnność — Obyczaje. — Zwycza-  
je. — Mattee. — Śliczny zwyczaj. — Balkon don Ma-  
nuela. — Ogród botaniczny. — Historia zazdrości,  
chustki do nosa, przechodzącego mimo pana,  
i męża . . . . . **70**

ROZDZIAŁ VIII. Dwie Marykitty . . . . . **82**

ROZDZIAŁ IX. Dwie Marykitty, (ciąg dalszy). . . . **98**

ROZDZIAŁ X. Dwie Marykitty, (ciąg dalszy). . . . **112**

ROZDZIAŁ XI. Dwie Marykitty, (zakończenie). . . . **126**

ROZDZIAŁ XII. Uwagi autora nad historją dwóch  
Marykitt. — niesprawiedliwe przekonanie o Chi-  
lijkach. — Sprawiedliwe o duchowieństwie. —  
Szczęśliwe wyjątki. — Kraina złota. — Wyjazd.  
Walparaizo. — Czego najbardziej żałujemy w ży-  
ciu. — niespodzianie przerwane marzenie autora.  
Prawdziwy kamień filozoficzny. — Pies okrętowy  
nie istnieje równie jak burza. — Ocean Spokojny  
usprawiedliwia swoje nazwanie. — Przykłady. —  
*Alkmena*. . . . . **150**



ROZDZIAŁ XIII. Temperatura powietrza w Peru 6  
 Stycznia 1849 roku. — San-Lorenzo. — Ostatnie  
 szczątki rozbitej *Meduzy*. — Prosta uwaga z tego  
 powodu. — Najlepszy sposób wylądowania. —  
 Umiejętność pozyskania szczęścia. — Kallao. —  
 Widok zatoki. — Widok miasta. — Dylizanse peru-  
 wjańskie ze starych omnibusów paryzkich. —  
*Deus ex machina*. — Zegarmistrz z Luson. —  
 Droga z Kalao do Limy. — Don Ambrozio d'Iggius,  
 margrabia Orsono. — Drugi przyładek Horn. —  
 Legua. — Kaplica Najświętszej Panny. — Sławne  
 drzewo. — Zręczny sposób proszenia jałmużny. 160

ROZDZIAŁ XIV. Przyjazd do Limy. — Brama miej-  
 ska. — Zawód. — Ogólny widok. Rzut oka na  
 Limę ze stanowiska historii i poezyi. — Lima  
 taka jaką jest. — Skutki trzęsienia ziemi. — Mą-  
 dre środki wynalezione przez rząd Limy. —  
 Plac *los portales*. — Sagrario zewnątrz i we-  
 wnątrz. — Srebrny ołtarz. — Użyty na kosztą  
 wojenne zastąpiony nakładaniem srebrem. —  
 Uwagi z tego względu. — San-Domenico i Santa  
 Rosa. — Sześćdziesiąt innych kościołów w Limie.  
 Ich ozdoby i rzeźby. — Wszyscy bez wyjątku mu-  
 szą klękać na kamieniu. — Przed Bogiem wszyscy  
 ludzie równi. — Zniesienie smutnego zwyczaju. —  
 Wyłączny charakter processyi peruwjańskich.  
 Historia *Perichole*. . . . . 172

ROZDZIAŁ XV. *Alameda*. — Most na *Rymaku*. —  
 Łazienki. — Zwyczaje peruwjańskie. — *Arka*  
*przymierza* życia limeńskiego. — Anekdota  
 z tego powodu. — *Saya*. — Lima jest rajem ko-  
 bięt, czyscem mężczyzn, piekłem osłów. —  
 Cyrk. — Walka byków. — Straszne widowisko.  
 Teatr. — *Tertulia*. — *Sbacueca*. — *Panteon*. —  
 Publiczne zabudowania w Peru. — Twierdza Ku-  
 sko. — Świątynia peruwjańska. — Świątynia Kal-

lao w Kajambie. — Świątynia Wirakocha. — Prywatne peruwjańskie pałace i domy. — Drogi i wodociągi. — Klasztor San-Francisko. — Sala umartwień. — Ptastwo. . . . . 184

ROZDZIAŁ XVI. Z Kallao do wysp markizkich. — Wspomnienia z Dumont-d'Uroill'a, Kook'a Kruzensterna i hrabiego Saint-Germain. — Dominika. — Wyspa ptaków. — Nuka-Hiwa. — Pływające kije. — Nowa komunikacja. — Korsarze na Oceanie Spokojnym. — *Róża-Sekunda* z Walparaizo. — Wyspy *Gallopagos*. — Zdobyć chwyconą przez *Papeetę*. — Zarzucamy kotwicę. — Zatoka. — Zakłady francuzkie. — Ulica Bucefała. — Cementarz. — Ogród *Galatei*. — Kanaki. — Taipii. — Whayny. — Komomu-Titot. — *Śpiew prosiący*. 201

ROZDZIAŁ XVII. Ważność *Nuka-Hiwy* jako cytadelli na Oceanie Spokojnym. — Jój przyszłość. — Jój środki. — Hong-Kong. — Kanak. — Missijonarze katolicy. — Religija kanacka. — *Tabu*. — Najwyższy kapłan. — Śmierć jego — Zwyczaje z tego powodu. — Pogrzeb najwyższego kapłana w Nuka-Hiwie. — Sztuki piękne na wyspach Markizów. — Jak się pisze historia. — Wyjazd z Nuka-Hiwy. — *Alkmena* zmuszona oczekiwać na *Różę-Sekundę*. — Opóźnienie. — Wyspy Łazarew i Kruzenstern. — Wyspy *Pomotu*. — Dla czego nazywają się Nizkimi albo Niebezpiecznymi. — *Alkmena* zatrzymuje się koło Taiti. . . . . 216

ROZDZIAŁ XVIII. Otaita — Moorea. — Fatarea. — Ich widok. — Zatoka. — Papeete. — Wrażenie na widok miasta. — Wsteczny rzut oka. — Port. — Jego otwarcie. — Prędkość komunikacji między Otaiti i San-Francisko. — Przyszłość i bogactwo wyspy. — Królowa Pomare. — Czém jest w istocie. — Skutki sprawy Pritszarda. — Otaitczykowie i Otaitki. —

Ich zwyczaje.—Pomieszkania europejskie w Pa-  
peite. — Budowle francuzkie.—Rząd. — Teatr.—  
Kościół Katolicki.—Przegląd wojska.—Jaka ko-  
rzyść z odbycia sześciu tysięcy mil podróży. 224

Rozdział XIX Jak w 1848 r. można się było  
uważać za szczęśliwego, znajdując chociażby  
rybacki statek udający się gdzieindziej jak do  
Kalifornii. — *Logan* z New-Bedfordu.—P. Nik-  
kelson. — Kuchnia okrętowa. — *Whale*.—Dzień  
stracony. — Dyplomacya F. Nikkelsona.—Połów.  
Uzbrojenie rybackich okrętów.—Są okręty nie-  
szczęśliwe.—Przygotowania do wydobywania tłu-  
szczu.—Szturm.—Wieloryb wpada do wody.—  
Zimna krew kapitana.—Sztukamięsa z wielo-  
ryba wzięta za wołowinę. . . . . 233

Rozdział XX. Wyspy Sandwickie albo Hawai.—  
Wyspa Hawai. — Hilo. — Dom p. Pitman.—  
Twierdza. — Żołnierze Kanaccy.—Krajowcy.—  
Kobiety.—Ubiory Parani. — Ksiądz \*\*\*. — Jego  
mieszkanie. — Poi —Taro. Taropassy — Wy-  
cieczka w głąb' wyspy.—Nuna-Roa. — Muna-  
Kea —Wspomnienia wywołane przez te dwa na-  
zwania.—Roślinność.—Wspaniałość krateru. —  
Msza odprawiona przez księdza \*\*\*. — Proste  
porównanie. — Sielskie śniadanie. — Powrót do  
Hillo.—Płyniemy dalej. . . . . 240

Rozdział XXI Maui—Molokoi.—Kapitan Nikkel-  
son czuje potrzebę odwiedzenia starej znajo-  
mój.—Logan dąży do lądu. — Ożywiona Cyklo-  
rama. — Lahaina. — Widok miasta przybywając  
od strony Hawai.—Port.—Królewska rezyden-  
cyja.—Kościół protestancki.—Ulice. — Bicie stra-  
ży.—Hotel francuzki.—Rodak. — Trochę poezji  
z powodu wygnanego Watel'a.—Wiktor Chance-  
rel.—Jak to szczęśliwie, kiedy można pogwarzyć

o sztuce.—Przechadzka po polu.—Czarowna kra-  
ina.—Nocni stróże. . . . . 253

ROZDZIAŁ XXII. Wyjazd z Maui.—Wyprzedzamy  
statki hawajskie, które potem nas wyprzedzają.  
Rozpacz kapitana Nikkelsona.—Sternik.—Rozbi-  
cie się okrętu w porcie.—Cypel dyament.—Wi-  
dok Honolulu z morza.—Dolina Nu-a-nu.—Aleje  
z kokosowych drzew.—Autor zaprasza czytelnika  
do siebie na popas. — Trochę historyi. — *Ka-  
meha-Meha I.*, nazwany Wielkim.—Zakłada  
monarchię.—Dzień Pari, Francuz przyczynia się  
do zasiania na wyspach Sandwicz pierwszych  
nasion cywilizacyi. — Prędkie postępy.—*Lio-Lio*  
wstępuje na tron po *Kameha-Meha I.*—Przyj-  
muje na się posłannictwo cywilizatora przeka-  
zane mu przez ojca.—Znosi *Tabu*.—Jego śmierć  
w Londynie. . . . . 264

ROZDZIAŁ XXIII. Archipelag Hawajski. — Wyspy  
do niego należące.—Honolulu stolica państwa.  
Port. — Wybrzeże. — Komora celna —Pałac.—  
Kościoły.—Domy prywatne. — Sprzecznosc.—  
Król.—Ministrowie.—P. Wyllie.—Doktor Judd.  
P. Armstrong. — *Dom Rządowy* — *Polynesian-  
office*.—Wydawnictwo na wyspach Sandwicz.—  
Wojsko. — Marynarka. — Pańszczyzna. — Lista  
cywilna. — Budżet —Dochody.—Upiększenia.—  
Korzyści z wyspy *Oahu* dla kapitanów okręto-  
wych —Teatr, cyrk i *bowling-alléy*.—Trochę  
filozofii nie będącej nią wcale. — Autor wzywa  
czytelnika na konną przejażdżkę. . . . . 273

ROZDZIAŁ XXIV. Dolina Nu-a-nu.—Co znaczy i  
z kąd pochodzi ta nazwa.—Wyscigi kobiece.—  
Ich charakter.—Luau. — Imieniny królewskie.—  
Dla czego wyspa *Oahu* była wybrana na metro-  
polję archipelagu.—Jej położenie.—Płody wysp.

Drzewo Koa.—*Arow-root*.—Sandałowe drzewo.  
Dawniejsze dzieje archipelagu.—Wprowadzenie chrześcijaństwa.—Co kanakowie stracili przez cywilizację.—Czyjeś zdanie o tém.—Ten ktoś ma słuszość i niema jój razem. . . . . 286

ROZDZIAŁ XXV. Wyjazd z Honolulu.—Korweta francuzka *Gassendi*.—Fregata francuzka *Poursuivante*.—Spotkanie dwóch statków do połowu wielorybów.—Bryg *El Delphin* z Walparaizo. *Los Farallones* — Konieczność dobrego oznaczenia tych wysp.—Rossjanie mieli tu dawniej koloniję.—Wchód do zatoki San-Francisko. — *Saulito*.— *Yerba-Buena*.— San-Francisko. — Szczególny widok tego miasta. — Wychodźcy, Dziwactwa i kaprysy losu. — *Bras-rouge*, syn byłego para Francii — Rząd. — Szybki rzut oka. Hotele. — Kalifornijczycy i Kalifornijanki. Ubior narodowy.—Konie.—Autor do czytelnika. Co jest dzisiaj San-Francisko.—Missjonarze.— Słówko o Australii. . . . . 293

ROZDZIAŁ XXVI. Wyjazd z San-Francisko. Statek *Oregon*. — Monterey. — Santa-Barbara. — Missja San-Luiz.—San-Diego. Wybrzeże.—Miasto.—Czerwoniawe morze. — Mazattan.—Strata francuzkiego okrętu *Roland*.— San-Blas — Forteca. — Przylądek *Lorrientes*. — *Człowiek na morzu*.—*Accapulco*.—Przybycie do Panamy. — Miasto — jego charakter. — *Padres* równika. Przebycie między-morza. — Wioska indyjska *Kruces*. — *Rio de Chagres*.— Statek *Tay*. — Kartagena.—*Santa-Martha*.—Cholera.—Doktor Valentin.—Marta. — Wyjazd do Europy.—Przymuszona bytność w *Saint-Thomas*.—Autor żegna się z czytelnikiem. . . . . 305





## W S T Ę P.

---

**L**askawe panie, jestem najlepszym przyjacielem autora tej książki; panowie, darujcie mi, że poniżej tych kilku następujących słów, nie wymieniam mojego nazwiska; pisząc je nie uprzedziłem przyjaciela, iż będę wam o nim mówić.

Nieco wyszukany tytuł *Nowych Światów*, może was zrazić do czytania tej książki, z bojaźni znalezienia w niej czysto-histerycznych opowiadań. Nie lękajcie się niczego podobnego: pierwsza stronica zachęci was do przeczytania drugiej i następujących aż do ostatniej. Rzeczywiście, podajemy wam opisy historyczne, treść ta sama, ale forma i punkt zapatrywania się odmiennie. Mój przyjaciel jako biegły artysta, wskazując drogę,

okrył ją wszystkimi kwiatami swej świetnej wyobraźni. W jego książce zmyślenie i prawda idą razem, zachowując jednak właściwy sobie charakter. Tak już wiele i dobrze mówiono o *Walparaizo*, *Limie* i *Oceanii*, że niewarto rozpoczynać podróży tym samym porządkiem. Przebiegać zaś po amatorsku już utartą drogę, urozmaicając ją ciekawymi ustępami, będzie to samo, co widzieć na nowo z zajęciem.

Dzieło mojego przyjaciela, co do formy jest prawdziwym romansem, pełnym młodzieńczego zapału, ciepła i konieczności wynurzania się. Gdzieś niedługo napotykanne odcienie ironii mogą obudzić przekonanie, iż autor podlega rozczarowaniu lub sceptycyzmowi,— w istocie ani jednemu, ani drugiemu. Wyjechawszy młodym i bez własnej chęci w dalekie kraje dla zrobienia kariery, cierpiął z powodu długoletniego oddalenia od stron rodzinnych, przeto bardzo często pod jego piórem ironia zagłusza boleść wspomnień. Filozofując w rodzaju Sterna, z uśmiechem mówi o swoich smutkach, i podaje przez ręce osób spotykanych w różnych stronach, najdelikatniejsze kwiaty swych uczuć. Kochamy go za jego ożywienie i weso-

łość, za łzy ukryte, za dojrzałość umysłu. Nie jest bynajmniej romanso-pisarzem z czarnemi myślami, prowadzącym swych bohaterów na szubienicę; przyjemny gaduła wie, że was z miasta do miasta, nie dla tego tylko, żeby pokazywać same budowle, lecz żeby wam dać poznać mieszkańców, a szczególnie płci pięknej. Co do mnie, który krok w krok postępowałem za nim z dokładnością wiernego przyjaciela, muszę wyznać, że nie znam nic oryginalniejszego i strojniejszego od Limenianek, i zachęcam was panowie, (mówiąc jego słowami) do towarzyszenia mu w jego rozkosznych przechadzkach.

Co do was panie, które może znacie Peru tylko z *Listów peruwiańskich*, pozwólcie się mu prowadzić, przebiegnie z wami drogę wielu stuleci, dla dowiedzenia, że jeżeli ziemia się obraca, to i kraje idą naprzód.

Wy płynicie z Hawru na *Staoueli*, wylądujcie w Walparaizo z dobrem i wesołym towarzystwem, w tem Walparaizo, inaczej nazwanem doliną Raju. Albo lepiej, wstąpcie na morze; płynicie w czasie pogody po przestrzeni *Oceanu Spokojnego*; rozpa-

miętywajcie, myślcie o miłości, o nadziei, będziecie miały nieskończoność za widnokrąg, znajdziecie poezję w ciszy i w samotności powierniczkę. Zechciejcie niekiedy posłuchać z uwagą opowiadania mojego przyjaciela, popatrzcie w dal na przedmiot, na który wymierzył teleskop, a nie wstając z waszej kanapy, zwiedzicie nowe światy, jakby spacerowym pociągiem kolei żelaznej, puszczo-  
nym całą siłą pary.

Mój przyjaciel rusza w drogę w całym pędzie swojego pióra, galopujcie z nim razem; nie wam to nie będzie kosztowało, oprócz przeczytania trzystu stronic. Iluż to ludzi ponosi więcej kosztów, żeby mniej widzieć. . . .

Czyż panna nie myślała, że mieszkańcy wysp Markizkich do dziś dnia częściej się okrywają piórami niż płótnem? Czyż pani nie zdarzyło się przypuszczać, iż ludożerstwo istnieje na wszystkich wyspach Sandwich? A pan-że czy nie zmniejszałeś postępu cywilizacyi w Ameryce? Idźcie więc razem przekonać się o dziwach czasu, podróżujcie z książką mojego przyjaciela, odbędziecie malowniczą podróż, pełną bogactw jedynie dla was

nagromadzonych, nie doznawszy wcale morskiej choroby i nieznośnego szumu lokomotywy.

Jedni wam dają pokarm dla umysłu, drudzy dla serca. Tu, autor obficie leje czystą źródła wodę; czujemy, iż książka jego powstała z iskier dowcipu — z ogniska duszy. Charakter stylu nosi na sobie te dwa piętna; myśli jak race unoszą się w górę i giną w nieskończoności; często głębokie pomysły etyczne zdradzają moralistę w romansopisarzu. Nigdzie nie znudzi — pedanterią nie zrazi. ..

Pani, a szczególnie ty panie, wybacz mi te kilka stronic wstępu, czyli raczej słów kilka poprzedzających książkę. Mógłbym cały tom napisać dla powiedzenia wam (o czem nie wiecie), że mój przyjaciel pełen dowcipu, dobroci, czułości i oryginalności, lecz wolę żebyście się pomału z nim zaznajomili. Odkryjecie jego przymioty; błędy bez mego wykazania: w pismach przebija się charakter autora.

A ty, kochany Paulinie, któryś tak skromny, że ja muszę brać się za pióro, żeby cię czytelnikowi przedstawić, bądź dobrej myśli. Niemcy cię

umieścić w liczbie najlepszych swoich pisarzy—  
 Francya równie wyznaczy twemu talentowi odpo-  
 wiedne miejsce. Pisz, pisz, głos przyjaciela za-  
 powiada ci powodzenie, chciej uwierzyć w prze-  
 powiednię pióra jego.

X. X.



## ROZDZIAŁ I.

**Wyjazd z Hawru.— Staouëli.— Pasażerowie.— Rozrywki na pokładzie.— Zachód słońca pod zwrotnikiem.— Prawda o niebie równikowem.— Noc księżycowa pod odkrytym niebem.**

### I.

**W** sobotę, 29 lipca 1848 r., odpływaliśmy z Hawru do Ameryki południowej.

Było to za czasów Rzeczypospolitej, a rok temu nazad, o tej samej godzinie obchodzono ostatnią rocznicę panowania Ludwika-Filipa.

Wspomnienie i sprzeczność zarazem: podnieśliśmy kotwicę pod wpływem tego podwójnego wrażenia.

Niebo było błękitne i przezroczyste, spokojny wietrzyk wiał od strony południowo-wschodniej, a morze zlekka się falowało, jak długie pole okryte obfitym kłosem; nasz wybór niczem się nie różnił od innych.

Zaiste, niema odjazdu bez pewnego dramatu, a porty morskie również jak bióra dyliżansowe i ambarkadery dróg żelaznych, są jakby przeznaczone na miejsce codziennych wzruszeń, smutnych, zdających się być wiecznemi pożegnań, przelewu łez, iż

tak powiem krwawych, wówczas, gdy obojętni mieszkańcy zdają się tego wszystkiego nie widzieć, ani się nawet domyślać.

Miasta na podobieństwo ludzi kończą rozczarowaniem się. Może ci dusza zamierać, może ci serce pękać, nie zwiększy się przez to ruch w mieście i w porcie, a płaszki siedzące w gniazdeczkach nie przerwą wesołej piosenki.

Możesz tu płakać, wypłakać łzy wszystkie — tam szczęśliwi ludzie śmiać się, bawić się będą..... a płacz twój tylko ich bardziej do śmiechu pobudzi. Nie gniewajcie się za to: życie bez sprzeczności byłoby obrazem bez cieniów — a Bóg tworząc wszystko, niczego przez pół nie stworzył.

Gdy ludzkość mieć będzie szkła takie do wykrycia ran serca, jakimi dziś patrzy na rany ciała, może się stanie mniej niemiłosierną, niedorzeczną będzie zawsze — bo to pochodzi z umysłu, a nie z serca....

Kilka statków przygotowujących parę, — kilku brukobojów z cygarem w ustach, — mijające się omnibusy, lecące w galop dyliżanse, ładowne wozy ciężko się poruszające, paki do wysłania lub przyjęcia, gryzetki wesoło rozmawiające przez okna, podsłuchujący ich studenci, zakochani, marzący o stałości, kupcy rozprawiający o cukrze, pobożnisie kupujący odpusty, kokietki sprzedające pocałunki, kawiarnie wypełniające się przychodniami, właściciele zajezdnych domów patrzący na odjeżdżających lokatorów, powietrze pełne krzyków i przekleństw, łodzie snujące się u brzegu, i wzdęte nieco żagle, oto obraz przy wyruszeniu okrętu.

Nasz statek — »Wielki i wspaniały kupiecki okręt mórz południowych« — jak się wyrażał afisz, — »bystry pod żaglem, ze wspaniałym pokojem dla pasażerów« — był mały trzy-masztowik marsowych kształtów i powierzchności.

Rodem: z Nantes.

Nazwiskiem: *Staoueli*.

Wiek: lat dziewięć.

Taki był jego pasport, należnie i dobrze podpisany, jawiony w magistracie, z *visto bueno para hacoc viage* (\*) konsulów wszystkich rzeczypospolitych Ameryki południowej.

Jeżeli kiedykolwiek pojedziecie do Hawru, — a któżby tam nie pojechał w tym czasie panowania kolei żelaznych? — rozpytujcie się o *Staoueli*, a wszyscy marynarze siedzący na słoncu wzdłuż grobli portowej, będą wam opowiadać na wyprzódki o świetnych dziełach, bohaterstwie i wyprawach tego diabła, jak niegdyś starcowie greccy, wspierając się na długich, zakrzywionych kijach, mieli we zwyczaju opowiadanie znakomitych czynów swych wnuków.

Przy odpłynięciu z Hawru, *Staoueli* oczywiście był jakby w złym humorze z powodu zbyt nagromadzonych na nim klatek z kurami, kit siana, stosów jarzyny, beczek z solonem sadłem, stajen dla owiec i worków z kartoflą, co wszystko razem utrudzało przejście na pokładzie. Podobny był do osiołka wracającego z targu, i zaraz można było po-

(\*) Po hiszpańsku znaczy: widziano, służy do dalszej podróży. Formuła używana przez władze przy podpisywaniu zajmianych pasportów.

znać, po niespokojnych jego podskokach, przyzwyczajenie do większej kokieterii i mniejszych niewygód; zapominając nawet na chwilę co winien swoim pasażerom, zaczął raz wierzgać wśród fali, jak młody koń puszczony na trawę. Na szczęście, dobrze przytwierdzony ładunek utrzymał się na pomoście.

Wkrótce *Staoueli* z wolna się uśmierzył, przejęty uczuciami pokoju, i dozwolił nam cieszyć się ostatnim odgłosem dolatującym z ziemi— ziemi francuskiej, dla której zostawiliśmy tyle przywiązania, a której wielu z nas niestety! nie miało już nigdy oglądać....

Wieczorem, gdy ciemniejszy niż zwykle księżyc przystroił się w swój gwiazdzisty wieniec, spostrześliśmy w dali jakby wpadające do morza blade, ale stałe światło...

— Ognie w *Barfleur*! krzyknęła straż.

— Ognie w *Barfleur*! powtórzył stojący przy rudlu.

Jeszcze to była Francya, przypatrywaliśmy się znowu. O północy wszystko znikło.— Ostatnie materialne węzły łączące nas z ziemią pękły!.... Odtąd morze i niebo były jedynemi towarzyszami naszej podróży..... Zaprawdę, można się było spotkać z czemś gorszem.

## II.

Choć *Staoueli* nie dotrzymał wszystkich obietnic umieszczonych w afiszu, nie będąc »Wielkim i wspaniałym kupieckim statkiem« miał jednak wysmukły przód, z łatwością wydymające się żagle, ładne i gruntowne maszty.

Był podobnym na przemiany to do młodego, andaluzyjskiego konia, który się wyrwał ze stajni, dziko potrząsając rozczochraną grzywą, to do młodej kreolskiej dziewczicy niedbale się hustającej na swoim hamaku, wyplecionym z płótna i słomy. Gdy zaś burza uderzała w liny i zapieniała wody, *Staoueli* piał się na rozżłoszczone fale, jak złe duchy w baladach na grobach dziewczę, i w fantastycznym skoku rzucał się w rozigrane wały, drżąc z radości, przy skrzypieniu i gwizdzie między rejami i namokłemi linami, które jak węże czepiały się boków jego. Kiedy raz drugi, lekki wietrzyk pieścił miłośnię *ptynną powierzchnię*, mówiąc stylem wielkiego stulecia,—wtedy nasz okręt, przyjawszy na siebie rolę kokietki, nachylał się to na prawo to na lewo, dla pocałunku Oceanu, a żagle jego spoczywały w cichym powiewie wiatru, jak kobieta w objęciu kochanka. Jednem słowem, posiadał niezbędne przymioty osób, które zwykliśmy kochać, to jest, ze wszechmiar był doskonałym!..

### III.

Skoro się złagodziły pierwsze smutki spowodowane odjazdem,—a pod słowem *smutki*, rozumiem wszystkie drobne przykrości towarzyszące rozpoczęciu morskiej podróży,—każdy z pasażerów zaczął szukać dla siebie punktu moralnej podpory. Nastąpiła chwila przerwania związanych stosunków, rodzaj przymierza, cichego zawieszenia broni. Chciano się wybadać dla gruntowniejszego zapoznania się, uwaga zajęła miejsce serdeczności..... która wróciła



na nowo, ale tą razą pełna prawdy i szczerości. — Wszyscy się wzajemnie pojęli i wybór był uczyniony.

Malarz z bardzo znakomitym talentem, o którym, tak łatwo zapominający Paryż, do dziś dnia wspomina: fortepianista mający za sobą zastęgę oryginalności w pomysłach, niepospolity inżynier, którego rząd chilijski potrafił dla siebie zjednać; dalej, ex-kollaborator P. Mulot, mający zamiar wydrażenia w gorących piaskach *Afryki* drugiej *studni Grenelle'a*, — należeli do naszego głównego sztabu, związanego sympatją, niewyłączając, ma się rozumieć, naszego kapitana okrętu, młodego i ślicznego marynarza, którego ujmujący i odznaczający się układ pomieszałyby szyki w wielu wodewilach pana Skrybe.

Raz ustaliwszy stosunki, byliśmy doskonałymi posażerami, pojmując życie i żyjąc wesoło, jedynym sposobem jakim je można spędzać na pokładzie. Mieliśmy obfity zapas żywności, przednie wino, wyborowego kucharza, przyzwoity przybór stołowy, i, dzięki rozmaitym nie nazbyt różnorodnym przedmiotom, z łatwością potrafiliśmy sobie we wszystkim dogodzić.

Niestety! przyznać to trzeba, że wygoda jest głównym celem życia na pokładzie, a obiad pamiętym wypadkiem dnia każdego.

Mieliśmy jednak przytem myślistwo i rybołówstwo.... niewyczerpane źródła przyjemności.... wieczorem muzykę, a w wolnych chwilach zebrani po dwóch, po trzech, rozmowy w których się wynurzały serca i dowcip błyszczał.

Rzecz dziwna! Pan A. L\*\*, nasz malarz, mieszka-



jąc w Paryżu od lat piętnastu, był w przyjaźni z moimi przyjaciółmi, w stosunkach z memi znajomymi, znajdował się razem ze mną i o jednej godzinie w wielu salonach, i trzebaż nam było spotkać się na Oceanie, w pokoju trzydziestu stóp kwadratowych wielkości, żeby się aż tam dopiero zapoznać!....

Ileż to z tego powodu mieliśmy miłych i nieskonczonych rozmów!... Ileż razy jutrenka witała nas stojących na pokładzie z oczami wzniesionemi ku niebu, rozmawiających o Francyi, Paryżu, sztukach pięknych, artystach!.....

Wspominaliśmy z przyjemnością najmniejsze wypadki naszego odjazdu, ostatnie przyjacielskie wyrazy które do uszu naszych doleciały; bo wówczas zdawało się nam, żeśmy zaledwie wczoraj opuścili nasz stary Babilon, a łańcuch uczuć nas z nim wiążących wydawał się niezerwanym.

Pan A. L\*\* zostawił w Paryżu niepocieszoną margrabinę, która, jako kobieta dobrze wychowana, zaprzysięgła mu wieczną stałość..... czemu pomimowolnie dawał wiarę.— Ja też przypomniałem sobie, że w chwili wsiadania w ambarkaderze, przy ulicy S. Łazarza, spotkałem się z dwóma moimi znajomymi, towarzyszącemi młodej i ślicznej artystce, i że następująca pomiędzy nami zawiązała się rozmowa:

—A cóż to! — zapytali, — co tu porabiasz?

—Jak widzicie..... wybieram się w drogę.

—Do Wersalu?

—Nie..... do wysp *Sandwich*.

—Nie znam.

—Do wysp Hawaï.... jeśli wolisz.

—Kiedy tak,—rzekła młoda kobieta, podając mi rączkę w świeżutkiej rękawiczce, — szczęśliwej podróży!

Polem przypominając:

—*A propos*,—dodała—w przyszłym tygodniu mam ułożyć nową rolę do pewnej sztuki politycznej treści.... czy będziesz pan z powrotem?

—Nie spodziewam się....

—A na otwarcie kolei żelaznej Sztrazburgskiej?

—Hm!... może.....

I ścisnęliśmy się za ręce jak przy rozstaniu na ulicy z przyjacielem, mówiąc:

—Do widzenia wkrótce!....

Tak, wywołując drogie widma przeszłości, która choć już od nas daleka zdawała się być z nami, wzbudzaliśmy w sobie żal, powtarzając pomimowolnie te naiwne i młodzieńcze wiersze *Segrego*:

Szczęśliwy, kto się karmi mlekiem własnej trzody,  
Nosi z wełny swych owiec odzienie wytkane;  
Komu, prócz wód Sekwany, morza są nieznane,  
Kto widzi świata krańce z końcem swój zagrody.

Potem, choć starym ale dobrym zwyczajem, za pośrednictwem gwiazd łączyliśmy się wzrokiem i myślami z przyjaciółmi naszymi; wyznaczaliśmy im godziny do pracy, obowiązków, zabaw, spoczynku, a tak każdego z nich odpowiednio nadzieliwszy, pominąć też i o sobie szliśmy na spoczynek.

#### IV.

Łatwy w pożyciu *Staoueli*, prędko się zastosował do naszych skłonności, przybierając bardziej arty-

styczną, weselszą i ożywieńszą powierzchowność. A. L. rysował; inżynier kreślił plany; a muzyk na wzór kapryśnego *motyla*,—wedle słów jednego pasażera, zwolennika lalanslerów,—siedząc przy fortepianie, to się oddawał słodkim marzeniom, to znowu z świetną występował improwizacją; inni redagowali *urazenia podróży*.... niektórzy zaś odważali się nawet pisać *pamiętniki*.... Ja, zatopiony w lenistwie i w miękkich poduszkach szezłagu kapitana, odczytywałem *Żyrondyistów*, nieporównane dzieło, które sądząca bez uprzedzenia potomność wynosić będzie pod obłoki.—I korzystniejszém było to moje czytanie niżby być mogły pamiętniki....

—Co! — zawoła z ujmującą żywością moja śliczna czytelniczka, — nie pisałeś *pamiętników*?

—Mój Boże! — nie, pani.....

—Doprawdy?

—Najniezawodniej.

—Najmniejszego dziennika?...

—Niestety! byłem do tego stopnia niegodziwym.

—Ależ, mój panie, to okropnie....

—Przyznam się pani, że myśle inaczej....

I w rzeczy samej, płynęliśmy na bezbronnym kupieckim okręcie, w czasie pokoju, jakizby więc wypadek na pokładzie mógł zasłużyć na zaszczyt opisanie nowo zatemperowanem piórem?

Co do mnie, miałem stosunki i znajomości na całym okręcie: od przodu do rufy, odedna do wierzchołka masztów; o każdej rybce wyskakującej z wody, o każdym żaglu bielejącym na horyzoncie byłem urzędowo i uprzejmie zawiadamiany.— Pomimo je-

dnak wszelkich starań i zabiegów, pomimo najwytrwalszego czuwania na pokładzie w czasie słonecznej spiekoty, deszczu, gorąca lub zimna, nie mogłem być świadkiem żadnego wypadku, z którym bym się już nie obeznał w przeciągu tygodniowej podróży.

—Kapitanie, *dorada!* 1) wołano.

—Na lewo czy na prawo?

—Na lewo.

—Dobrze, dziękuję.

I kapitan, odchylając niedbale rękawy swojego paletotu, i wspinając się lekko na poręcz okrętowy, ciskał ość do wody.... potem, bez przyspieszenia lub zwolnienia kroku, wracał do kajuty.

*Dorada* była naszą!

Wciągniona na pokład, przed oddaniem ducha Neptunowi, siedm razy zmieniała kolor skóry; w obiedzie za drugim daniem smakowaliśmy jej białe i delikatne mięso..... Co wszystko codzień, lub przez dzień się powtarzało.

—Panie Dubois, --wołał młody majtek siedzący na powrozowej drabinie — *Cordonnier!* 2)

W naszym gronie Pan Dubois był człekiem-strzelbą, albo lepiej mówiąc, uosobioną fuzyą. W nocy czy we dnie, na pokładzie lub w pokoju *muszkiet* (tak swą broń nazywał) nigdy go nie opuszczał: widząc ich wiecznie z sobą, przypominaliśmy *Fra-Djavoło*, nócąc mimowolnie:

Czy widzisz na téj skale  
Śmiałka z dumą w oku?  
Ten muszkiet tuż przy boku,  
To jego wierny druh.

---

1) *Dorada*, rodzaj ryby morskiej. 2) Ptak morski którego majtkowie *szewcem* (*cordonnier*) zowią.

— Panie Dubois — krzychał więc majtek — *cordonnier!*..

Dubois podnosząc od niechcenia głowę, strzelał na los szczęścia, a trafiony płak kręcąc się w powietrzu, spadał dogorywając na okręt i podjęty przez niemiłosiernego kucharza, wzbogacał strawę majtków. Zręczny nasz strzelec zabijał co kwadrans, jeżeli nie *cordonnier'a*, wroneń morską, to delikatnego *dammier'a* z dokładnością bregietoskiego zegarka, tak, że wkrótce już to zaczęło nas nudzić.

Malarz kilka razy starał się dopilnować chwili wspaniałego zachodu słońca pod zwrotnikiem, o którym tak częste znajdujemy wzmianki w opisach morskich podróży około *ognistego równika*, ale muszę wyznać, że usiłowania artysty były nadaremne.

Nie zaprzeczam bynajmniej istnienia licznych zjawisk natury na tym niezmierzonym oceanie, poetycznie nazwanym przez lorda Byrona *błędną falą*; owszem przyznaję ich bytność, a są niektóre dziwnie piękne przy nieustannym swym ruchu. Niekiedy nagromadzone massy strasznych chmur, rzucając na fale brunatny odcień, rozstępują się nagle i z pomiędzy wydartych, różnobarwnych obłoków błyszcza jaskrawym światłem rozpłomienionego ogniska; olbrzymie kolumny podtrzymują niezmierzone okiem, ponure sklepienia, pod którymi kipi gniewne, zaognione morze. Jest to obraz piekła poetów starożytności, z całą swą okropnością, z syczącemi węzami, smokami, a tuż obok odrażająca inkwizycya z sówiem okiem, z miną pantery, z zawiędłą, chudą ręką, w czarnej ciągnącej się szacie; inkwizycya ze swemi zakrwa-



wionemi lochami, z narzędziami tortury, i nawpół obumarłemi, zsiniałemi ofiarami.

Za powiewem wiatru zmieniają się widziadła; czarujący widok zajmuje miejsce dramatu: Rembrant oddaje pędzel i paletę Diaz'owi. Oto odłamy jaspisu i porfiru, na wzór kolumn lub balustrady maurytańskiego stylu, otoczyły błękitne, przezroczyste tonie jeziora, w którem się kąpią zachwycające najady ze spadającemi na nagie ramiona włosami, z czołem otoczonem aureolą tajemniczego piękna, wtedy, gdy na gładkiem wybrzeżu, hoże, cudnych kształtów bajadery, w przezroczystych, powietrznych szatach tańczą przy dźwięku harfy Eola. Najady, bajadery, brzegi, gaje, gazowe szarfy, złote dyademy, wszystko to razem było dziełem jednego obłoku, a najmniejszy cień rzucony w odpowiednem sobie miejscu, przyczyniał się do treści obrazu, przedstawiając złośliwą i dziwaczną twarz satyra, wśród wesołego, prześlicznego grona kąpiących się czarodziejek.

Ale i w sferze rzeczywistości, niebo w swoich codziennych odmianach jest równie piękne, a widok światła między-zwrotnikowego, dziwne wywiera wrażenie, którego gdzie indziej nadaremnie szukać. Sprawiedliwie więc zachwycali się nad słońcem równikowem tak poeci, malarze, jako też i wszyscy żeglujący; sądzą tylko, w czem podzielam zdanie wielu doświadczonych marynarzy, że się pomylili co do czasu i wzięli za *zachód słońca* to, co po prostu jest fenomenem słonecznym, bo słońce pod zwrotnikiem niedbale i jednostajnie zachodzi. Niema wtedy na horyzoncie najmniejszych chmur, któreby urozmaicały

jednosłajność nieba. Bez wątpienia i to piękne, ale jakąś pięknnością bladą, mieszczańską, której brakuje energii i wspaniałości, która widza nie zachwyci. Słońce tonące w śniegach alpejskich, lub gasnące za Łukiem tryumfalnym pól Elizeyskich w Paryżu, ma inszą właściwą sobie wzniosłość i majestatyczność.

Skończywszy mówić o słońcu, wypada słów kilka i o księżycu równikowym powiedzieć; uważam, że podróżujący, do dziśdnia okazywali dla niego ubliżającą obojętność. Może się wszyscy spać kładli z zachodem słońca?—Nie wiem; jednak tak niedelikatne obejście się ze skromną Febe, nie przeszkadza jój ukazywać się w godzinach nocy ze zwykłą wstydlivością, dla pieszczenia uśpionej fali swą srebrzystą izrenicą, na wzór matki czuwającej u kolebki dziecka.



## ROZDZIAŁ II.

**Ze wszystko jest względném.— Dobra strona niepomysłnego wiatru.— Spotkanie flotylli z Bordeaux.— Przejazd mimo ciasniuy Gibraltarskiej.— Wojenny bryg daremnie nas ściga — Czarny słup.— Zbliżenie się do równika.— Deszcz z fasoli.— Ojciec Równik.— Chrzest.— Dręczenie krawca.**

### V.

**J**eżeli prawda, że na tym świecie wszystko jest względném, radość, boleść, smutek, rokosz, nadzieja lub zawód, to szczególnie na morzu najłatwiej

i najprędzej można się o tem przekonać. Tam bowiem, gdzie życie najbardziej uproszczone, gdzie człowiek, jak w zaklętym kole, obraca się ciągle w granicach swej osobistości, gdzie go nieskończoność ze wszech stron otacza, tam najmniejszy wypadek przybiera na się bajeczne rozmiary i staje się faktem nadzwyczaj zajmującym. Przelatujący ptak, ukazująca się ryba, zmiana w żaglach, spostrzeżony na horyzoncie okręt, są powodem silnych wstrząśnięć, skupienia uwagi, trzymają umysł w napięciu, czegoby nie dokazały najbardziej wzruszające sceny zajmującego dramatu. Pod tym względem byliśmy zupełnie zadowoleni, bo od chwili wypłynięcia z Hawru, ciągłe przeciwne wiatry zmuszały nas do nieustannych zmian kierunku i manewrów, podczas których spotykaliśmy mnóstwo okrętów. Naprzód w *La Manche* lawirowaliśmy pośród flotyli francuzkich i angielskich statków rybackich, przyczynających wody cieśniny; potem widzieliśmy wielką ilość okrętów strzegących brzegu, bryków i klipperów paradujących codziennie po kanale; наконец, gdyśmy mijali zatokę Gaskońską, złączył się z nami liczny orszak statków z *Bordeaux*, dążących to do wysp Antylskich, to do przylądka Dobrej-Nadziei, to do Indyi, to do Stanów-Zjednoczonych, lub do Ameryki południowej. Płynęliśmy razem około czterdziestu godzin, lecz gdy powstał nagle wiatr północno-wschodni, pomknęliśmy na przód, jak chmara mew, a nazajutrz rano *Staoueli* ocknął się sam jeden pod wzdętymi żaglami, przebiegając z wiatrem po dziesięć węzłów. \*)

---

\*) Węzły na linach, używane w żegludze do mierzenia odległości.

Zrównawszy się z cieśniną Gibraltarską, chociaż dość oddaleni od brzegu, spostrzegliśmy znowu mnóstwo żagli; dalej koło brzegów Afryki, wzięto nas za okręt handlujący murzynami, i mieliśmy przyjemność cały ranek być nadaremnie ścigani przez bryg wojenny.

Lecz ze wszystkich rozrywek na pokładzie, przeprawa przez równik miała być najbardziej zajmującą. Jak wiadomo, marynarze zwykli obchodzić ten pamiętny wypadek dziwacznym obrzędem, nazwanym *chrzest*.

## VI.

Dziesiątego września opuściliśmy nareszcie stronę zwrotnikową, nazywaną pospolicie *czarnym stupem*, znaną z obfitych deszczów, które tam trwają od rana do wieczora; kapitan na ten raz, nie chciał nam wskazać (czego zwykle nie czynił) w jakim byliśmy punkcie szerokości i długości geograficznej. Widzieliśmy kilka okrętów płynących w tym samym co my kierunku, lub z przeciwnej strony, a majtkowie rzucali szyderskie wejrzenia na pasażerów będących u nich w niełasce.... Oczywiście przybliżaliśmy się do równika.

Okolo godziny piątej po obiedzie, w chwili gdyśmy się rozmijali z holenderskim okrętem, płynącym z Nowego-Jorku do Madagaskaru, zamieniwszy z nim słów kilka, niespodzianie zaczął na nas padać obfity grad fasoli, grochu, kartofli, a to z taką siłą i impetem, że ulewy *czarnego stupa* wydały się przy nim lekkim wiosennym deszczem. Podnieśliśmy

wszyscy oczy do góry, szukając obłoku, który nas tak niemiłosiernie przywitał, i ujrzeliśmy (nie na niebie, miejscu wcale mu nieodpowiedniem, ale w bocianiem gnieździe) skaczącego, pokazującego zęby i robiącego różne miny diabła we własnej osobie, który czerpiąc z wielkiego worka narzędzia złośliwości, chłostał nas niemi niemiłosiernie. Dodajcie do tego, że jego szatańska mość, dla ulżenia sobie fadygi, miała na swoje rozkazy troje straszliwie brzydkich, zwinnych jak wiewiórki diablatek. W przeciągu dziesięciu minut wór piekielny był już wypróżniony, a że na okręcie nic nie powinno się marnować, ciż sami diabełkowie, zręcznie spuściwszy się na pokład, bez dalszych ogródek, zaczęli zbierać rozsypane prowizye, które im miały służyć na jutrzejszy obiad. Nastąpiła chwila ciszy, a wkrótce powstał wielki hałas, coś nakszałł grzmotu, i ujrzeliśmy ukazujący się z łona okrętu orszak figur mitologicznych, z których najpierwszą i najważniejszą był mówca, pocciwy *równik*, stary jak świat, ale w nieco gorszym od niego stanie. Pani *równikowa* towarzyszyła mężowi; tuż za nimi szli Eol i Zefir, dalej bóstwa drugiego rzędu, jako to: Neptun, Wulkan, Pluton, a w końcu, siedzący na ośle, tradycyjny młynarz zamykał cały szereg. Mimo wolnie człek się zastanawia nad tem, jaką może mieć styczność młynarz z tak ważnemi, wyżej wspomnianemi osobami? lecz to do mnie nie należy; co się tyczy osła, wiadomo, że się on wszędzie znajduje, więc obecność jego w tak znakomitę gronie niema w sobie nic nadzwyczajnego.

*Ojciec Równik*, przypominał grenlandzkiego nie-



dzwiedzia z powodu futra, którem był okryty, (zapewne w skutek srogości powietrza, trzydziestu stopni ciepła) a tylko kij żebracki, trójgraniasty kape-lusz i okulary zdradzały jego boskie pochodzenie; pomimo to, trzeba było najlepszych chęci, żeby rozpoznać w tym starym podagrzyście mieszkańca Olimpu, pół-boga. *Ojciec Równik* z dobrą miną przystąpił do kapitana, przemawiając bretońskim dyalektem, którym władał z łatwością co dowodzi-ło, iż ten język w jego państwach musiał mieć pe-wną wziętość. W mowie, której żałuję że nie mo-gę dosłownie przytoczyć, *Równik* gorzko się użalał na wzburzenie żywiołów, przepraszając, że tak dłu-go musiał nas przetrzymać w kwarantannie na gra-nicach swojego państwa; lecz, że przybywaliśmy z Francyi, kraju wielce rewolucyjnego, wiedział z doświadczenia, iż trzeba używać wszelkich środ-ków dla uniknienia wpływu przewrotnych idei na-szego narodu; przed udzieleniem więc pozwolenia wolnego przejazdu, chciał się przekonać czyśmy nie zarażeni tegoczesnemi zasadami, (od których dzien-nik *L'univers* szczęśliwie go ochronił) i czy nasze zamiary równie mało zatrważające, jak nasze oso-by; interes jego dynastyi, jako też złe usposobienie poddanych i niedawny bunt Eola i Neptuna, tych książąt wiecznie niespokojnych, był przyczyną uży-cia środków ostrożności. Kiedy kapitan w tem miej-scu przemowy, z uszanowaniem zrobił uwagę Jego królewskiej mości, że *Staoueli* był rodem z miasta monarchicznych zasad, że dotychczas, od chwili wy-jazdu z Hawru, nie było na pokładzie żadnego wy-padku tchnącego jakóbinizmem, i że wreszcie nie

prosi o nic więcej, jak tylko o łaskę dozwoleń prędkiego przejazdu przez podległe mu kraje, wtedy monarcha oznajmił nam uprzejmie, że jutro będziemy mogli puścić się w dalszą drogę, i że dla przyspieszenia powolnej zwykle w jego państwie podróży, każe nam towarzyszyć swemu przydwornemu ulubieńcowi Zefirowi.

—Zaszczycasz nas panie! — rzekł kapitan z przejęciem.

—Wyznaję — odrzekł wesoło monarcha — że ze wszystkich wiatrów służących na moim dworze, Zefir najwięcej zajęty, poszukiwany, ugaszczany;.... nie ma najmniejszej zabawy, menueta lub tańca wiejskiego na trawie, do którego by nie należał. Wszyscy go między sobą rozrywają, a nawet cesarz rosyjski prosił przeszłego tygodnia na *tańczącą herbatę* do ermitażu, ulubionego niegdyś pomieszkania nieboszczki cesarzowej Katarzyny II. Pozwoliłem przyjąć zaprosiny, i mój biedny Zefir zziębnięty powrócił z Peterzburga.... Rzeczywistą więc czynię łaskę, pożyczając go wam, choć tylko na dwie doby.

—Umiemy ją ocenić najjaśniejszy panie -- powtórzyliśmy jednogłośnie— przyjm nasze szczere dziękczynienia.

—Wiem, wiem, — przerwał z uśmiechem *Ojciec Równik*.—wszystkie listy, które otrzymuję, mają podobne zakończenie.... Tymczasem życzę wam moje dzieci dobrej nocy, dobrego zdrowia i dobrej drogi... nie zapomnijcie tylko, że wjeżdżając do mego państwa, trzeba być w stanie łaski nabytym za pośrednictwem wody chrztu.... przygotowujcie się więc

przez posty, modły i jałmużnę, do przyjęcia jutro tego sakramentu w należytem usposobieniu.

To powiedziawszy, Jego królewska mość okręciła się nagle na obcasach swych ogromnych marynarskich butów, i zbiegając z młodzieńczą lekkością po schodach prowadzących w głąb kajuty, znikła jak cień pod pokładem. Cały orszak przydworny toż samo uczynił, a sam nawet diabeł poszedł się rozebrać, dla zastąpienia przy rudlu, znudzonego przedłużoną czynnością, majtka. Wszystko to było zaledwie wstępem do wielkiej, mającej się nazajutrz odegrać sztuki.

## VII.

Jedynastego września, to jest, w dzień, w którym właśnie mieliśmy przejść przez równik, cały ranek musieliśmy śledzić poruszenia wielkiego amerykańskiego okrętu, który wpół do ósmej rano widziany za nami, o jedynastej już zdołał nas wyprzedzić. Tknięty tem do żywego, kapitan kazał rozpuścić wszystkie żagle, i wkrótce, choć wiatr niezupełnie był dogodny, potrafilśmy z swojej strony prześcignąć amerykańcina. Z początku przez pół godziny płynęliśmy z nim na jednej linii, nie dając mu się wyprzedzić, lecz ze zmianą wiatru, gdy przedni nasz żagiel wszedł w czynność, *Staoueli* jednym nadzwyczajnym skokiem prześcignął rywala o całą długość okrętu. Odtąd wygrana była naszą, a o południu amerykański kilper pozostał za nami o trzysta kilkadziesiąt sążni. Siedliśmy do stołu; tak zaś byliśmy zajęci powyższemi wyścigami, że zapomnieli-

śmy zupełnie o zapowiedzianym obrzędzie, gdy po śniadaniu, dwaj wspaniali, brodaci żandarmi zjawili się we drzwiach pokoju, i oznajmili nam, że byliśmy na granicy równikowej, w skutek czego, proszą o wejście na pokład dla spełnienia przyjętych formalności. Przełęcznione damy prosiły kapitana o pozwolenie pozostania w kajucie, lecz ten im odpowiedział, że podczas bytności okrętu na wodach *Ojca Równika*, traci swą kapitańską władzę, i że wszyscy muszą wyjść z pokoju na pomost. Trzeba było usłuchać; tem bardziej, że dobrzy żandarmi starali się uspokoić strwożone pasażerki, i rzeczywiście nie nie usprawiedliwiało ich przerażenia. Francuz *rodzi się uprzedzającym dla kobiet*, i do jakiegokolwiek należy warstwy towarzystwa, zachowuje zawsze w obojętności ten wyszukany kwiat zwyczajów dawnego rycerstwa, który był niegdyś chlubą szlachty i uszlachetniał nawet samych królów Francyi:—tak, że nie było najnieokrzesanego majtka, któryby się nie starał pogodzić uprzedzającym sposobem warunków przejścia przez równik, z winnemi względami dla płci nazwanej słabą... a nie mogąc wyłączyć kobiety z pod praw dotyczących chrztu, cóż marynarz wymyślił?... oto, zamiast wody, użył kilku kropel wódki kolońskiej, czem wszystkich zadowolnił bez złamania prawa.—Iluż to dyplomatów, którzy na swoim rzemiośle zjedli zęby, nie potraliby wywikłać się z biedy tak pięknym i łatwym sposobem!

Przybywszy na pomost, ujrzelśmy wielkie przygotowania na przedniej wyniosłości okrętu, a choć on był przedzielony na dwie części różnobarwną z flag zastoną, łatwo mogliśmy zauważać próg kaplicy, ma-

jacej grać główną rolę w tym dniu pamiętnym. Nie długośmy czekali, zaraz się bowiem ozwał wesoły odgłos dzwonka zwiastującego chrzest, a z głębi okrętu dolatywały do nas dźwięki kościelnych śpiewów bretońskich (gdyż posługa była z St. Malo); cichy akompaniament *gęśli*, tęskny jak wspomnienie, jeszcze bardziej uwydatniał miejscowy charakter śpiewu, nadając mu piętno sielskiej poezyi, pełne wdzięku i prostoty.

Trwało to tylko chwilę. Przybliżając się głosy traciły dla nas swój charakter i prostotę, dźwięk *gęśli* nie wydawał się już naiwnym, ale śmiesznym, a kiedy przez główny otwor procesya wyszła na pokład, nikt już z nas nie myślał o Bretonii.— Ujrzelśmy wczorajszy orszak, pomnożony obecnością kapelana, zakrystyana i kilku posługujących chłopców.— Obszedłszy z wielką paradą na około okrętu, procesya wstąpiła do kaplicy, gdzie się rozpoczął obrząd chrztu.

Na samprzód, jak należy, zaproszono damy, i trzeba oddać sprawiedliwość kapelanowi *ojca równika*, że nie długo je przetrzymawszy, zasłużył na pochwałę. Przyszła kolej na P. Dubois, P. A. L\*\* i na mnie. My też nie wiele zajęliśmy czasu; mając szczęście być w najlepszych stosunkach z *Ojcem Równikiem* i całym jego dworem, pozbyliśmy się biedy, przyjmując na siebie kilka wiader wody, za co nawet byliśmy wdzięczni, z powodu panującego upału. Nastąpiły ofiary,—i pewien nieszczęśliwy krakwiec pierwszy miał doświadczyć rozmaitych udręczeń. Za co ten biedny człowiek zasłużył na niełaskę mieszkańców równika?... Nie wiem,— ale jak



niemożna nakazać sympatyi, tak równie daremnie o niej rezonować,— i wiem to tylko z pewnością, że krawiec był źle uważany przez cały orszak, a szczególnie przez kapelana. Wezwany, dał się prowadzić żandarmom, z miną ofiary ciągnionej na męki, wiedząc niestety! o losie jaki go czekał. Zawiązano mu oczy u drzwi kaplicy, co nie dobrego nie zapowiadało; potem wprowadzono do środka, gdzie go proboszcz posadził przy sobie dla wysłuchania spowiedzi. Nieszczęśliwy grzesznik musiał usiąść na przepiłowanej w samym środku desce, położonej na płask na wielkim cebraze, pełnym wody. Cienka beleczka podtrzymywała deskę, nie pozwalając jej przed czasem załamać się pod ciężarem: to jednak wkrótce nastąpiło,— skoro bowiem bezbronny krawiec w dobrej wierze wyznał wszystkie swoje winy, proboszcz, siedzący na brzegu wspomnianej beleczki, wstał dla dania rozgrzeszenia, a podpiłowana deska, pozbawiona podpory, pękła raptownie.—Reszty można się domyśleć. Krawiec zgięty we dwoje wpadł do cebra, a woda chrztu polała się nań z dwóch pomp, kilku kranów, i mnóstwa wiader.

Po dziesięciu minutach uwolniono biedaka z tak smutnego położenia, a dawszy swobodę, wrócono zarazem światło oczom.—Jednak się na tem nie skończyły prześladowania; po proboszczu nastąpił diabeł, który z garnkiem sadzy i plastrem ze smoły czekał u drzwi kaplicy na swoją ofiarę.—Na widok ducha cieniów, i tego straszego przedmiotu, (mówię o plastrze którym potrząsał trzymając w rękę) czując drgające pod sobą nogi, krawiec z przestachem odskoczył.

— Synu miłości! wołał doń diabeł z właściwem sobie szyderstwem,— bądź bez trwogi, jako sławny rycerz Bayard. . . . Nie dla twarzy twojej przeznaczona ta niewinna, medyolańska muszka.

Wyrwawszy się ze szpon diabelskich, wpadł nieszczęśliwy w łapy młynarza, który roztarłszy mu wprzód na karku kilka jajek, wysypał polem mąką od stóp do głowy; tak wytuzany i przystrojony uciekł biedak w sam koniec okrętu, gdzie już go nikt więcej nie ścigał, lecz tam na nieszczęście usiadłszy na słońcu, gdy się smoła rozgrzała, chcąc powstać, uczuł się przyklejonym do pokładu. . . . Opisując jakim sposobem uwolnił się z biedy, musiałbym wymienić pewną część odzienia, na wspomnienie której angelki zwykły się rumienić, chcąc zaś widzieć młode córki Albionu w liczbie moich czytelniczek, nie narażę je na spuszczenie oczu. . . . Dość że wylaź (z biedy), i w półgodziny potem zasiadł do stołu świeższy, rzeświejszy i strojniejszy niż kiedykolwiek.

Wieczorem posługa okrętowa otrzymała podwójną porcję, a sam kapitan wystąpił ze wspaniałym obiadem i pończem, który zakończył przejście przez równik.

Nazajutrz, więcej dwuchsel mil przebiegliśmy na południowej półkuli.



## ROZDZIAŁ III.

Powrót do zwykłych rozrywek na pokładzie.— Burza zniesiona.— Rozbicie się okrętu jest tylko uszkodzeniem.— Ziemia Stanów.— Dla czego Magellan nazwał ją ognistą ziemią.— Co marynarze nazywają tabaką.— Przyładek Horn.— Straszna nawałnica.— Płyniemy o milę od Diego-Ramirez.— Jakim sposobem polowanie na Albatrosy zmienia się w polów na wędę.— Wpływamy na Ocean Spokojny.— Taleabuana.— Tkliwa Dydona.— Wzruszenie przy przybiciu do brzegu.— Kordyliery lub Andy.— Spostrzczenie ich o mil czterdzieści.— Ziemia.

### VIII.

**P**rzebywszy równik, znowuśmy się oddali zwyczajnym wyżej wspomnianym rozrywkom, to jest, patrzeniu na zachodzące słońce lub na blask księżyca, strzelaniu do ptaków i łowieniu ryby na wędę. Nie wspominam tu, rozumie się, o wzruszeniach pochodzących z burzy; wszyscy bowiem dziś wiedzą, że burza już nie istnieje. . . .

— Zniesiona! jakby powiedział Dickens... A oprócz niej ileż to dobrych rzeczy zniesiono!— Lecz co do mnie, przyznam się, iż to ostatnie zniesienie najżywiej opłakuję.

— *Niepodobieństwo*, powiedzą ci wszyscy marynarze, choć wyraz *niepodobieństwo* nie jest francuzkim wyrazem, niepodobieństwo aby w dzisiejszych czasach jakikolwiek okręt zginął na morzu.

Ja jednak znajduję, że to ulepszenie, ten postęp w sztuce żeglowania jest nieznośnie uciążliwym.... I tak na przykład: dawniej za dobrych czasów, bo-jaźń burzy dawała mnóstwo strasznych i przyjemnych wzruszeń... teraz zaś niema sposobu doświadczenia przestachu i okropnych niebezpieczeństw, a wróciwszy do rodzinnego koła, nie można się już popisywać i pysznić z doznanych przygód. Dziś bezkar-nie spienione i ryczące morze szturmuje i niszczy ściany niezwyciężonego okrętu....

To drobnostka!

Jakto?... połamane maszty, porwane w szmaty żagle, zniesiona kajuta... z pasażerami... zrówna-ny wierzch okrętu? To tylko uszkodzenie, lekkie uszkodzenie!...

Obaczycie, że z czasem, stając się coraz dosko-nalszymi i większymi żeglarzami, będziemy nazywać rozbicie okrętu *uszkodzeniem*!! Nie znajdziecie wte-dy ani jednego kupca korzennego przy ulicy St De-nis, któryby nie posłał syna do kantonu Bombay dla nauczzenia się handlu cynamonem i sztuki sprze-dawania pieprzu po trzy grosze; pierwszy lepszy już nie powie: objadę Francję — zechce objechać świat cały!

Zbliżając się do przylądka Horn, nie wiedziałem o tych wszystkich nowościach, i prosiłem choćby o najmniejszą burzę, żeby módz o niej coś powie-dzieć lub przy zdarzeniu uczenie napisać.

— Burza? mówił kapitan z uśmiechem,— zkad pan przybywasz?...

— Prosto z Paryża.

— Domyślałem się tego.... O niczem nie wiedzą

w tej stolicy cywilizowanego świata; wiedźże pan, że niema burzy....

To rzekłszy, kapitan odwrócił się odemnie, podnosząc mimowolnie ramiona, jakby litując się nad nieświadomością ludzką. Rzeczywiście miałem zastarzałe pojęcia. Jednak nazajutrz barometr spadł o kilka stopni poniżej *burzy*. (Wbrew rzeczy, wyraz przynajmniej istnieje.)

— A co? zapytałem kapitana z tryumfującą miną.

— Hm! odrzekł niedbale, będziemy mieć *tabakę*.

— Tabakę?

— Tak, szturm!

— Chwała Bogu! będę mieć burzę, myślałem w duchu, i zwycięzko wstąpiłem na przednie podwyższenie okrętu.

Niebo było jednostajnie szare, usiane gdzieniegdzie czarnemi, gęstemi, z ciężkością unoszącemi się nad wodą chmurami. Fala nie miała dotąd w sobie nic strasznego, lecz była wielka, ciemna i dzika, a dążąc ku nam rozstępywała się szeroko, jak Alpejskie doliny. W ślad za okrętem leciała masa mew i *satanil*, poprzedzona przez dwadzieścia olbrzymich albatrosów, które przewodniczyły jej w pogoni za nami swem złowrogiem krakaniem. *Ziemia Stanów*, albo pospoliej *Ognista ziemia*, nazwana tak przez Magellana, zapewne z powodu częstych w tej stronie meteorów, ukazywała o dwie mile swe nagie i pustynne wybrzeża, z których dolatywał do nas rozgłos szalejącego tam huraganu.

Oczywiście, że w braku czegoś lepszego, spodziewaliśmy się przynajmniej *niepogody*.



Skrzypiąc i wykręcając się na falach, *Staoueli* ruszał jednak naprzód; wiatr północno-zachodni ze strony lądu oddalał nas od drogi, którą powinniśmy byli płynąć; a właśnie na zawrocie około cyplu *Ziemi-Stanów*, *Eol* i *Neptun* czyhali na nas.

W rzeczy samej, w chwili gdy kapitan wołał głosem kontr-admirała: »Zwijaj wierzchnie żagle!« tracił nas silny wicher, i porwawszy w kawały trzy żagle, uniosł je gdzieś ku lepszym światom. Było to jedyne uszkodzenie, jakiego doznał nasz okręt, a mówiąc ściśle — żadne. Odtąd musieliśmy płynąć w stronę południową (dla oddalenia się od lądu), potem przez dni kilka staraliśmy się o ile możliwości utrzymać w przypadającym dla nas kierunku. Morze burzyło się do tego stopnia, że za lada pochyleniem się okrętu, dolne reje ze zwiniętymi żaglami uderzały po fali; w takim stanie siedaliśmy do stołu na ziemi, nie mogąc długo cieszyć się obiadem; w niemożności zaś czytania lub pisanja, bez widoku nieba zasłoniętego wyniosłami jak góry morskimi bałwanami, jedynie w połowie *Albatrosów* znajdowaliśmy rozrywkę i lekarstwo na nudy.... Mówię w *połowie*, bo na to płaszczo poluje się z wędą, jak na kietbuka, z tą tylko różnicą, że przynęta utwierdzona na haku składa się z kawałka słoniny, który zamiast pogrążania się w wodę, unosi się na jej powierzchni.

Wreszcie 22 października, w tydzień po naszej przygodzie koło *Ziemi-Stanów*, wiatr zwolna ustał, morze się uciszyło, i mogliśmy znowu rozpuścić żagle. 23-go w czasie najpiękniejszej pogody, przy-

bliżyliśmy się do wiecznie okrytych dzikiem płastwem wyżyn Diego-Ramirez, a 24-go opłynęliśmy przylądek. Nie na tem jednak był koniec — nie całkiem rozstaliśmy się z burzami panującymi w tych okropnych stronach. W nocy 25-go wiatr się zmienił, trzeba było znowu zwrócić się ku stronie południowej, dla odrobienia, mówiąc wedle przyjętego wyrażenia, tego cośmy zrobili w przeciągu dwóch por. Zamiast ulżenia, piątego dnia pod wieczór wiatr się zwiększył we dwójnasób tak, że 1-go listopada, w dzień Wszystkich Świętych, barometr spadł o dziesięć stopni poniżej *burzy*. Byliśmy pod 61' 55" szerokości południowej. O jedenastej godzinie rano zaczął padać drobny deszczyk, który nie trwał więcej jak dwadzieścia minut; po jego przejściu powstał raptownie straszny szturm, tak dziki i groźny, jakby zapowiadający koniec świata. Trwał sześć godzin, — wiek cały! Podczas którego *Stauoeli* zwijał się jak szatan i przedstawiał wspaniały widok; jednak morze dotyla było spienione i rozigrane, że jeszcze przez trzy dni po ustaniu szturmu, piętrzyło się szerokimi falami na podobieństwo Andów.

Ztemwszystkiem jednak nie doświadczyliśmy burzy!... Doprawdy wielcy z nas marynarze!... Wypada tylko wiedzieć, czy czasem nie mniej okrętów niszczyły dawne burze, niż dzisiejsze szturmy.

Jakkolwiek bądź, zawsze twierdze, że sztuka żeglarska bez burzy i rozbicia się okrętu, nie ma w sobie żadnego powabu, sławszy się czémś równie prozaicznym i poziomem, jak dyliżanse *Lafitte* i *Caillard*.

## IX.

Przybywam nareszcie prosto do Walparaizo, nie czuje bowiem potrzeby wspomniania (co byłoby nawet po czasie) o Tenerycie, wielkim, pustym kraterze, o Maderze, Fuego, tak powszechnie znanych, a koło których przepływając, handlujący marynarze tylko złośliwie umieją nas rozłakomić. Już od stu dni żyliśmy tem braterskiem i trochę nerwującym pokładowem życiem, które jest jedyną szkołą filozofii, gdy nagle, z pomiędzy tumanów pokrywających widnokrąg, ukazał się na prawo wierzchołek skały.

— Ziemia! zawołano ze wszech stron. Po sprawdzeniu przekonano się, iż to rzeczywiście była ziemia, dobra i pocziwa ziemia Chilijska.

Ale jest Chili i Chili, jak jest Paryż i Marsylia. Otoż zawitaliśmy do rodzaju Marsylii w sławnej tej osadzie, niegdyś hiszpańskiej z prawa podboju — hiszpańskiej zawsze z obyczajów. Byliśmy naprzeciw miasta nazwanego od Niepokalanego Poczęcia *Concepcio*, znanego z częstych trzęsień ziemi, a którego przedmieście, będące razem portem, nazywa się *Talcahuano*.

Sternik naznaczył na kwadransie liczbę ośm. Godzina była dwónasta.

— Jeszcze mil ośmdziesiąt! rzekliśmy z westchnieniem, przejęci niecierpliwością, tem uczuciem wzrastającym zawsze z przybliżaniem się oczekiwanej chwili.

— Brawo! dodał zeicha kapitan, jutro wieczorem będziemy się przechadzać po *Almendrahu*.

— Doprawdy kapitanie ?

— Jużciż — chyba że zechcecie pozostać na pokładzie. . . .

— Więc przyjedziemy ? . . .

— Bez wątpienia. . . . mamy przed sobą trzy czy cztery stopnie ? . . . fraszka ! Obaczycie panowie, że w nocy każe zwinąć część żagli, żeby się okręt nie ocknął jutro rano, trącając nosem o kamienie. . . jak fregata *Dydona*, która zyskała nazwę *Tkliwój-Dydony*, dla tego, że zbliżając się do lądu, musiała się zawsze dotknąć nadbrzeżnej skały. Potem, zwracając się do majtka *Lecomte*, starego morskiego wygi, tego samego co przedstawiał *Ojca-Równika*, -- dodał jakby na zakończenie.

— Ile płyniemy ?

Dawniejszy *Ojciec-Równik*, przywołaawszy dwóch młodych towarzyszy, zapuścił sądę.

— Pięćdziesiąt pięć węzłów ! odrzekł z zadowoleniem.

— Dobrze. . . . dorzucił kapitan, a obracając się do nas z uśmiechem: możecie panowie zejść do izby i pakować się.

W tej chwili zapomnieliśmy o wszystkich trudach i niewygodach.

Morze było gładkie jak zwierciadło i przezroczystszego błękitu, niż niebo; wiatr doskonały, a wspomnienia nasze o Francyi tak żywe i świeże, jak żebyśmy ją dopiero od wczoraj opuścili. Półczwarła miesiąca podróży wydało się nam jedną chwilą. . . a ileż to chwil nie nieznaczących w życiu człowieka ?

Przyjazd nasz był podobnym jak dwie krople wody... morskiej, do naszego wyjazdu: ten sam okręt, te same twarze, równa pogoda i jednakowe prawie myśli. Zasnęliśmy we Francyi, obudziliśmy się w Chili... reszta była snem tylko, mniej więcej przyjemnym, malowniczym... oto wszystko!

Wieczorem obiad nam nie smakował; w nocy nie mogliśmy zasnąć.

Nie mogąc uleżeć, około drugiej wstałem i poszedłem na pokład.

Nareszcie! nareszcie!— mówiłem do siebie, wstąpię na ląd stały! Ujrzę Chili i to wielkie miasto, tak wdzięcznie nazwane Walparaizo, (dolina raju) dla uprzedzenia podróżnego, że w jego okolicach znajdzie świetne i wonne kwiaty, drzewa złocistymi obciążone owocami, miękką murawę i miły chłodek w głębi każdego parowu. W rozigranej wyobraźni widząc się już blizkim przybycia, tyłkom co nie przeskoczył przez paręcz okrętu, by prędzej się nacieszyć temi pięknościami, których widok (pomimo cieniów nocy) zachwycił mnie swym blaskiem; i żebym w porę nie powstrzymał zapędu, doświadczyłbym w porcie skutków rozbicia się okrętu. Nie potrafię oddać wzruszenia, jakiego doznałem, gdy zatapiając wzrok w ciemności, spostrzegłem zwolna ukazujące się na widnokręgu światółko, zrazu blade i białe, potem coraz wyraźniejsze, jaśniejsze, żywsze.

Była to jutrzienka dnia — dnia, który miał nam dotrzymać tyle obietnic! Powitałem ją z miłością, prawie z nabożeństwem. Z kolei weszło słońce czyste, wspaniałe, promienne.



Wybrzeża Chili wspierają się na majestatyczném paśmie gór Kordyljerskich. Na przestrzeni mil czterdziestu dają się widzieć olbrzymie Andów wierzchołki, wiecznie pokryte śniegiem, a tak wyniosłe, jak gdyby niebu zagrażać chciały (mają dwa tysiące stop wysokości nad powierzchnią morza). Byliśmy pięćdziesiąt mil od przylądku *Koronilla*, mogliśmy więc dokładnie widzieć ziemię.... Lecz niestety! zaledwie Aurora różowemi rączkami zaczęła ukazywać drogę jasno-włosemu Febusowi (jakby powiedziano dawniej, lub jak dziś mówią szydząc z dawnych czasów) gdy gęsta mgła zaćmiła horyzont; to nam przypomniało ową zastonę gazową, która ukrywa w teatrze powolne zmiany dekoracyi. Niemiłe to jednak było wrażenie.

Lecomte chcąc nas pocieszyć, zaklinał się na wszystko, że gdyby nie mgła, niezawodnie ujrzelibyśmy wierzchołki Andów.

—Czyżeś je już ztąd widział? zapytaliśmy wszyscy razem.

—Nie... odpowiedział, mrugając okiem właściwym sobie sposobem; bo dwadzieścia dziewięć na trzydziestu dwóch razach zbliżałem się do Walporaizo o tej samej porze....

—A trzy pozostałe razy?....

—Zbliżałem się w nocy.

Owoż, co się przytrafiło Lecomtowi, da się zastosować do wielu żeglujących; daleko więcej z nich utrzymuje, że widziało Kordyljery o czterdzieści mil z morza, niż widziało w istocie.

O dziesiątej mgła jeszcze zakrywała słońce, ale mieliśmy już tylko siedmdziesiąt sążni głębokości;

kolor wody był zielono-żółtawy i słyszeliśmy zdalą szum fali rozbijającej się o skały; oczywiście byliśmy blisko lądu, a może i na przeciw Walparaizo. Zapach ziół polnych dochodził już do nas z całą swą świeżością, mnóstwo ptaszków lądowych latało nad okrętem... pojmiecie więc wzruszenie któregośmy w tej chwili doznali.

Nareszcie za powiewem wiatru mgły się rozeszły, i ujrzeliśmy szarą i piaszczystą skałę w odległości dwóch mil nie spełna.... Wstrzymaliśmy oddech, jak przy odkryciu kurtyny, przed zaczęciem dawno oczekiwanej i stawionej sztuki... Lecz na tem koniec trzeciego rozdziału.



## ROZDZIAŁ IV.

**Walparaizo nie trafnie nazwane. — Przystań. — Staoueli zatrzymuje się między dwoma statkami z Bordeaux. — Stacja Francuzka. — Dywizya Angielska. — Wylądowanie. — Zewnętrzny i wewnętrzny widok miasta. — Placuela de la Aduana. — Przegląd pasportów. — Rewizya pakunków. — Hotel Aubry. — Podobieństwo między Walparaizo i Pontoise. — Mały Paryż Ameryki południowej. — Don Manuel. — Kto on taki. — Staje się przewodnikiem czytelnika.**

### X.

**W**alparaizo, po hiszpańsku znaczy dolina raj: jużem to raz powiedział, jeżeli tu powtarzam, to na to tylko, żebyście państwo wiedzieli, że nie w je-

dnym Paryżu nazwania zawodzić zwykły.—Zapewne wam się nieraz, jak i mnie zdarzyło, przechadzając się po paryzkich bulwarach z cygarem w ustach lub z parasolikiem w ręku (jeśliście Dafnis lub Chloe, Filemon lub Baucis, Estella lub Nemorin) nie raz wam się przytrafiło, jak śmiałem twierdzić, zatrzymać się przed długim, zielonym lub różowym afiszem, zapowiadającym wielkimi literami nową zabawę lub sztukę, i po przeczytaniu go obiecywać sobie być pierwszym, czy też jednym z pierwszych przybyłych na teatr lub zabawę.—Tak też i ze mną było 16 listopada 1848 r.; przeczytawszy *Walparaizo*, tłómaczyłem *Dolina Raju*, a przy pomocy bujnej wyobraźni, spodziewałem się tam znaleźć raj rzeczywisty, co mnie tem bardziej nęciło, że byłbym w nim po raz pierwszy i zapewne ostatni.... Niestety! wszystko na świecie próżnością i zawodem! Lecz zacznijmy po porządku.

*Walparaizo* leży w głębi pochyłej półokrągłej przystani —Na prawo ponura skała ciągnie się ku oceanowi; na lewo, piaszczysta równina, a w środku nagi pagórek, — oto krajobraz *doliny raju*, przedstawiający się zawiedzionemu oku podróżnego..... Więc cóż dziwnego, że się tylu u bram nieba zatrzymuje.— Tu miasto jakby przypadkiem w jednej massie rzucone, przedstawia smutny i przykry, ścisakający serce widok. Zda się gniazdo węzów uczepione na urwisku skały.— Nic się tu nie uśmiecha, nie mówi, nie żyje. Nie widać najmniejszej zieleności w pośród spalonych od słońca dachów! Czujemy, że miastu brakuje powietrza, że z ciężkością oddycha, i nie wiem dla czego, widząc je tak blisko

przezroczystych wód Oceanu Spokojnego, przypominałem sobie męczarnie Tantalą.

Okręt nasz, pchnięty powiewem miłego wiatru, nazwanego przez marynarzy *wietrzykiem*,—wciskał się zwolna pomiędzy mnóstwo stojących na kotwicy statków, i podobny był do paryżanki szukającej w tłumie widzów fajerwerku dogodnego miejsca.

To miejsce znalazł między dwoma rodakami, *Orjo-nem* i *Olimpem*, z Bordeaux; wtenczas bez żadnej oznaki strudzenia, powolnie zarzucił łańcuch, z godnością wielkiej pani upuszczającej rękawiczkę do stóp kochanka.

Nie podzielaliśmy jednak spokojności okrętu.—Zażyłość nasza miała się rozerwać; jedni szli na północ drudzy na południe, ci na wschód, owi na zachód, i z czterech miesięcy przywiązania, współczucia, podzielanych niebezpieczeństw miało nam tylko pozostać wspomnienie,... a Bóg-że wie, czyli wspomnienie, choćby najlepsze, nie jest zawsze smutnem.

## XI.

W parę godzin po przybyciu, gdy przejrzano nasze świadectwa zdrowia i pasporta, mogliśmy wyjść na ląd stały.—Pięćdziesiąt czółen uwijało się koło okrętu; każdy z nas najał sobie jedno; i tak po stu dniach pobytu na morzu, opuściliśmy nasz pływający budynek, żegnając go ze smutkiem, jak się czyni zwykle z temi, których się kocha.

Zatoka Walparaizo, jako zatoka, obszerna i piękna, mogąca z łatwością pomieścić w sobie trzysta

wielkich okrętów; oprócz tego w letnich miesiącach, to jest, pod koniec września i na początku kwietnia, służy za wygodną i pewną przystań; prawda, że w zimie przedstawia mniej dogodności, jednak klęski w niej bywają rzadkie. W czasie naszego przybycia, pięć okrętów wojennych stało na kotwicy: admirałska fregata *Poursuivante*, korweta *Brillante* i bryg *Génie*, składały one stację francuzką; żaglowa fregata *Constance* i parowa *Gorgone*, dywizję angielską.

Walparaizo jest jedném z najbogatszych i najważniejszych miast handlowych Ameryki południowej; zbiegają się w niém wyroby całego świata, a sama Francya winem i rzeczami zbytkowemi prowadzi tam handel na wiele miljonów co rocznie.... Lecz nie mam potrzeby mówić łaskawej czytelnicze, że jej wykażę wcale inną storę chilijskiego miasta, zostawiając część handlową ludziom tego rzemiosła.

— Jakto?— ani słówka o łaksie, ustępstwach, wyplatach?

— O cenie mąki?

— O kosztach dowozu?

Tak niestety! i na miłość boską, podróżujmy jak artyści, nie zaś jak kramarze. Może też to będzie naszą zasługą, jeśli się w dzisiejszym wieku nie zatrzymamy na dźwięk dukata i nie zachwyci nas widok złota na stole wexlarza. Oddajmy należną cześć temu, co jest wzniosłem w naturze, dobrem w sercu ludzkim, a potem, za zgodą pani, idźmy dalej.

Walparaizo niema portu, więc przybywając od morza, doświadczamy bardzo smutnego wrażenia.



Widzimy przed sobą jakby pokutującą osadę, zamkniętą w cytadeli; zewnątrz same mury, a wewnątrz miasta niesłychać gwaru, nie widać najmniejszego ruchu, tylko od czasu do czasu pęknięty dzwon zegaru zdaje się wybijać godziny.... i wszystko.

W braku portu jest debarkader, składający się z trzech źle połączonych desek, i niewygodnej drabiny. Drabina owa przedstawia ci tę korzyść, że idąc po niej, możesz za każdym przypiływem fali odbyć wannę, której się nie ustrzeżesz, chyba żeś zwinny jak małpa, wiewiórka lub kot.

Przy wejściu na ląd widok się zmienia.— Miasto, które ci się zdawało martwym, jest pełne życia, a że niema w niem hałasu to pochodzi ztąd, iż pojazdy toczą się po piasku, i konie nie kute.— Ze wszech stron mnóstwo ludzi przychodzi, odchodzi, idzie, biegnie, a różnaitość ubiorów, jaskrawe kolory sukien, aksamitne lub wełniane obuwie *kawalerów punch'a* (rodzaj płaszcza), słomiane kapelusze, nadają debarkaderowi pewne piętno oryginalności, które uderza i zachwyca każdego europejczyka.

Przypomina nam to wszystko i Włochy i Hiszpanię, i Francję, lecz tylko z pięknej ich strony. Plac ten podobny do ubioru arlekina: niema nic własnego, a przecie pod względem malowniczym więcej wart, niż te angielskie ogrody, któremi dziś, pod pretekstem kolonizacyi, przystrajają skaliste wybrzeża obu Oceanów.

Byłem w siódmym niebie, pogrążony w dumaniu i rozmyślaniach o tem tak nowem dla mnie widoku, gdy nagle policyant zciągnął mnie w prozaiczną sferę lego świata, zapytaniem o pasport, lo-

nem ugrzecznienia. którego ci panowie czasem używać raczą.

Przedstawiłem pasport z filozofiją człowieka przywykłego do tych małych przykrości w długich podróżach po Niemczech, i myślałem że na tem koniec. Bynajmniej: w mundurze którego by się nie powstydzili jenerał dywizyi, strażnik z pręcikiem w ręku przybliżył się do mnie.— Zrozumiałem o co idzie i pośpieszyłem otworzyć tłumoki. rad że się dobre tradycyje nie zacierają, i że pierwszą rzeczą, którą świat nowy od nas przejmując.... są bióra policyjne i komory celne!....

Po chwili podnosząc oczy, spostrzegłem tablicę z napisem: *Plazuella de la Adluana*.

## XII.

Prawdziwa fatalność, wszędzie i zawsze znajdować naszą starą Europę z jej starem kramarstwem, starymi podaniami i zwyczajami; czyliż nie pozostanie na ziemi ani jeden kącik dziki, gdzieby można marzyć, rozmyślać i kochać?.... Tak myśląc, dążyłem z workiem podróżnym i pudłem od kapelusza w ręku do hotelu Aubry, najpierwszego i jedyne go zarazem w całym mieście.

Bo i jakiż to hotel!— hotel jakich pełno w Kale i w Duwr, z pokojami nómerowanymi i wiecznym arabem na koniu, zawieszonym nad łóżkiem!.... Róbcie sześć tysięcy mil dla ujrzenia podobnych rzeczy!.... Lecz to było niczem jeszcze: pierwsza przechadzka po mieście bardziej mnie rozczarować miała.

Wystaw sobie pani. że na ulicy, na której mieszkałem, na drugiej którą przejść musiałem, dla wyszukania pewnego hidalgo, w celu oddania mu rekomendacyjnego listu, nie było innych szyldów jak tylko następujące: \*\*\* Perukarz z Paryża, \*\*\* Szewc z Paryża, \*\*\* Krawiec z Paryża, Panna \*\*\* modniarka z Paryża i t. d.; sądziłem, że się znajduje w Pontoise, lub w Melan. W oknach tak samo wystawione towary, pozaczepiane kapelusze i sztucznie ułożone mydła i szczoteczki do zębów.

We dwadzieścia cztery godzin po przybyciu mojem do Walparaizo, dowiedziałem się, że druga stolica republiki Chilijskiej, była *matym Paryżem* Ameryki południowej: wtenczas wszystko mi się wytłómaczyło.—Małemi Paryżami pogardzać nie można, choć jest ich tyle na świecie; lecz przyznam się, że wolałbym widzieć Amerykę z jej żyzną ziemią, olbrzymiemi górami, dziewiczemi łąkami i lasami, wolną od téj ciężkiej zarazy naśladownictwa — to jest, chciałbym widzieć Amerykę tylko Ameryką.

—Na miłość boską. — zapytałem hidalgo o którym wyżej wspominałem, i który mię przyjął prawdziwie po hiszpańsku, — z kąd u was ta mania naśladowania nas we wszystkim?

—Nie zupełnie od nas ta mania pochodzi. .. przynajmniej w tej chwili,—odrzekł don Manuel z uśmiechem.

—Od kogoż więc?

—Od naszego gubernatora, w gruncie bardzo światłego i pełnego najlepszych zamiarów człowieka, lecz który przebiegłszy przez Francję koleją żelazną, a

przez Paryż w kabryolecie.... sądząc powierzchownie, myśli, że na tem koniec, i że można dać miastu francuzką powierzchowność, zostawując hiszpańskie serce..... Przytem, mówiąc otwarcie, mnie się zdaje, że bylibyśmy w stanie coś gorszego robić, jak tylko starać się naśladować Europę, a w szczególności Francję.

—Bez wątpienia, z pewnego względu; ale...

—Słuchaj pan.—przerwał don Manuel:—widzę, że nie jesteś kupcem.... Żebyś miał do sprzedania lijński aksamit, wstążki z Saint-Etienne, albo paryżkie świecidełka, mówiłbyś inaczej....

—A ty don Manuelu, byłbyś przypadkiem tem czem ja nie jestem?

—Ja?... Oprócz tego, jestem wszystkiem potrosze.—Przy okoliczności zajmuję się medycyną, filozofią z zasad, miłostkami przez brak zajęcia, bronią z zamiłowania, a nawet robieniem długów.... z potrzeby!

—A poezya?

—Poezya? Dobrze! jeżeli chcesz zajmiemy się nią wspólnie.—Będę ci służyć za przewodnika.—Obejrzymy miasto, przedmieścia, okolice; będziemy badać stare zwaliska, stare kroniki i wierzaj mi, że to co się dowiemy o starych podaniach, obyczajach i zwyczajach dawnego Walparaizo, będzie tyleż, jeżeli nie więcej warte, jak to cobyśmy mogli znaleźć w Walparaizo dzisiejszem.... zgadzasz się?

—Jakże! z całego serca.... a pani?

## ROZDZIAŁ V.

**Chilijczyk.**— Rys charakterystyczny.— Izba skarbu.— Trudność dziwnym sposobem przełamana.— Kradzież bez wyłamania drzwi.— Domy.— Dom Generała Kortez.— Almendral.— Bulwar.— Walparaizo w nocy.— Teatr.— Urządzenie sali.— Publiczność.— Aktorowie.— Repertuar.— Orkiestra.— *Cavallero*.— Przywileje obywatelskich synów.— Człowiek z ludu.— Chata Chilijska.— Żebrak na koniu.— Pożycie ubogiego.— Stół bogacza.— *Olla-podrida*.— Wygórowana miłość zbytku.— Dwa przysłowia któreby zasłużyły na pochwałę Sancho.

### XIII.

**U**kład z don Manuelem byliśmy nierozdzielni.

Jedną z rzeczy, które mnie najwięcej oryginalnością swoją uderzyły przy wylądowaniu, była *Placuela de la Aduana*, ją też najprzód zbliżka obejrzeć chciałem.

Placyk ten przedstawiał tenże sam widok co wczoraj: równie zapelniony był tłumem wioslarzy, żołnierzy, *serenos* i *peones*, którzy się tam jak w mrówisku ruszali, idąc, wracając, a to wszystko z tem



przejęciem się i powagą, jaką musiała mieć ludność handlowa dawnej Hiszpanii, kiedy jeszcze była Hiszpanija.

—Niech cię to nie myli, — rzekł do mnie don Manuel ze zwykłą sobie przenikliwością, — ci ludzie daleko mniej są zatrudnieni, niż starają się pokazać. — Chilijczyk z natury jest kłopotliwy, wiele hałasuje, udaje pośpiech, biega, macha rękami. lecz na tem koniec.

—Czy nie jesteś trochę za srogi dla swoich rodaków, kochany don Manuelu?

—Kogo nazywasz mojami rodakami?

—Ludzi, którzy żyją w tym samym kraju i urodzili się pod tem samem co ja niebem?

—Tak.... jest to powszechne pojęcie, a jednak fałszywe, — w moich oczach ten jest prawdziwym rodakiem, który się nie wyrzekł swej pierwotnej wiary, pozostał wiernym obyczajom ojców, zwyczajom kraju, i który zamiast cofania się, przez wspomnienie wielkich i świętych zabytków narodu, kształci się wśród nich i unosi w przyszłość skarby przeszłości. — Może pan nie podzielasz mojego zdania, może mi powiesz, że to zmieszanie rass zrządziła Opatrzność, i że powinniśmy się uważać za szczęśliwych, iż jesteśmy trochę anglikami, trochę francuzami, trochę amerykańskimi, a nawet trochę żydami.... zgoda! lecz z tego właśnie powodu znajduję tu ludzi, rodaków nie widzę.

—Jednak nie sam jeden musisz tu tak myśleć?...

—Nie wiem. Handel porównywa i poniża ludy.... i jego to duch nas zgubił; ale ponieważ o handlu

mowa, spójrz na to zabudowańko brunatnego koloru, tynkowane wapnem.

—Ten rodzaj kościoła z wieżyczką i zegarem?

—Właśnie.

—A więc?

—Jest to komora celna, podobna do wszystkich komór celnych całego świata, a nawet do wszystkiego co ci się podoba. Lecz jej oryginalność nie na jej kształtach polega, a raczej na środkach ostrożności do jakich daje powód, i które malują charakter natury chilijskiej.— Wystaw więc pan sobie, że wieczorem po zebraniu dziennych przychodów, minister ceł,— bo mamy na wszystko ministrów,— oddaje właściwej władzy klucze od kassy, i taka jest ufność wzajemna naszych urzędników, że żaden z nich nie śmie zdać na kolegę obowiązku czuwania nad skarbem publicznym.

—I jakże przecięto ten węzeł?

—Sposobem Aleksandra Wielkiego: komora kratą żelazną zamknięta, nie wymaga nocnej straży.— Żołnierz na warcie tak umieszczony, że się sam do komory dostać nie może, a widzi każdego tam wchodzącego—odbywa straż zewnątrz budowy i ma rozkaz strzelania do złodzieja.

—Sposób dość trafny.....

—Nie prawdaż?... Wszakże dowodzą, (lecz czegoż nie dowodzą!) że w czasie Wielkiego tygodnia, któregoś tam roku, trzech ważni złodzieje, porozumiewszy się ze strażą, dostali się do świątyni bogini Fortuny, aby tam obchodzić Wielkanoc..... I wiesz, że to wprost stosując do warty chilijskiej mó-

wi pismo święte: *aures habent et non audiunt, oculos habent et non vident*. (Mają uszy, a nie słyszą, — mają oczy, a nie widzą).

#### XIV.

Mówiąc ściśle, Walparaizo ma tylko jedną ulicę, a i ta nie zbyt prosta. Domy jednopiętrowe, z powodu częstego trzęsienia ziemi w tej części Ameryki południowej, wszystkie ozdobione gankami w kształcie krytych galeryj i masztami na których w niedziele i święta powiewają chorągwie z narodowych kolorów, to jest: z białego, czerwonego i niebieskiego.—Większa część tych domów ma piękne kształty; szczególnie odznacza się dobrym smakiem i wykwintnością dom generała Korteza.— Jest to szczęśliwa i oryginalna mieszanina wszystkich stylów. Na próżno byś szukał w sposobie budowania chilijszczyków jakiegokolwiek a zwłaszcza czystego stylu. Mieszkania i pomniki podobne do ich ulubionej potrawy: *olla podrida*, która wszędzie przemaga.....

W stronie miasta zamieszkałej przez kupców, po większej części francuzów lub anglików i kramarzy paryzkich, jest także kilka ładnych lecz zbyt europejskich domów.— Tak sławione miejsce spacerów, *Almendral*, w zachodniej stronie zatoki, a przestronniejsze niż same miasto, nie jest niczém innem, jak przykrą i piaszczystą drogą, na której daremniebyście szukali choć jednego migdałowego drzewka.

Z przeciwnej strony znajduje się bulwar, gdzie przecież się świeżem oddycha powietrzem; arysto-

kracya chilijska ustępuje to miejsce na przechadzkę dla mieszczan.— którzy niech się na to nie uskarżają, bo się im lepsza dostała cząstka.

Nie bo też niema bardziej malowniczego i wspanialszego, nad ten spacer przed nocą nad brzegiem morza.— Z prawej strony wznosi się ponura skała, podobna do uśpionego na fali olbrzyma; z lewej morze rozbija się o brzegi z swym strasznym i zarazem przyjemnym łoskotem; a na przedzie miasło jaśniejące tysiącem światła, wygląda jak jaki gród fantastyczny z Tysiąc i jednej nocy; bo w Walparaizo, gdzie rząd miejski nie zajmuje się oświeceniem ulic, każdy właściciel jest obowiązany zawiesić latarnię u drzwi swojego domu; obowiązek ten, w celu zwiększenia odbytu świec, i podtrzymania bardzo znacznego w Chili handlu łojem, czyni w nocy z Walparaizo, jak tylko można sobie wystawić, najczarowniejszy i najoryginalniejszy widok.— Patrząc z zatoki na miasto zbudowane w kształcie amfiteatru, zdaje się, że dom każdy nosi na swem czołe gwiazdę!

Dodać do tego zupełnie przezroczyste niebo, równe i gładkie jak zwierciadło morze; w zatoce ze trzysta okrętów poważnie kolyszących się na kotwicy, a zgodzić się, że ten widok wart spaceru między migdałowemi drzewami, bez drzew migdałowych, gdzie w końcu widzicie to co i wszędzie, to jest: mnóstwo czułych białych sukien, zakochanych, lakierowanych butów i sceptycznych cygar.

Walparaizo, ma się rozumieć, posiada teatr, ale trzeba dodać, że ten teatr rzeczywiście piękny, nie

co do zewnętrznej architektury, jako budowa, ale wewnątrz, jako teatr w ścisłym znaczeniu. Sala obszerna i dobrze urządzona; cały parter krzesłami wypełniony, pierwsze piętro z łóż złożone, a drugie i ostatnie zarazem, w kształcie amfiteatru; scena przestronna i dobrych rozmiarów; kórtyna przedstawia jakąś mieszaninę allegorycznych i historycznych figur, których znaczenia nie podobna się domyślić,— z resztą nieźle malowana, ale widać, że artysta miał więcej wprawy niż nauki, i więcej cierpliwości niż talentu.—To samo da się zastosować i do dekoracyj.

Teatr w Walparaizo, był kilka razy zniszczony przez trzęsienie ziemi; nowo odbudowany ma tylko dwa piętra i można się spodziewać, że będąc niezbyt wyniosłym, wytrzyma nadal podobne klęski. A choćby uległ powszechnemu losowi, odbudują go na nowo.—Tymczasem, jak wszędzie, służy za miejsce schadzki najpiękniejszym, najmłodszym i najstrojniejszym damom.—Równie jak w Neapolu, Medyolanie i Wenecyi jedzą tam lody, ananasy i ciastka; głośno rozprawiają o polityce, modach i miłości, palą cygara, kochają się, całują się, a nawet czasami i kłóćą; słowem robią wszystko po trosze, oprócz słuchania sztuki!

W gruncie nie jest to tak nierozsądnie, jakby się zdawało, bo aktorowie tak są mierni, że chyba podzielając słabość Karola Nodie dla poliszynelów, można być ich grą zadowolonym. — Uczynię jednak wyjątek na korzyść pewnego hiszpana Rodriguez, Perez, czy Rozales (zdaje się że Rozales) któremu nie brakło ani na sprycie, ani na dowcipie, ani na zapale.



Kiedyśmy po raz pierwszy z don Manuelem przeszli do teatru, grano: *Matężństwo przy bębnie*, i starą jakąś komedię Skrybego, sucho i dosłownie przetłómaczoną, jakby pierwszy akt króla Edypa w szkolnym przekładzie. Za drugim przedstawieniem widzieliśmy *Carlo Beati* (rola Arnala), a za trzecim słyszeliśmy Łucyę z Lamermoru, śpiewaną przez włoskich artystów (którzy swe głosy w Europie zostawili) z towarzyszeniem orkiestry, złożonej z fortepianu, dwóch skrzypiec, basetli, fletika, trąbki i puzanu!!!

Jedynym i prawdziwym celem zgromadzania się w teatrze w Walparaizo jest dla jednych rozmowa, dla drugich interes, a dla większej części miłość.— Zresztą, teatr łameczny jest własnością całego prawie miasta, bo każdy przynosi z sobą swoje krzesło, taburet, a nawet i świecę; zazwyczaj takie tam panują ciemności, że dla zakochanych i szukających przygód, jest to istny ósmy cud świata; choć nie obfituje w bogate zaślony malowidła i złocenia, za to jaśnieje świeżością cudnych twarzy, białością obnażonych ramion, i wspaniałością strojów, co wszystko stanowi dla *Cavaliero* godne popisu pole.

Nie wiecie zapewne, kochane czytelniczki i kochani czytelnicy, co to jest Cavaliero?

Niech don Manuel was oświeci.

—Kraj nasz,—mówi on,—pomimo nazwania rzeczypospolitej, wojen o niepodległość, i wyłamania się z pod hiszpańskiego jarzma, równie jest wolnym, bo choć z nazwania nie jesteśmy niewolnikami, jesteśmy niemi w istocie, a to na jedno wychodzi, jeżeli

nie na sto razy gorsze. Ściśle mówiąc, u nas tylko dwie klasy mieszkańców: szlachta i poddani! Tylko tu prości mieszczanie są szlachtą, a poddанныmi *peones*.—Każdy kto ma za co sprawić sobie czarny frak, nazywa się *Cavaliero*, a *Cavaliero* posiada nad członkiem z ludu wszelkie przywileje wyższości. — Może go, jeśli ma ochotę, wtrącić do więzienia, osądzić, skazać i publicznie oćwiczyć... zostawując prawo apelowania.—*Cavaliero* mający, lub zdający się mieć jakikolwiek dochód, nazywa się obywatelskim synem, a jego osoba, dom i służba są nienaruszonemi; stroi się on po paryzku, na zgubę biednych rzemieślników, jak tego wymagał dobry ton za czasów regencyi. Ubior *Cavaliero obywatelskiego syna*, jest zawsze najwyszukańszy, a w mieszkaniu jego panuje wielki zbytek — zbytek paryzki — z mnóstwem tych miłych drobnostek, które tak szalenie drogo kosztują; w stajni najpiękniejsze konie, a jeżeli ma pojazd, to pewnie równie wygodny, kształtny i świetny, jak jakiej księżnej. Pod względem moralnym, *Cavaliero* gra rolę niedowiarka, rozprawia o miłości, naśladuje Lovelasa, zwodzi kobiety, bije mężów, porywa córki, kręci wasy do góry, i używając francuzkiego wyrażenia: *wypełnia wszystkie obowiązki swojego stanu*....

—Widzę z tego, mój don Manuelu, że twój *Cavaliero* podobny jak dwie krople wody do *bohaterów regencyi*, wziętych z dzisiejszych zarogatkowych balików...

—Nie znam ja tam waszych balików, odpowiedział mi spokojnie *hidalgo*, — lecz jeżeli to coś dziwnego, to przypomina naszych *Cavalieros*, którzy w grun-

cie będąc dziwadłami, muszą być podobni do wszystkich dziwadeł na świecie.

Pod tym względem don Manuel miał zupełną słuszność, bo i Paryż ma swych *Cavalieros*, którzy u nas nazywają się *Lwami*... a poczciwy La Fontaine przeczuł zapewne ich przyjście, gdy w jednej ze swych bajek napisał:

A chociaż zwierze z siłą niezbyt srogą,  
Jednak świat cały umie przejąć trwogą.

## XV.

Jeśli opuściwszy świetny salon *Cavaliero*, wnijdziecie do pierwszej lepszej chatki, choćby w *Almendralu*—do chatki nie mającej więcej nad dziesięć stóp kwadratowych obszaru, skleconej z gliny i słomy, pokrytej dużemi palmowemi liśćmi, ujrzyecie w niej całe rodziny nędzarzów, mężczyzn, kobiet, starców i dzieci wychudłych, ponurych i bladych, skupionych nad gasnącem ogniskiem i gotujących mizerny pokarm.... szczyptę ryżu.... poznaćcie wtedy dwie ostateczności chilijskiego społeczeństwa.

Nie naśladujmy jednak don Manuela—nie przesadzajmy.

Nędza ludu chilijskiego wielka, przejmująca, lecz najczęściej dobrowolna.

Każdy tłómaczy sobie wolność jak mu dogodniej: owóz, dla chilińczyka wolność zależy na próżnowaniu, które dla niego jest ideałem szczęścia.— Za pół reala na dzień (koło 10 groszy) wyżywi całą rodzinę.— *Tasso* (wołowina pokrajana w pasy i ususzona

na słońcu) ryż w wodzie gotowany, *Sandilla*, (arbuz) a w dodatku trunek przyrządzony z żyta i nazywający się *Uipa*, wystarczą aż nadto żeby się wylegać większą połowę doby, a nie kosztują więcej, jak piętnaście groszy (cena kursu w omnibusie!). — Wprawdzie żona nie będzie miała koszuli, ponczoch itrzewików; ale cóż to szkodzi, byle mąż albo raczej mężczyzna (jak tu mówią) miał konia, na którymby mógł się uwijać po *Almendralu*, albo żebrować! gdyż dziwny istnieje zwyczaj w tym kraju, to jest, możność żebrowania na koniu, a raczej możność posiadania konia będąc żebrakiem.

To wam dowodzi, kochani czytelnicy, z jak dziwną obfitością mnożą się konie w Chili, z kąd pochodzi nader niska ich cena, zwłaszcza w głębi państwa, tak że w Walparaizo każdy jest doskonałym jeźdźcem. — Koń zastępuje tam psa w gospodarstwie, posiada wszystkie jego zalety. poczynając od przywiązania, łagodności i wierności.

Sprowadzenie wody, odwiedziny z chaty do chaty, zakupienie funta świec, wytknięcie nawet nosa na ulicę dla przekonania się o pogodzie, będąc tu ciężką pańszczyzną, wymaga użycia konia.

Biedne i pocziwe stworzenie! zawsze na pogotowiu do usług, zawsze uległe, łagodne i pieszczące się, a jednak sprężyste i prędkie, śmiałe i ogniste? W nagrodę nieustannie oddawanych posług właścicielowi, musi kaleczyć kopyta. bo podkowy drogo kosztują — *a koń tu istotnie nie wart swych podków!* Chilijczyk nie pojmuje starań, jakich koń wymaga i nie umie szanować sił jego. — Cóż tam. że młody żrebiec marnieje z trudu, głodu lub choroby — czyż za jednego

nie znajdzie tysiąc w poblizkiej dolinie?... zaprawdę, chilińczyk zachował w sobie ślad dawnego pochodzenia: indyjska krew płynie w żyłach jego!

Dobry był *Cavaliero* (wracając do niego) jest równie jak cywilizacya *Guasso* z nizkiej klasy, bardzo powierzchowny. — Zamożność jego zupełnie zewnętrzna: zdmuchnij a nic nie zostanie! w wielu nawet możliwych rodzinach, majątek bardziej udany niż istotny. Mają konie, pojazdy, łóżka w teatrze, za każdym bale nowa stroje, wspaniałe salony.... z tem wszystkiem, jedzą jak najpodrzedniejsi nasi bióraliści.

Trochę herbaty, ryżu, chleba, a czasem przy ważnej okoliczności *olla-podrida*, oto przysmaki, z których się uczyły zwykle składają.

Oczéwiście, że mówię tu tylko o mieszkańcach miejscowych; cudzoziemcy zaś przeciwnie, pod względem kuchni żyją bardzo przyzwoicie, nie myśląc wcale mydlić oczu jak to mówią; a nie można wszakże wymagać tego od chilińczyka żeby się wyrzekł miłości zbytku, bo ta namiętność zmieniła się u niego w stan gorączki chronicznej. Złe to? lub dobrze? Bóg raczy wiedzieć.... lecz w każdym razie słusznie w Chili powiemy:

*Habit czyni mnicha,*

A nigdy:

*Lepsza dobra sława, niż przepaska złota (\*).*

Byłoby to zdaniem Sancha jest także i mojem.

---

\*) *Bonne renommée vaut mieux que ceinture dorée.*



## ROZDZIAŁ VI.

Wojsko chilijskie. — Oficerowie. — Żołnierze. — Muzyka wojskowa. — Flota. — Jej wielkość. — Żegluga kupiecka. — Jej znaczenie. — Serenos. — Cel instytucji. — Złodziej z przypadku. — Sprawiedliwość zapobiegająca. — Tortura. — Jak się zmuszają ludzie do mówienia prawdy. — Osada poprawcza przy cieśninie Magellauskiej. — Wszystko jest dobrze na tym dobrym świecie. — Konstytucja chilijska. — Władza. — Zarząd — Dyplomaci. — Wychowanie publiczne. — Religia stanu. — Organizacja religijna państwa. — Finanse.

### XVI.

**W** czasie pokoju, ilość wojska w Chili wynosi około trzech tysięcy ludzi. Don Manuel zauważał, że trzecia część tej liczby składa się z oficerów różnych stopni.

— To panu tłumaczy, dodał, dla czego u nas zdrada dowódców szkodliwsza niż gdzieindziej. ... Połowa wojska przechodzi na stronę nieprzyjaciela. ...

— Na cóż ten zbytek oficerów?

— Na co?... żeby móżdż powiedzieć, gdy przejdzie patrol: *czterech ludzi i generał*.

— Tam do kąt! generał na czterech ludzi..... wspaniale!

— Cóż chcesz? trzeba było wynaleźć sposób zajęcia dla naszej młodzieży, i zarazem dać robotę krawcom. ...

— Zawsze żartujesz Don Manuelu. . . .

— Upewniam, że bynajmniej. . . i damom naszym zdaje się, że liczba dwóch tysięcy wzdychających mundurów niezbyt wielka.

— Mówmy seryo, i powiedz mi jakiej rangi ten oto młody oficer z epoletami marszałka Francyi?

— Porucznik.

— A ten drugi, morski, z haftowanym kołnierzem... Admirał?

— Wątpię... chyba że ta godność spadła na niego dzisiejszej nocy, (mówią, on śpi, a jego dola rośnie) bo wczoraj zasnął prostym podporucznikiem.

Ta przesada w ubiorze i potrzeba grania w żołnierzy przebijająca się w najmniejszych czynnościach, nie przeszkadza jednak młodemu chilijskiemu oficerowi znać swoje rzemiosło, mieć wiele gruntownych wiadomości, i nie ujmuje mu wcale męztwa. Przecież, wszyscy prawie mówią z łatwością po francuzku i po angielsku. Co się tyczy prostych żołnierzy, ci dowiedli, że się bić umieją, choć ich powierzchowność niema w sobie nic wojennego. Ubiór składa się z białych spodni, które bynajmniej nie są białe, z fraka nigdy niewyczyszczonego i z lederwerków, którychby się nawet powstydził gwardziśta narodowy z Senlis. Zresztą, najlepsze w świecie istoty; w czasie pokoju nie są w stanie szkolenia komukolwiek, i skłonniejsi do spania na piasku z nosem wystawionym na słońce, jak do robienia bronią.

Oto co się tyczy regularnego wojska; ale oprócz tego jest *gwardya miejska*, której liczba, piechoty i kawaleryi, dochodzi do pięćdziesięciu tysięcy.

Nowo utworzona muzyka wojskowa daje jeszcze wiele do życzenia, jednak w lepszym stanie jakby się zdawało; szczególnie w Walparaizo rząd nią zajmuje się z wielkiem staraniem, a ciągła obecność cudzoziemskiej muzyki stojących w porcie okrętów, służy jej za zachętę do doskonalenia się.

Szczupły repertuar, jedynie prawie złożony z wyjątków z różnych włoskich kompozycji; śpiew nawet narodowy, piękny i grany przy lada okoliczności, został skomponowany przez osiadłego w Chili, wynarodowionego włocho.

Za wojskiem idzie marynarka, jak za królową królowa.

Jednak ta królowa niema obszernego państwa. . . . Lecz cóż robić? *Najpiękniejsza w świecie kobieta to tylko udzielić może, co posiada . . .* i to już wiele, że udziela!

Marynarka chilijska składa się:

1) Z rozbrojonej fregaty *Chili*, zbudowanej w Bordeaux.

2) Z również rozbrojonego parowego statku, kupionego we Francyi.

3) Z brygu *Condor*, w którym zdaje mi się niebezpiecznie byłoby opływać przylądek Horn.

4) Z dwumasztowego statku *Janequeo*, któremu do kłaniania brakuje tylko zębów.

Może mię pani zapyta: i po cóż rząd chilijski trzyma wice-admirała, dwóch kapitanów okrętowych, trzech fregatowych, ośmiu korwetowych, ośmiu poruczników i mnóstwo podporuczników? . . . Ależ mój Boże! dla czegoż mąż pani, który nigdy nie siedział i może siedzieć nie będzie na koniu,

trzyma w swoim gabinecie potężną parę ostróg i pejcz tak straszliwy?

Nadto, jeżeli marynarka wojenna chilijska nie jest bardzo zatrważająca, handlowa jednak dość znaczna na tak małe państwo: liczy nie mniej jak dwieście okrętów, mogących pomieścić w sobie 30,000 beczek, z 1,900 ludźmi posługi, i odbywa mniejsze i większe przybrzeżne podróże.

Pilno mi już wspomnieć o pewnej instytucji, która choć niekoniecznie wojenna, będzie tu na swoim miejscu,—chcę mówić o tak zwanych *Serenos*.

Mieszczanin Walparaizo,—podobny do wszystkich mieszczan świata, a nawet do paryzkich,—nie wspomina nigdy tych szanownych urzędników bez właściwej czułości, i bez złożenia rąk ze skrucą.

Ale bo i któż może więcej od nich zasłużyć na te szczerze oznaki współczucia, uszanowania i względności?.....

Są to stróże nocni, protektorowie rodzin, obrońcy własności, przedstawiciele moralności publicznej, opiekunowie wdów i sierot....

Wiem, że są zdarzenia, w których *sereno* chętnie zasypia jednym okiem i uchem... lecz któż jest doskonałym na tym świecie?... To się jednak zdarza, tylko w takich wykroczeniach, gdzie miłość gra główną rolę.

Każdy *sereno* w ciągu swej służby ma wyznaczoną sobie straż pewnej liczby domów, (których właściciele płacą miastu w tym celu jakąś roczną sumę), a że policya czyni ich odpowiedzialnymi za wszelką kradzież, łatwo pojąć z jaką gorliwością spełnia-

ją swój obowiązek. Jak wyżej powiedziałem, na małe uliczne zgorszenia i pokojowe intrygi zamykają Argusowe oczy, lecz oprócz tego są prawdziwemi Cerberami.

Przy takiej ostrożności, jeżeli jednak kradzież się popełni, złodziej bywa zaraz pojmany. Zdarza się czasami, że winowajca potrafi wymknąć z rąk sprawiedliwości, na przekór wszystkim poszukiwaniom znanych z wielkiej wprawy policyantów, — w takim razie dla dania przykładu, i niezostawienia bezkarne występku, aresztuje się ten, na którego pada powszechne podejrzenie.

Pojmaną ofiarę stawia przed urzędnikiem, który doń w ten prawie sposób przemawia:

—Czy wiesz, że téj nocy skradziono dwieście baryłek *tasso* u Ignacio-Joze-Juan-Sanchez-Alfonso-Perez-Luiz-Pedrolino Balbuena?..

—Słyszałem jaśnie wielmożny panie.

—Wiesz że ciebie posądzają?

—Dowiedziałem się dziś rano, powróciwszy z Coquimbo, gdzie byłem przy połogu mojej żony.

—Co na to odpowiesz?

—Nic więcej jaśnie wielmożny panie.

—Dobrze! przyznasz-że się do winy?....

—Jakże mam przyznać się do tego czegom nie popełnił?....

Po takiej odpowiedzi, wyprowadzają związanego biedaka, uwiadamiając go zaraz, że zważywszy niektóre okoliczności zmniejszające przewinienie, wspa-  
niałomyślny sędzia skazuje go na pierwszą próbę piętnastu różek, nie zaliczając, ma się rozumieć, do



zasłużonej kary, którą otrzyma potem, po zupełnem przyznaniu się do winy. — W skutek czego, obnażywszy do połowy i włożywszy na głowę rodzaj mitry z blachy, przywiązanego do długiej deski, prowadzą na *plazuela de la Aduana*, gdzie niezwłocznie otrzymuje piętnaście razów na pociechę pozostałych jeszcze zwolenników świętej Inkwizycyi. — Więc winowajca najczęściej zaczyna od zrobienia wszystkich żądanych wyznań, dla uniknienia *badan*, — co też jest bardzo rozsądnem z jego strony.

Oprócz tego zwyczaju, — o którym wolno sądzić każdemu jak mu się podoba, lecz który mi się wcale nie wydaje miłosiernym, — mają jeszcze Chilijczycy i inne zapobiegające środki (szczególnie karne) noszące na sobie piętno filantropii i prawdziwej mądrości.

Biorąc pierwszy lepszy przykład, wspomnę o osadzie zesłanych przy Magellańskiej cieśninie.

Tam, wszyscy skazani są wolni. — Muszą tylko kilka godzin w tygodniu poświęcić na wspólne karczowanie ziemi, po dokonaniu czego, mogą się zajmować staraniem około swego małego domku i niewielkiego ogródka. — Najczęściej wziętym bez schronienia i przytułku, dają mieszkanie i kawał ziemi, zdrowy pokarm i odzienie, a nadto możność ożenienia się. — Oczewiście, że to zasługuje na pochwałę.

Ale co jeszcze jest lepsze, to to, że tym sposobem winowajca, za pomocą związku familijnego i widoku wielkiej, bogatej pierwotnej natury, może się poprawić i podnieść we własnych oczach.

Widzicie w końcu, że wszystko idzie ku dobremu, na tym nie zbyt dobrym świecie.

## XVII.

Dzisiejsza konstytucya chilijska, — bo trzeba coś przecie i o niej powiedzieć, — datuje od roku 1833; będąc tylko powtórzeniem konstytucyi 1829 roku, nadając Chilijczyków wszystkie polityczne i obywatelskie prawa, zapewniając nietykalność pomieszkania, ogłasza wolność, wolność druku i znosi poddaństwo. — Władza wykonawcza znajduje się w ręku prezydenta obranego głosowaniem pośrednim, na lat pięć, z możliwością powtórznego obioru na tenże sam przeciąg czasu. Dwie izby, senatorska i deputowanych, pod nazwiskiem narodowego kongresu, spełniają obowiązek władzy prawodawczej. — Interesa państwa powierzone czterem ministrom: ministrowi spraw wewnętrznych i zagranicznych, — ministrowi narodowego oświecenia, sprawiedliwości i wyznań, — ministrowi finansów, — i ministrowi wojny i marynarki. — Zarząd sprawuje się za pośrednictwem prowincjonalnych zastępców, gubernatorów, wicegubernatorów, dozorców, deputatów i wreszcie miejskich urzędników, wyznaczanych na lat trzy. Do innych czynności włożonych na ministerstwo spraw wewnętrznych, które od niebawem dawnego czasu istnieje, dodano urządzenie poczt, dozór nad statystycznymi biurami, nad komissyami wsparcia publicznego, nad prowincjonalnymi zarządami dróg, i wreszcie nad szkołą dróg i mostów. Co się tyczy działań ministerstwa interesów zagranicznych, te są takie same jak wszędzie tylko na mniejszą skalę. — W gruncie, polityka zewnętrzna chilijska jest prawie żadna, bo jej jedynem zajęciem w cudzych kra-

jach, są tylko starania o dobro narodowego handlu. Rzeczpospolita utrzymuje trzech pełnomocnych ministrów przy dworach wschodnich, w Paryżu, Rzymie i Nowym-Jorku, reszta agentów dyplomatycznych składa się z konsulów w Bordeaux, w Hawrze, Londynie, Liwerpolu, Kadyxie, Genui, Rio-Żaneiro, Buenos-Ayres, Lima, Mazatlan i Honolulu.

Co się tyczy narodowego wychowania, Chili posiada uniwersytet w Sant-Jago; pięć liceów, w Talka, San-Felipe, Conception, San-Fernando i w Serena; więcej stu szkół dla poczynających, instytut handlowy w Walparaizo, francuzkie kollegium księży zgromadzenia Najświętszej Panny, i kollegium angielskie.

Religią stanu jest wyznanie katolickie, innego konstytucya Chilijska nie uznaje. — W całej rzeczypospolitej tylko jedno arcybiskupstwo, trzy biskupstwa, sto dwadzieścia parafij, około pięćdziesięciu męzkich i żeńskich klasztorów, i nieskończona ilość kaplic. — Oprócz tego, w biskupstwie Chili znajduje się *zakład propagandy* dla rozkrzewiania katolicyzmu pomiędzy Indyanami.

Nie powtarzam tego com mówił o wojsku i marynarce, pozostają tylko finanse.... Te, jak słyszałem, są w kwitnącym stanie. — Tem lepiej!

## ROZDZIAŁ VII.

Postać Walparaizo w miesiącu listopadzie 1848 r. — Kalifornija. — Emigracya. — Admiralska fregata *Poursuivante*. — Dzień świętej Barbary. — Boże narodzenie. — Ożywienie miasta. — Wyjazd do Santiago. — Powozy pocztowe. — Korreo. — Stacya. — Jakim sposobem podróż się odbywa. — Wspaniały widok z wierzchołka Andów. — Santiago. — Widok miasta. — Jakim sposobem zbudowane domy. — Monumenta. — Mennica. — Alameda. — Tama Majpocho. — Towarzystwo w Santiago. — Chilijska gościnność. — Obyczaje. — Zwyczaje. — Mattee. — Śliczny zwyczaj. — Balkon don Manuela. — Ogród botaniczny. — Historia zazdrości, chustki do nosa, przechodzącego mimo pana, i męża.

## XVIII.

**W**alparaizo nie było celem mej podróży. — Jechałem do wysp Sandwich; ale dla dostania się w tę opuszczoną stronę świata, trzeba było sposobności, która mi się nie nadarzała, gdyż wszystkie okręta, przychodzące z Europy dążyły zaraz do Kalifornii, a stojące w porcie, także wybierały się do tego nowego Eldorado. Z tego powodu przedłużył się mój pobyt w Chili: nie zdawał mi się jednak długim dla

sposobu jakim czas przepędzałem. Walparaizo bowiem przedstawiało wtedy widok dziwnie zajmujący, pełen życia i oryginalności. O niczem więcej nie mówiono wszędzie, jak tylko o nowo odkrytej Kalifornii, wszyscy się tam wybierali; dzienniki dziwne o niej roznosiły wieści; a na wszystkich murach można było widzieć ogłoszenia udających się do Kalifornii okrętów.— Jednem słowem, Kalifornija była heroiną czasu, a mania emigrowania chorobliwa, gorączkowa, szalona, opanowała mężczyzn, kobiety, starców, dzieci, panów, służących, bogatych, ubogich, mieszczan, rolników, wszystkich a wszystkich.— Przedmieścia były zapełnione przybyszami spieszącymi z różnych stron rzeczypospolitej, dla zajęcia miejsc w okrętach dążących do San-Francisko, a hotele i zajezdne domy napchane Amerykanami, Brézylijczykami, Francuzami i Anglikami, którzy przybywszy na rozpuszczonych żaglach z Montevideo, Buenos-Ayres, i Rio-Żanejro, zastanowili się w Walparaizo dla wytchnięcia.

Do tego niezwyčajnego ruchu trzeba dodać zwykłe ożywienie miasta, pomnożone przybywającymi codziennie do zatoki, nowymi okrętami.— Najprzód były tam okręta z Europy, które nie wiedziały pierwsi o odkryciu Kalifornii.... powtórne statki do połowu wielorybów, powracające do swoich portów, wreszcie pływające często po odkrytym morzu, dla wprawy osady okręta wojenne, — z pomiędzy tych ostatnich, jeden ciągle będący na widoku, admirałska fregata *Poursuivante*, dowodzona przez dzielnego i zanego kontr-admirała Legoarant-de-Tromelin, (tego samego, który w randze oficera, na korwecie



*Poursuivante*, — szczególne zbliżenie nazwisk, — odbył sławną podróż w celu odszukania Lapeyrouse) ta fregata, mówię, to odbywała manewra na pełnem morzu, to wyścigała się z angielskim okrętem *Arya*, to po prostu ćwiczyła się w strzelaniu z dział. Uczynność jej poszła w przysłowie, bo gdy wypadło urządzić na pokładzie, czy poranek muzykalny, czy bal, czy jakąkolwiek inną zabawę, była pierwszą do uskutecznienia tego. — Tak naprzykład, pewnego razu, podczas prześlicznej pogody, było tańczące *po-południe*. Najprzód zeszli wszyscy do baterii; zaczęto strzelać na cześć artylerzystów i ich patronki S. Barbary; potem nastąpiła wesoła uczta, po której muzyka okrętowa wykonała koncert — a wszystko zakończyło się zapowiedzianymi tańcami. — Dzień ten S. Barbary przypominał mi, że zostawiłem we Francji dobrą, pocziwą przyjaciółkę takiego imienia, i w duchu wzniosłem toast za jej zdrowie. — Za trzy miesiące będzie o tém wiedzieć, rzekłem do siebie.... i na tę myśl gorzko się uśmiechnąłem, bo co jest najokropniejszego w rozłące o cztery tysiące mil, to to, że często obchodzimy dzień urodzin przyjaciela zmarłego już od pół roku, i piszemy miłośny list do narzeczonej, która dla spokojniejszego oczekiwania naszego powrotu, przeszłej wiosny wyszła za mąż.

## XIX.

Wkrótce święta Bożego narodzenia jeszcze bardziej ożywiły Walparaizo, i tak już pełne życia z powodu emigracyi do Kalifornii. — Wszędzie rozlega-

ły się wesole śmiechy i okrzyki radości; na teatralnym placu można było spotkać grona tancerzy, a w *Almendralu* mnóstwo śpiewaków, popisujących się ze starymi romansami, przy towarzyszeniu gitary; na ulicach, wybrzeżach, bulwarach, liczni kawalerowie pokazywali swoje dobre miny, a istne procesye młodych i ślicznych dam. dążyły nieustannie do ogrodu zwanego *Polendo*. Krótko mówiąc, całe miasto, z końca w koniec, było jednym obrazem pełnym ruchu i oryginalności.

Dawniej odbywały się walki byków, albo raczej wyścigi byków, (bo widowisko nie było krwawe); dziś tego niema, jednak święta Bożego narodzenia niemniej piękne i wesole.

Bogatsi kupcy, i w ogólności wyższe towarzystwo, mieszka u podnoża skał otaczających miasto i *Almendral*; niższa klasa rozrzucona po całym mieście, jak może tak się chroni. — Chilijczycy, pod względem gościnności, dotąd pozostali hiszpanami, i trudno pojąć z jaką serdecznością i uprzejmością witają gości, czy to w bogatej willi, czy w ubogiej chacie, czy to zapraszając na soczystą *olla podrida*, czy na kawał chudego *tasso*. — Będąc u nich, człęk jest jak u siebie. — Przyjęcie zwykle się zaczyna podaniem pewnego, narodowego napoju, zwanego *Matee*, przyrządzonego na sposób herbaty, w kryształowym naczyniu, z zioła nazwanego *gerba*. — Skoro napój gotów, kryształowe naczynie wkłada się do oplataney misy, która przechodzi z rąk do rąk, a każdy pije przez rurkę, zakończoną dziurkowatą, dętą gałką, nazywającą się *bombilla*. — Krajowcy przywykli pić prawie ukrop, co cudzoziemca stawia w przy-

krem położeniu. bo grzeczność zmusza go do naśladowania gospodarzy, lecz nikt niechce odmówić sobie przyjemności wzięcia do ust *bombilli*, gdy ją podaje młoda i ładna *senorita*, wyjąwszy wprzód ze swoich koralowych usłeczek....

Chilijczycy w kółku rodzinnem okazują sobie wzajem największe względy; dzieci odzywają się do rodziców z czułością i z uszanowaniem, rodzice z poślizgiem i dobrocią.— Nawet między pospółstwem trudno posłyszeć grubijzańskie słowo, lub ujrzeć złe obejście się.— Oczewiście, że grunt charakteru chilijskiego składa się z grzeczności i dobroci.

Wychowanie bardzo zaniedbane, a szczególnie u kobiet, i to co nam się w nich podoba, to jest, miły układ, przyzwoite obejście się i odznaczanie się, pochodzi jedynie z wrodzonego usposobienia.

Szóstego grudnia, o szóstej godzinie rano, w skromnem *birlocho*, które zawczasu zamówiłem, wyruszyliśmy z don Manuelem do Santiago.

*Birlochos*, nazywają się obrzydliwe, nie kryte kabriolety, wystawione na wszystkie wiatry, jak płaszczyzny don Cezara de Bazan, niegodziwie osadzone na wysokich kołach.—Zaprzęgają do nich po dwa konie, a na lejcowym siedzi *correo*. Zwyczajnie są to szkapy, ale co najprzód niepokoi, bardziej niż ich chudość, to ich uprząż.— Patrząc na te sznurki służące za pasy pociągowe, mimowolnie pyta człek siebie, czy dojedzie w całości do Santiago? czy nie zawiesił życia na nitce?... Jednak *correo* w butach z grubej wełny, z *poncho* na plecach, z przyczepionem do siodła *lasso*, wskakuje na konia, a gdy go

zecznie wielkimi, meksykańskimi ostrogami. jak wiatr rusza powóz z góry na górę, z doliny w dolinę, z wąwozu w wąwóz. Z tyłu za *birlocho* przywiązane lożne konie, dla zastąpienia zaprzężonych, bo o inszym rodzaju zmiany niema co mówić; lożne te konie nie mogą zastąpić świeżych, jednak dobrze biegają, i przy takim pocztowym systemacie, można ujechać bez popasu od dwudziestu, do dwudziestu pięciu mil. Starano się, zaprawdę, wyznaczyć pewne miejsca dla zmiany koni, były nawet towarzystwa w celu ustalenia regularnego chodu dyliżansów między Santiago i Valparaizo, — ale zaledwie przyprowadzono konie na wyznaczone miejsca, znikwały bez wieści jakby cudem; co do pojazdów, te były tak słabo zbudowane, że co moment potrzebowały naprawy; wreszcie brakowało i samych podróżnych, bo chilijczyk lubi przygody, nie umie się zastosować do dyliżansowego porządku, potrzebuje nieładu i nieprzewidzianych wypadków; tak więc, po kilku miesiącach próby, towarzystwa zbankrutowały, unosząc resztę kassy na pozostałych koniach..... powrócono do *birlochos*.

Jest około trzydziestu pięciu mil odległości między jednym a drugim miastem, przebycie której kosztuje od szesnastu do ośmnastu piastrow, (od 80 do 90 fr.); jadąc we dwóch, każdy płaci połowę. — Zazwyczaj wyjeżdża się o szóstej rano, zatrzymuje się w Kaza-Bianka na obiad i nocleg. przejechawszy dwie trzecie drogi, a nazajutrz około południa przybywa się do Santiago. — Na godzinę drogi przed zbliżeniem się do płaszczyzny, wśród której leży miasto, stajemy na wierzchołku ostatniej góry, zkad widzimy

całą rozległość Andów, od ich szczytów pokrytych śniegiem, aż do stóp zanurzonych w morzu zieloności.—Widok zachwycający swoim ogromem i wspaniałością: patrząc nań, czujemy obecność Boga! Nie można tego oddać ani pędzlem, ani piórem: tylko widząc trzeba podziwiać.

Santiago jest najregularniejszym i najczystszejm z miast mnie znanych; ulice przerzynają się pod kątem prostym, a bruk utrzymany z uderzającą starannością.—Domy białe, kwadratowe, o jednym piętrze, z płaskimi dachami, i z rodzajem gale-ryi nad gzemsem.—Wchodzi się do mieszkań z dziedzińca nazwanego *patio*; od ulicy są także wielkie drzwi wchodowe i z gustem ozdobiony przysio-nek.—W głębi każdego domu jest ogród z bieżącą wodą, co się przyczynia do świeżości powietrza wewnątrz zabudowania. Santiago nie odznacza się wspaniałością budowli publicznych, i nawet mennica, którą się najbardziej chlubią Chilijczycy, wcale na to nie zasługuje; a że dotąd nie ukończona, niektórzy niedowiarkowie twierdzą, że może i nigdy nią nie będzie.—*Alameda*, nazywana także *Tajamor*, jest bardzo ładnem miejscem przechadzki, ochronionem z jednej strony doskonałą tamą, od wylewów Maypocho w czasie topnienia śniegów.—*Alameda* składa się z trzech dróg rozmaitych; w środkowej jest szose, po którym toczą się pojazdy, boczne zaś wysadzone cienistemi topolami, a pomiędzy niemi dają się widzieć może najpiękniejsze chilijskie kobiety, jak na szose najwspanialsze zaprzęgi. Towarzystwo w Santiago różni się zupełnie od towarzystwa w Walparaizo, odznacza się dobrym gustem, bystrym i wy-



kształconym umysłem, swoboda w obejściu się, przyjemną rozmową i elegancją.

## XX.

Powróciłem do Walparaizo.

— Żebyś chciał,— rzekł raz don Manuel,— mógłbym ci opowiedzieć historię naszego kraju, nauczyć jakim sposobem był zawojowany przez Hiszpanów, ucywilizowany, i jak wreszcie odzyskał niepodległość przy pomocy dzikich ludów, Arokanów, których z kolei, po wybiciu się, zagarnął pod swoje panowanie.— Mógłbym ci powiedzieć, ryjąc się w zwaliskach: oto świątynia w której poraz pierwszy rozległ się okrzyk swobody, w której najprzód opowiadaniem było słowo niepodległości; oto tu była fontanna, wstawiona wielką zbrodnią polityczną; oto ołtarz, mauzoleum, kazalnica, portyk!..... Lecz czy cię to obchodzi? Mnie się zdaje, że bardzo mało, bo tem zapełnione książki, wole ci powiedzieć, że byliśmy kiedyś narodem młodym, pełnym życia, rycerskim, surowych i patryarchalnych obyczajów, o którym wnioskować z tego czem dziś jesteśmy, byłoby niesprawiedliwością....

—Ależ don Manuelu, i teraz jesteście doskonałym i zacnym narodem....

—Doskonałym i zacnym,— przerwał don Manuel z westchnieniem,— być może..... lecz wielkim nigdy.— Teraz jesteśmy tylko wspomnieniem, cieniem lub widmem nas samych.... Rassa dawniejszych ludzi kona, skonała.— Gdzie nigdzie znajdziesz przypadkiem w jakiejś wsi samotnej, typową twarz mę-

żeczyzny lub czasem całej rodziny, która ci przypomni szlachtę dawnych czasów.... Lecz hęda to tylko piękne postaci, wyjęte z obrazów przeszłego wieku; jesteście bowiem nieprawemi dziećmi ojców naszych, albo potrochę całego świata. — Zważ proszę, czy jest w nas jaki pierwiastek stanowiący życie narodu?.... Mamyż literaturę, sztuki piękne, artystów, teatru?.... A gdy nas siły fizyczne opuszczają, wzrastająż moralne?....

—Mój Boże! wszak Paryż nie w jednym dniu zbudowany; z czasem wszystko przyjdzie czego jeszcze dziś niemacie. — Pamiętaj na to, jak was obficie uposażyło przyrodzenie, jakimi skarbami otoczyło waszą kolebkę, jak jasne słońce świeciło w dzień waszego urodzenia!.... Zaledwie jesteście wielkimi dziećmi, idącemi omackiem i szukającemi drogi; lecz skoro dojdziecie do dojrzałości, przekonacie się, że wam nie brak duszy.

Zgarbiony i łysy don Manuel smutnie pokiwał głową.

—Pan mnie nie wierzysz?

—Jeżeli wierzę to nie dla tego żeby....

—Więc nie masz słuszności.

—Niech i tak będzie.

—Powiem dla czego....

—Mów.

—Że nie masz wiary w przyszłość.

—Bo jestem zbyt wierny przeszłości.

—Być może....

—W takim razie, wierność moja jest zadawnioną chorobą, prawie jak ja starą i która przejdzie chyba z moją śmiercią. — Zresztą może masz słuszność, że

Chili stanie się z czasem wielkim i wojennym narodem.... wtedy w głębi ziemi kości dobrych i prawdziwych Chilijczyków wstrząsną się z radości.

—Don Manuelu! z taką nadzieją usiądźmy na balkonie popatrzeć na Valparaizo w 1848 r., pomoże to nam w oczekiwaniu przyszłości.

Dom don Manuela był obrócony frontem do *Almendralu*, a z balkonu cudny widok przedstawiał się oku. Najprzód zatoka ze swemi różnokolorowemi, okrętowemi flagami, lazurowem niebem, tonącym w równie lazurów morzu; dalej plac kościelny i teatralny zarazem, na którym powracający z rannej mszy czytali alisze zapowiadające wieczorne przedstawienie; wreszcie, miejsce spaceru zapełnione pojazdami, kawalerami w jaskrawych *ponchos* i młodemi, ładnemi parami kochanków.

—Ten widok,—rzekł don Manuel, po długim milczeniu i namyśle,—jest rzeczywiście bardzo zajmującą i nauczającą latarnią czarnoksiężką. — Oto na początek,—czy widzisz tę małą urody, w niewinnej białej sukni senoritę, idącą z najskromniejszą minką do botanicznego ogrodu?

—Widzę doskonale.

—Jakiego ci się zdaje być wieku?

—Lat piętnaście.

—Poczekaj rok jeszcze, a będzie prawdą to co powiedziałeś..... Ołoż te czternaście wiosen, swą lekką i drobną nóżką dąży teraz na miłosną schadzke. Znajdzie się tam pod cieniem grabu młody kadet marynarki, zrywający przypadkiem kwiaty na bukiet.... potem, niewiedzieć jakim sposobem, zacznie się zrywanie we dwóch... Rzecz to tak pro-

sta, naturalna i miła.... po ułożeniu bukietu, nastąpi zadziwienie z niespodzianego połączenia rąk wśród róż i konwalii.... dalej z powodu oddychania wonią tegoż samego kwiatka..... i zaprawdę, noc, rozpościerająca nad ziemią swe cienie, będzie pożądanym gościem.

—O! don Manuelu, proszę tak śmiałych nie robić wniosków!

—Uchowaj Boże!.... Patrz lepiej na tę spuszcza-  
jącą się ostrożnie żaluzję.... tu, na prawo.... i na  
tego kawalera, co się pod oknem przechadza, jakby  
o niczem złem nie myślał.... Pójdę o zakład, że się  
za kilka minut ukaże biała i kształtna rączka, upu-  
szczająca haftowaną chustkę... uśmiechasz się; ni-  
gdyż ci się nie zdarzyło stracić chustki?.... Rzecz  
przytrafiająca się każdemu.... kładziesz bez uwagi  
na brzegu okna.... byłeś czémś zajęty, marzysz,  
gdy razem niespodziany wiatr unosi chustkę.

Rzeczywiście, wszystko tak się stało, jak don Ma-  
nuel przepowiedział.

—Widzisz,—ciągnął dalej z ironiczną powagą,—  
na szczęście, znajduje się tam w porę przyjaciel, któ-  
ry podejmie cenną koronę, niedozwalając jej wpaść  
w niegodne ręce. . . Wyborna to rzecz mieć przy-  
jaciół na ulicy!... chustka będzie oddana.

—Lecz zdaje się, że ten pan nie wraca.

—Miej cierpliwość... trzeba mu dać czas na wejście  
na wschody, na zadzwonienie, przywitanie i zejście....  
Patrz, oto jest.

—Bynajmniej.... tamten był wysoki i ładny, ten  
niski i brzydki.

—Masz słuszość.... omyliłem się, to mąż....

—Jakto? mąż....

—Bez wątpienia.

—Wychodzi, gdy kochanek żony wszedł do mieszkania.

—Doprawdy,— rzekł znacząco don Manuel,— mnie się zdaje, że to najlepsza pora.— Ten mąż umie żyć; pocoż być egoistą?.... dla wszystkich jest miejsce pod słońcem.

—Pod słońcem, tak.... ale nie w miłości tej samej kobiety!

—Wyszukane słowa. Upewniam, że w gruncie jest to jedno i to samo; serce i miłość kobiety, jest stupromiennem, jaskrawem słońcem, uszczęśliwiającem tysiące wybranych.

—Nie będę ci tać, don Manuelu, że to mi się wydaje dziwnem.

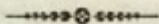
—Zapewne, bo jest dla ciebie nowością, a wszelka nowość zadziwia.... ale co mi powiesz na to, że nasi duchowni nie nader żyjąc przykładnie, niemiłosiernie posyłają do piekła wszystkich tych, którzy nie zachowują postów?

—Powiem, że wszystko co od ciebie słyszę, bardzo mnie zajmuje.

—W takim razie, opowiem ci chilijską historyjkę, którą jednak nie podaję za prawdziwą pod każdym względem, mogącą wszakże oznajomić cię z niektórymi szczegółami naszych obyczajów.— Oto są papirosy, zapalmy je— a gdy się dym zacznie unosić nad naszymi głowami, przyzwijmy na pomoc — pan bóstwo cierpliwości, ja zaś bóstwo wspomnień.



Don Manuel wyciągnąwszy się na *hamaku* i pobudziwszy go do ulubionego przez kreolów kołysania, temi prawie słowy zaczął opowiadać:



## ROZDZIAŁ VIII.

Dwie Marykitty.

### XXI.

**N**a początku tego wieku, za ostatnich lat panowania hiszpańskiego, prawo wzbraniające przystępu do brzegów było wykonywane z całą ściśłością; tylko okręta i wyroby półwyspu miały wolny wstęp do portów; innych zaś narodów, skoro się zbliżały do brzegów, bez szczególnego nato zezwolenia, (nawet wrazie uszkodzenia) podlegały konfiskacie, — a osadę okrętową wtrącano do głębi ciemnych i wilgotnych lochów.— Dwie następujące przyczyny były powodem tego dziwnego i niehumanitarnego obejścia się: najprzód, że rząd hiszpański chciał sam jeden mieć w ręku całe monopolium swoich kolonij; powłóre, utrzymując władzę za pośrednictwem grozy i ciemnoty, tak że nauczanie czytać niewolnika było zbrodnią, niczego się bardziej nie bał jak obecności cudzoziemców. Nie w celu ludzkości i oświaty, trzeba to wyznać, lecz dla handlu i zysku, kapitanowie różnych, kupieckich okrętów, handlujących wówczas na mo-

rzach południowych, porozumieli się między sobą, dla wymożenia zbrojną ręką wstępu do zamkniętych dla nich portów.— Pomimo rozdzielającej ich gdzieindziej wojny, Francuzi, Anglicy, Amerykanie i Holendrzy, wzięli się za ręce dla uskutecznienia tego planu.— Że zaś rozległe brzegi chilijskie w wielu miejscach są przystępne, a Hiszpania miała bardzo ograniczoną ilość okrętów, wypadało z tego, że mnóstwo cudzoziemskich wyrobów, pomimo wszelkich środków ostrożności, dostawało się aż do głębi kraju. W krótkim czasie kapitanowie otrzymali wielkie zyski, zachęcające ich do dalszego prowadzenia tak pociągającego i korzystnego handlu; niebawem ujrzano w Valparaizo mnóstwo statków uzbrojonych po korsarsku, w biały dzień i pod forttecznym ogniem wyrzucających kontrabandę.— Jeżeli okręt strzegący brzegów zaczynał ich niepokoić, to prędko podjawszy kotwicę i rozpuściwszy żagle, zmykały na pełne morze, żegnając go wystrzałami ze wszystkich dział. Gdy je scigano, urządziwszy baterię w końcu pokładu, mogły szkodzić nieprzyjacielowi, a same, przy prędkim chodzie i zręcznych obrotach, unikały kul jego. Smiałość tych nowych korsarzy wpłynęła prędko na awanturniczy umysł góralów, a wkrótce, na równie wielką skalę jak na morzu, upowszechniła się kontrabanda i na lądzie. Stałe komunikacye przez Andy z Buenos-Ayres, ułatwiały wieści o ukazujących się na oceanie Atlantyckim okrętach, dążących ku stronie przylądka Horn, tak, że wiadomo było o kilka dni naprzód w jakim czasie miały przybyć do Chili, żeby się przygotować do przyjęcia kontrabandy.— Darmo rząd podwajał czujność, używał szpie-

gów i srodze karał dla przykładu, nie niepomagało: gdzie posiał jednego szpiega lub strażnika, wyrastało czterech kontrabandzistów.

Za owych to czasów, w nocy, z 26 na 27 marca 1810 r., o godzinie pierwszej, wedła na okręcie strażniczym w Walparaizo, spostrzegła jednocześnie dwa wielkie światła, jedno o cztery mile na pełnem morzu, drugie na cyplu Koronilla. Kazano zaraz morskiej straży wyruszyć z portu, a trzech jeźdźców wysłano spiesźnie lądem. Trzeba było pojmać na uczynku, albo przynajmniej rozpoznać rabusiów, bo oczéwiscie, że przybył zagraniczny okręt z kontrabandą, i miejscowe łodzie miały ją przyjąć.— Ale z wielkiem zadziwieniem komendanta załogi, straż powróciła, nie spotkawszy nigdzie okrętu, choć przez kilka godzin w różnym kierunku pływała po morzu, a trzech konni objawili, że na cyplu nie znaleźli najmniejszego śladu ogniska.

Nazajutrz rano ukazał się bryg angielski.

Komendant przywołał do siebie kapitana okrętu pełniącego obowiązek straży.

— Don Jose Salvatierra, — rzekł doń, — często ci mówiłem, że jesteś argusem bez oczu..... Miej się na baczności, żebyś wkrótce nie został oficerem bez szpady i urzędnikiem bez miejsca.

Don Jose skłonił się z miną człeka wiedzącego co znaczą te słowa: w braku czego inszego, miał uszy— do słuchania.

— Słuchaj, — dodał komendant, nacieszywszy się przez chwilę wrażeniem, jakie sprawiła jego piorunująca wymowa, — oto okręt któremu pozwoliłeś umknąć tej nocy.

— Tak komendancie,— odpowiedział na los szczęścia don Jose.

— Rozwiniesz żagle.....

— Słucham komendancie...

— Wypłyniesz z zatoki....

— Słucham.

— Pochwycisz korsarza....

— Słucham.

— Przyprowadzisz tu, utkwivszy jego flagę na swoim pokładzie, i okuwszy wszystkich ludzi.

— Słucham komendancie.

— Zrozumiałeś?

— Tak jest komendancie.

— To dobrze, możesz iść.

— Słucham.

— Ale pamiętaj, jeżeli ci się nie uda, będziesz zdegradowanym.

— Słucham komendancie.

Don Jose wrócił jak przyszedł, to jest, opuściwszy uszy, a tą razą może niżej jeszcze.

Oto dla czego:

Strażniczy okręt, będący pod jego dowództwem, był starym dwumasztowikiem, z sześcią połowemi moździerzami w najgorszym stanie, mający dwanaście ludzi posługi, z których żaden nie umiał użyć tej broni. — Przy silnym wietrze, nieszczęśliwy statek mógł zaledwie płynąć sześć węzłów, taka była jego prędkość, a niepodobna było wymagać większej. I z nim to musiał don Jose polować na najlepsze okręta obu oceanów. — Łatwo pojąć przykre i śmieszne położenie biednego kapitana. Możeby don Jose patrzył na to filozoficznie, ale komendant udając nie-

wiadomość istotnej prawdy, czynił go osobiście odpowiedzialnym za kulawy pośpiech statku. Jak tylko wrócił na swój pokład, przywołał zaraz dowódcę posługi.

— Miguelu, — rzekł don z żywością, — oddawna ci wymawiam, że choć jesteś morski wyga, nie masz zębów do kąsania, i nigdy nie umiesz wysledzić gniazda zwierzyny. — Miej się na baczności żebym cię za karę nie posadził na dno okrętu.

— Słucham kapitanie, — odpowiedział dowódca osady takim samym tonem, jakim przed chwilą kapitan odpowiadał komendantowi.

— Patrz, — dodał don Jose, — oto okręt, który téj nocy prześlepiłeś....

— Słucham kapitanie.

— Napniesz żagle....

— Słucham.

— Zrównasz się z korsarzem....

— Słucham.

— Wyprzedzisz go....

— Słucham.

— Zmusisz do poddania się....

— Słucham kapitanie.

— Dobrze! każ podnieść kotwicę.

— Słucham kapitanie.

Dowódca okrętowej posługi, zszedł do izby majtków, gdzie raz jeszcze powtórzyła się taka sama scena.

— Hm! — burknął do siebie don Jose, pozostawszy sam jeden i obejrzawszy przez długą lunetę wskazany okręt, — to co komendant kazał mi skutecznie, łatwiejsze do powiedzenia niż do zrobienia.... Nie-



chajby sam spróbował.... kiedy ciągle gada tylko o rabusiach i korsarzach. Niech popołuje na kontrabandzistów, a przekona się, że nie można łowić much na ocet. — Oho! jeszcze wywiesił znak nakazujący pośpiech.... Na Boga! jedziemy. Jest zawsze czas ruszyć w drogę dla nadaremnej pogoni.

Jednak zbliżywszy się do drzwiczek na pomoście, prowadzących do kajuty, głośno zawołał:

— Cóż tam Miguelu! czy każesz dziś podnieść kotwicę?

Za całą odpowiedź, dowódzca postugi obił sznurami kilku ze swoich podwładnych, którzy się niedość spieszyli ze spełnieniem polecenia, a po kwadransie statek opuścił zatokę.

Czas był prześliczny, morze spokojne, a wietrzyk zaledwie wydymał żagle.

Bryg, którym don Jose powinien był zawładnąć, miał kształt podłużny, maszty nieco w tył pochylone, jak budujące się już i wtedy okręta w Anglii, i dość było raz popatrzeć na dobor żagli, żeby się przekonać, że przy najniekorzystniejszym wietrze, mógł przebiec sześć mil w godzinę, czego by nie mógł dokazać nieszczęśliwy strażniczy statek, chyba przy najdoskonalszych zaledwie warunkach. Tak, że don Jose z góry wiedział o skutku swojej wyprawy, lecz nie bardzo go to smuciło, nie miał bowiem zbytnej chęci spotkania się z angielskim okrętem, gdy wtem z wielkiem zadziwieniem spostrzegł, że bryg zamiast płynąć dalej zmieniwszy kierunek żagli, zaczął się ociągać i utrzymywać na miejscu.

— Do licha! co to znaczy? pomyślał w duchu kapitan.

Potem, czując, że się cofać nie wypada, kazał nabić moździerz aź po sam otwór, uzbroił każdego z ludzi w dwa pistolety, polecił wywiesić wojenną flagę i z miną zucha rozkazał sternikowi skierować okręt wprost na angielskiego korsarza.

Gdy się okręta zbliżyły na sześćdziesiąt sążni, don Jose poznał, że bryk był niewinnym, bezbronnym kupieckim statkiem, co dodało mu razem niesłychanej śmiałości.

— O! o! — zawołał z groźnem wejrzeniem, — obaczmy tedy nos w nos, jednego z tych sławnych morskich korsarzy... Na Chrystusa! niech się ma na baczności ten lew angielski!

Po tym wybuchu długo tajonego strachu, mocno się osadził na swych krótkich nóżkach i brzęcząc szablą pokręcał w górę kocie wąsy.

Strażniczy statek prędko zrównał się z brygiem i dwa okręta znalazły się tuż obok siebie. Na pokładzie *Marikitty* (tak się nazywał angielski) nie tylko nie było moździerzów najmniejszego kalibru, ale nawet żadnych paków z towarami, zupełnie jak na spacerowym jachcie. Posługa była nieliczna, widziano jednego majtka przy rudlu, drugiego przy drągu od kotwicy, trzeciego w bocianiem gnieździe, czwartego siedzącego na ławce, a tym ostatnim był sam kapitan, młody człowiek lat dwudziestu pięciu, jasnowłosa jak Febus i idealnej piękności; miał na sobie mundur z granatowego sukna, a na głowie safijanową czapeczkę ze srebrnym galonem. Palił najspokojniej z wielkiej tureckiej fajki, głaszcząc siedzącego obok, ogromnego ternewa.

Ubezpieczony zupełnie don Jose, nie mógł powstrzy-

mać swojego, wojennego zapału, a męztwo jego nie znało granic.

— Panie! kapitanie! — zawołał impertynenckim głosem, — czy nie raczysz mi powiedzieć zkąd przybywasz i dokąd dążysz?

— Bardzo chętnie, — odpowiedział uprzejmie młody Anglik najczyściejszym hiszpańskim językiem, ale nieruszając się z miejsca, — tylko wtedy, gdy ze swojej strony zechcesz mię zawiadomić dokąd dążysz i zkąd przybywasz?...

— Jadę zkąd mi się podoba i tam gdzie mam potrzebę.

— W takim razie będę równie grzecznym. Przybywam zkądciś i jadę gdzieindziej....

— Tam do kata! jak mi się zdaje, pozwalasz sobie żartować mój młody kolego.

— Czemu nie, mój stary przyjacielu, kiedy mnie do tego zachęcasz.

— Wiesz-że z kim mówisz w tej chwili?

— Domyślam się.

— I nazywasz mnie?

— Gburem, jeżeli się nie mylę, — odpowiedział Anglik łagodnie i z flegmą, która była w dziwnej sprzeczności z zabawną zjadłością hiszpana.

— O święta inkwizycjo! — zakrzyczał don Jose czerwony z gniewu, zniszczę cały twój pokład, jeżeli jeszcze będziesz ubliżać olicerowi Jego Królewskiej Mości.

— Ależ mój kochany panie — ja także jestem oficerem Jego Królewskiej Mości, a pan równie mnie ubliżasz, grożąc zniszczeniem okrętu, uie rzekłszy nawet — strzeż się!

— Dobrze, dobrze! — Pańskie nazwisko?

— Moje nazwisko!

— Tak.

— Chcesz koniecznie wiedzieć?

— Zaniechaj niepotrzebnych wykrętów!

— Nie używam wykrętów, i właśnie czekałem na pana, widząc przybywający statek, żeby się zapytać, jak się nazywa szczęśliwy kapitan tego latawca?

— Don Jose Salvatierra.

— A! kapitan don Jose Salvatierra.

— I oświadczam panu, że mam rozkaz pojmania lub zatopienia jego okrętu.

— Chwała Bogu! to się nazywa mówić; czemuś-że się pan od razu nie wytłómaczył? Williams przyniesie drabinę, żeby ci panowie mogli przyjść na nasz pokład.

Zaczepiono drabinę, a don Jose, z Miguelem i ośmiu ludźmi uzbrojonymi od stop do głów, wbiegł po niej na statek angielski, gdzie tychdziwnych gości kapitan przyjął najuprzejmiej.

— Panowie, — rzekł do nich z niepostrzeżonym uśmiechem, — pełnicie obowiązek, ja z mojej strony, jako oficer, znam swoje powinności i ulegając teraz prawom kolonialnym, których jesteście przedstawicielami, zachowuję na potem odwołanie się do rządu króla Angielskiego.

— To, to rozumnie, — dodał don Jose nie lubiący uciekać się do gwałtownych środków, — i żebyś pan z samego początku tak mówił, od razu byśmy się porozumieli.

— Nie wątpię... ale nie znałem jego charakteru, teraz proszę mi wybaczyć. Dodam tylko jedno

słowo, i to na korzyść pańską: mylicie się nazywając nas nieustannie rabusiami, rozbojnikami, korsarzami, najwięcej kiedy jesteśmy biednymi kontrabandzistami, i tylko jako takich możecie nas chwycić, albo jako starających się wejść do portu pomimo zakazu....

— Zgadzam się zupełnie.

— Popełniłem-że to ostatnie wykroczenie?

— To należy do komendanta.... sam osądź, — co do mnie mam tylko rozkaz pojmania.

— Bardzo dobrze.... Lecz proszę wprzód odbyć rewizję dla jawnego przyjęcia na siebie odpowiedzialności, — (bądź pewny, że mam kontrabandę na dnie okrętu), bo admirał angielski z wielu wojennymi okrętami pływający koło brzegów, może lada chwila przybyć, zapytując o powód schwytania *Marrikitty*.... Przyznasz, że nie będzie ci miło, jeżeli zapotrzebuje pańskiej głowy, jako wynagrodzenia za obelgę uczynioną fladze Jego Królewskiej Mości, króla Angielskiego....

Na te słowa, jakby cudem, don Jose złagodniał, bo nie był do tyła głupim, żeby nie zrozumieć całej sprawiedliwości uwag angielskiego kapitana, a znał znanadto dobrze komendanta portu, żeby choć na chwilę powątpić o jego posłuszeństwie, gdy admirał angielski, mający znaczną siłę morską pod swojemi rozkazami, zażąda czyjejkolwiek bądź głowy.

— *You are a very gentelmann*, — \*) odpowiedział, kalecząc mowę kapitana angielskiego, — ze wszech

---

\*) Jesteś prawdziwy *gentelmann*, t. j. człowiek dobrze wychowany, — przyzwyczajony, — dobrego tonu.



miar masz słuszość, rzecz główna trzymać się prawideł.... i od chwili, w której pan mnie uprzedzasz, że masz kontrabandę na dnie okrętu, przystępuję do spisania zeznań, przed uskutecznieniem konfiskaty.... O! kapitan don Jose Salvatiera znany z tego, że nic nie robi nierozważnie, i nikt go nie obwini o samowolność!...

— Na początek, — rzekł angiłik, — musisz spróbować starego burgundzkiego wina, którego dwa tysiące butelek mam na okręcie....

— Dwa tysiące?!

— Tak, tyle.

I młody kapitan wiodąc poufale don Jose pod pomost, rozkazał tymczasem Williamsowi, dać w majtkowskiej izbie jego towarzyszom kilka butelek starego cheresu.

— Miguel, chodź za mną! — zawołał don Jose, wzywając dowódcę postugi.

— Boisz się odemnie jakiej zdrady? — mówił śmiejąc się kapitan *Marikitty*. Przyznaj, że jeżeli jeden z nas ma się bać drugiego, to ja pana, gdyż, nie uchybiając mu, jesteś uzbrojony jakbyś się wybierał na zawojowanie Meksyku....

— O! pełna forma, nic więcej.... zaręczam.

Byli w izbie pod pokładem.

Angielski kapitan świstnął w srebrną gwizdałkę, zawieszoną u szyi na takim-że łańcużku.

— Ee! co to znaczy? zapytał don Jose z przestraszoną miną.

— To? — powtórzył kapitan, świszcząc raz drugi. Gwizdałka....

— Widzę przecie; ale....

— Ale.... co?

— Ale nie widzę przyczyny dla jakiej używasz je w tej chwili....

— Po prostu.... aby zawołać ochmistrza.

Salvatiero wolniej odetchnął, ujrawszy w tym momencie małą, tłustą, zaokrągloną figurkę, z wesołą twarzą niosącą na tacy kieliszki i butelki z winem.

— Ha!—ha! wybornie,—mówił pocierając rece,—ale trzeba się śpieszyć kapitanie.... mamy przed sobą pracę.... a obowiązek przedewszystkiem.

— Najchętniej.... Tom, krzesę! Jakiego panowie żądają.... burgundzkiego?... czy szampańskiego?... czy może oporto?

— Niech będzie burgundzkie.... najstarsze, jemu winniśmy pierwszeństwo.

Don Jose usiadł, a że wino było dobre, wypił kilka kieliszków jeden po drugim.

— A co? — zapytał młody kapitan.

— Prawdziwa kontrabanda! — odrzekł don Jose, smakując z miną znawcy.

— Nie prawdaż?

— Bez wątpienia.

W tej chwili na pokładzie strażniczego statku powstał niezwykły hałas; don Jose i Miguel pobledli, zehwycili się z krzesę, ale niespodzianie podłoga osunęła się pod nimi i wpadli na dno okrętu.

— Panowie,—zawołał kontrabandzista, zbliżywszy się do otworu, w którym znikli, — jest francuzkie przysłowie: *jutro mędrsze od wczoraj....*\*) Jeśli to pra-

---

\*) La nuit porte conseil.

wda, mam nadzieję, że do jutra rana znajdziecie sposób wydobyć się zład.... oprócz tego, jeżeli wienie wilgotne, przypomnijcie, że dobrze czasem mieszać wodę z winem.... To także francuzkie przysłowie, a Francuzi ludzi dowcipni.

## XXII.

Teraz opowiem co stało się najprzód w izbie majtków *Marikitty*, a potem na statku strażniczym.

Zaledwie hiszpańscy majtkowie zasiedli w ósmiu nad butelkami, które im Williams postawił, gdy dwudziestu ludzi napadło na nich znienacka. W jednej chwili zostali rozbrojeni, zakneblowani i okuci w kajdany: poczem zarzucono haki na maszty strażniczego statku, i gdy się okręta zetknęły, łatwo już było załodze *Marikitty* pokonać czterech majtków, pozostałych na hiszpańskim statku. Był jednak rodzaj walki i jej to właśnie odgłos słyszeli don Jose i Miguel, gdy się podłoga pod nimi osunęła.

Wszystko to się stało w mgnieniu oka, i jakby czarodziejskim sposobem, tak, że gdyby komendant z największą uwagą spojrzął wtedy na oba okręta, aniby się domyślił co na nich tylko co zaszło.

Jak skoro ubezpieczył don Jose i Miguela (w sposób wyżej opisany), kapitan *Marikitty* wstąpił na podwyższenie.

— A co? — zapytał Williamsa.

— *Oil reight* \*) odpowiedział.

---

\*) Wszystko dobrze.

— Jeżeli tak, — mówił kapitan z widocznym wyrazem radości i tryumfu, — to tak samo jakby nasze 15 tysięcy broni było już na lądzie.

Potem, po chwili uwagi nad kierunkiem wiatru, rzekł silnym głosem:

— Wszyscy na górę! rozpuścić żagle!

Dwudziestu pięciu majtków ukazało się na pokładzie i wykonało natychmiast rozkaz kapitana; w pięć minut *Marikitta* płynęła na pełnem morzu z prędkością pięciu węzłów, wlokąc za sobą nieszczęsny statek strażniczy.

Co się tycze don Jose, Miguela i ośmiu majtków, ci z początku napełniali więzienie odgłosem swoich złorzeczeń, lecz wkrótce, dzięki opium, którem wino było zaprawione, uczuli ciężar w głowach, oczy ich zaczęły się kleić.... i w kwadrans już chrapali.

Skoro się bryg tak już oddalił że nie było widać ziemi, kapitan kazał powstrzymać okręt i dodał:

— Niech dwudziestu ludzi przejdzie na statek strażniczy i wrzuci jego armaty do morza.

Rozkaz został wykonany z nieporównaną prędkością.

— Dobrze! Teraz Williamsie przeprowadź więźniów na ich okręt i zamknij w kajucie.

Spełniwszy polecenie, Williams powrócił na pokład *Marikitty*.

— *Oll reight*, milordzie, — rzekł do kapitana, — może porzucić ten statek?

— Nie, nie, — odrzekł ten, którego Williams nazywał lordem, — nie chcę śmierci grzesznika, i tak już ciężko pokutuje; dosyć będzie powodzić ich przez

część nocy, a po skończonej wyprawie odeszliśmy ich do Walparaizo.

Rozpuściwszy znowu żagle, bryg popłynął dalej, ale tą razą z prędkością dziesięciu węzłów, ciągnąc za sobą o sześćdziesiąt sążni nieszczęśliwy strażniczy statek, któryby pewnie zatonął, żeby morze nie było spokojne. Na jego szczęście nie trwało to więcej godziny; z nocą, Marikitta zmniejszywszy ilość napiętych żagli, skierowała się ku stronie lądu.

Jak dzień, tak i wieczór był równie cichy i spokojny wiatr zmniejszając się stopniowo, zwrócił się na południe, a ustaliwszy się w tym kierunku, wiał zlekka i jednostajnie, tak, że na powierzchni wody nie było najmniejszej zmarszczki.

O godzinie dziewiątej wedeta obwieściła wejście do rodzaju małej zatoki, będącej o-mil trzy w stronie północnej od Walparaizo, a o wpół do dziesiątej, żywy i jasny płomień błysnął na lądzie.

— Dobrze, — rzekł, widząc to wsparty na paręczu kapitan, — Williams jaka głębokość?

— Dwadzieścia sążni milordzie, — odrzekł porucznik.

— To każ zwinąć górne i dolne żagle.

Po kilka minutach Williams zbliżywszy się do kapitana, rzekł lakonicznie swoim zwyczajem.

— *Off-reight* milordzie.

— Dobrze! Daj znak!

Z zapalonym lontem wstąpił porucznik na podwyższenie w tyle okrętu, i wkrótce trzy race cicho podniosły się w górę, a po chwili spadły na wzor gwiazdzistego deszczu.



W tym samym czasie trzy zupełnie podobne race ukazały się na lądzie.

— Nie trzeba tracić czasu, rzekł żywo kapitan. — Otworzyć wielkie drzwi, i niech zaczynają wynosić broń z dna okrętu na pokład.

— Nie każesz milordzie zwolnić chodu? zapytał porucznik.

— Jeszcze nie, — odpowiedział kapitan, — płyniemy zaledwie trzy węzły ze średnimi żaglami — i nie słysząc szumu nadbrzeżnej fali.

O jedynastej wedeta niespodzianie zawołała:

— Widać szalupy!

— Ile?

— Trzy.

— Z żaglami?

— Nie, z wiosłami.

— Spuścić żagle! — wołał kapitan silnym głosem, — i wywiesić latarnię!

Wkrótce trzy spostrzeżone szalupy z podobnemiż latarniami przypłynęły tak blisko, że można było rozmówić się z niemi; nastąpiła chwila ciszy, podczas której serca biły z obu stron. — Trwało to kilka sekund.

— *Wolność!* zawołał z jednej z szalup głos kobiety i przeniknął aż do głębi duszy kapitana.

— *Chili!* odpowiedział, i dodał cicho, drżąc ze wzruszenia:

— Tyżes to Marikitto?



## ROZDZIAŁ IX.

### Dwie Marikitty.

(*Ciąg dalszy*).

#### XXIII.

**M**YŁA to Marikitta.

Lecz wypada teraz cofnąć się o rok i opowiedzieć w kilku słowach co wówczas zaszło.

Sir Ryszard Sejmur, piękny i bogaty jak Bukingcham, jak on kochany przez wszystkie kobiety, jak Bukingcham lubiący zabawy i rozrywki, sir Ryszard Sejmur w dwudziestym pierwszym roku życia, zaczął już podlegać tej wspólnej wszystkim Anglikom, a strasznej i niemiłosiernej chorobie, nazwanej splinem. Z początku walczył odważnie, z całą rozpaczą młodości starał się rozerwać i w tym celu w przeciągu pół roku wydał milion, posunął się nawet aż do pisanego w dziennikach, aż do zajęcia się politycznymi sprawami.... Nadaremnie, choroba trzymała swą ofiarę i nie chciała jej uwolnić. Czując się zwyciężonym, sir Ryszard użył ostatniego wysiłku: Anglija prowadziła wtedy wojnę z Francją, była więc sposobność doświadczenia wzruszeń wśród burzy i wojny; chwycił się jej młody anglik; urządził na stopę

wojenną swój jacht spacerowy, dobrał do niego posługę z najlepszych trzydziestu majtków, jakich mógł znaleźć w Plymouth, i otrzymawszy pasport, rozpuścił żagle. Po całorocznej podróży wylądował wreszcie w Chili, zaznajomił się z don Lazaro Ribera i z jego córką Marikittą, którą pokochał i był wzajemnie kochany: z zapalem przystąpił do stronnictwa pragnącego niepodległości i wrócił do Anglii zupełnie wyleczony, gdzie sprzedawszy jacht, zastąpił go pięknym i dobrym brygiem o dwudziestu czterech działach, a napełniwszy go bronią przeznaczoną dla powstańców chilijskich, znów opuścił Anglię. Na tym to brygu znajdował się nieszczęśliwy don Jose, mający wprzód polecenie pojmania go. Trzeba tylko wytłomaczyć jakim sposobem bryg o dwudziestu czterech działach mógł być wzięty za bezbronny kupiecki statek: lecz dość będzie przypomnieć że w owym czasie, — jak zresztą zawsze w wojennej porze, — wszystkie uzbrojone na kampanię morską okręta używały wszelkich wybiegów dla oszukania nieprzyjaciela; wybieg sir Ryszarda Sejmur zależał na ruchomej ścianie, zakrywającej baterie.

Wiedząc to wszystko, łatwo zrozumiemy następującą scenę.

Zdawało się Sejmurowi, że rozpoznał głos, który się odezwał ze słowem *wolność*, więc zapytał upojony radością:

— Tyżeś to Marikitto?

Za całą odpowiedź (bo szalupa zbliżyła się do brygu), sama Marikitta rzuciła się w objęcia kochanka.

Nastąpiła chwila ciszy, jedna z tych chwil, kto-

rych nie można opisać, lecz klóra się zgaduje, jeżeli się pamięta wrażenie pierwszego, miłosnego spotkania — chwila, w której dwie dusze, dwa serca, ust dwoje, zlewa się w jedną, rokoszną całość, nazywaną szczęściem!

— Więc to doprawdy ty? — zapytał Ryszard skoro już mógł mówić.

— Któż jeśli nie ja? — odrzekła Marikitta, — któżby cię zdołał kochać więcej odemnie?

Tym słowom towarzyszył tak słodki pocałunek, że się Ryszardowi zdało iż go anioł całuje.

— Kochasz mnie Marikitto?

— Niepamiętny? . . . . nie wiesz-że już o tem?

— Wiem . . . . lecz powtarzaj, powtarzaj: Ryszardzie kocham ciebie!

— Ryszardzie kocham ciebie! — mówiła cicho dziewczyna z niewypowiedzianą czułością.

— Marikitto! te słowa twoje, jakby krew nowa, krążą mi w żyłach; dajesz mi życie, dawszy wpród szczęście. . . .

— Czyż to nie jedno?

— Tak, masz słuszność; — lecz pozwól patrzeć na siebie.

— Patrz na mnie mój panie ile ci się podoba, bo gdy patrzysz na mnie i ja patrzę na ciebie. . . .

— O! piękną jesteś, piękną jak twoja dusza!

— A ty Ryszardzie jesteś piękny jak miłość!

— Lecz jesteś szczególnie dobrą. . . .

— Dla czego dobrą?

— Że przybyłaś.

— Wielka zasługa! myślisz, że wiedząc o twojej tu bytności, mogłabym spokojnie pozostać w naszej

smutnej dolinie Willamare? ... Trzeba mnie nazywać zakochaną, a nie dobrą.

— To tak podobne do siebie.

— Nie zawsze... zresztą towarzysząc naszym dzielnym patryotom, wypełniłam tylko mój obowiązek.

— Jak to?

— Bez wątpienia,—wiesz że historya Joanny d'Ark nie daje mi spać, i że pragnę jak ona kraj mój oswobodzić. . . .

-- Od Anglików? przerwał Ryszard z uśmiechem,

— Nie, — odrzekła podobnież Marikitta, — ale od hiszpańskiego panowania. Otoż przyjęcie na ląd dwunastu tysięcy strzelb, jak wiesz, wiele znaczy — szczególnie jeżeli na nich polega swoboda całego narodu! . . .

— Kochana patryotko, przykro mi ci powiedzieć, że się mylisz co do liczby waszego oręża. . . . Jesteście bogatsi niż wam się zdaje — przywiozłem piętnaście tysięcy strzelb.

— Wiem drogi nasz wybawco, lecz trzy tysiące zostawujemy tobie. . . .

— Mnie?

— Tak. . . . żebyś je zawiozł gdzieindziej.

— Dokąd?

— Do Ariki.

— Kiedy?

— Niezwłocznie.

— Chcesz więc żebym się już oddalił, i po roku rozłąki i tęsknoty był zadowolniony godziną szczęścia?

— Jakiż miałeś zamiar?

— Pływać koło brzegów przez cały miesiąc i co dzień na ląd wysiadać.



— Więc się to tylko przewlecze. Posłuchaj: zrobiliśmy obszerny plan powstania: będziemy mieć pomoc z Buenos-Ayres, zkaż nam obiecują cztery tysiące dobrego wojska, połączymy się w stronie północnej z patryotami peruwjańskimi, przygotowanymi do powstania, lecz nie mającymi broni, a co gorzej pieniędzy na jej zakupienie. Dla tego to posyłały trzy tysiące strzelb do Ariki — dla tego i ja proszę ciebie o opóźnienie mego szczęścia o trzy tygodnie.

— Zgoda, pojedę — rzekł Ryszard z westchnieniem, przerwanem pocałunkiem Marikitty. — Jakie sygnały?

— Te same co tutaj.

— A hasło?

— *Wolność, Peru.*

— Dobrze! Niemówmy już więcej o polityce; zrobię wszystko co zechcesz, ale na miłość Boga, gdy jesteś ze mną, mówmy tylko o tobie.

Kochankowie oddalili się w głąb okrętu, gdzie nikt nie mógł przerwać ich samotnej rozmowy, wszyscy bowiem byli zajęci przenoszeniem broni do szalup. O czem rozmawiali, tylko Bóg wie, Bóg który wie wszystko i może pojąć niemą rozmowę dwóch serc zakochanych. Zdaje się jednak, że nie tracili czasu, trudząc usła nieznaczącymi słowami, dosyć im było wiedzieć, że mają jednakie uczucia, myśli a szczególnie nadzieje, które w miłości stanowią prawdziwą rokosz i najwyższą błogość.

Niestety! na tej ziemi wszystko się kończy, a szczęście prędzej niż co innego. O czwartej godzinie porucznik dał znać Sejmurowi, że już broń prze-

niesiono do szalup, które tylko czekały na swoją *komendantkę* żeby odpłynąć.

Otoż tą komendantką była Marikitta, w odpowiednim ubiorze, który, mówiąc nawiasem, bardzo jej był do twarzy.

— Ej! kapitanie, rzekła z uśmiechem, lecz drżącym głosem dziewczyna, — trzeba być mężczyzną.... mieć trochę więcej męztwa! Trzy tygodnie przejdą niepostrzeżenie....

— Zdala od ciebie Marikitto, trzy tygodnie—trzy wicki....

— Żyłś przecie rok cały mnie nie widząc!

— Żyłem, mówisz.... i ty nazywasz to życiem?!

— Masz,—rzekła Marikitta, dając mu ostatni, czuły, pocieszający pocałunek,—oto moja dusza, moje życie, zabierz je z sobą i niczego więcej nie żałuj, bo gdy odjedziesz, o tem co tu ze mnie pozostanie, nie warto i myśleć....

— Aniołem jesteś Marikitto!

— Aniołem? w tej chwili jestem tylko komendantką.... i powinność mnie wzywa.—Życzę ci powodzenia kapitanie—do prędkiego widzenia się.

To rzekłszy, lekka jak ptaszek Marikitta zbiegła po drabinie do swojej szalupy i zawołała:

— Do wiosł!

Skrywszy twarz w rękę, sir Ryszard zamysłony i nieruchomy pozostał na miejscu, na którym go zostawiła Marikitta; słuchał szumu wiosł dopóki mógł słyszeć, i patrzył na oddalające się szalupy, dopóki nie stracił ich z oczu; potem gdy już nie było najmniejszego szmeru, najmniejszego cienia, westchnął i zawoławszy Williamsa, rzekł doń:

— W drogę !

— W którą stronę? — zapytał porucznik.

— Na pełne morze?

Zaledwie *Marikitta* przebiegła milę, gdy się nad lądem ukazała raca z trójkolorowego ognia. Był to umówiony znak o szczęśliwym przybiciu szalup do brzegu.

Sir Ryszard Sejmur odetchnął wolniej.

— Teraz kochany Williamsie, rzekł do porucznika. — chodźmy na spoczynek.... zdaj dowództwo Tompsonowi i każ mu tylko nas uprzedzić jeżeli się co nowego zdarzy....

— Dobrze milordzie.... a więźniowie?

— Więźniowie? a! prawda — zapomniałem o nich. Niech Tompson rozpuści wszystkie żagle żeby ich obudzić, i popłynię trochę na południe, żeby odzyskawszy wolność, nie mogli wiedzieć zkad przybывamy i dokąd dążemy.

Sir Ryszard nierozzebrany położył się na łóżko, a wkrótce przysniła mu się *Marikitta*. O dziewiątej rano wyszedł na pokład. Dzień był prześliczny, wiatr zaledwie wydymał żagle, a na morzu ani śladu fali.

Ile upłynęliśmy od czwartej do ósmej? zapytał kapitan Williamsa, który raniej wstawszy, pił już trzecią szklankę herbaty.

— Trzydzieści pięć mil, milordzie.

— A od ósmej do dziewiątej?

— Trzy.

Porucznik rozkazał sześciu ludziom przyciągnąć nieszczęśliwy strażniczy statek, a skoro ten stanął obok bryku, jednym uderzeniem topora odcięto linę.

Najprzód ukazała się nad pokładem głowa don

Jose z wyrazem wściekłego gniewu.

— Dobry dzień kapitanie, — zawołał sir Ryszard Sejmur z grzecznym ukłonem, śmiejąc się jednak trochę, i dodał:—szczęśliwej drogi! chciałeś mi zrobić przyjemność zaprowadzenia z sobą do Walparai-  
zo, wolałem ci sprawić zadowolenie z małej prze-  
jażdżki po morzu.... lo zdrowsze, a twoje zdrowie  
mocno mnie obchodzi, kochany don Jose.

— A bandyto! korsarzu! rabusiu przeklęty! od-  
powiedział kapitan, pieniać się ze złości, i grożąc  
pięścią; nie pójdiesz ty z tem do nieba.... teraz  
między nami idzie o śmierć lub życie! *Corpo di*  
*Bacco!* przysięgam że się zemszczę!

— Kochany don Jose, — rzekł młody kapitan an-  
gielski, — jesteś człowiek bardzo źle wychowany....  
ale zamilknij proszę, bo będę musiał kark ci skrę-  
cić.... coby mnie było bardzo przykro.

## XXIV.

W ośm dni potem, podczas silnego upału, jakiś  
człowiek przechodził dolinę Bellamare (co było dzi-  
wnem zjawiskiem w tym kraju, gdzie zwykle wszyscy  
jeżdżą); doszedłszy do posągu Matki-Boskiej posta-  
wionego w środku dróg rozstajnych, wziął się na  
prawo i poszedł ścieżką między krzakami wiodącą  
do ślicznego, białego domku, pokrytego dachówką,  
na którego ścianach wspinał się bluszcz dziki. Drzwi  
były nieco przetworzone, wchodziło się niemi do ku-  
chni, a w niej była w tej chwili młoda i ładna dzie-  
wczyna, zajęta oskubywaniem gęsi.

— Pepilo, — zapytał prędko ów człowiek, — czy znajduje *Alkada*?

— O Jezu! zawołała *niña*, upuszczając z przestachu głęś na ziemię, — jakże mnie przeląkłeś don Jose, i jakżeś zmieniony!... Czyś chorował?

— Tak jest, — odpowiedział krótko don Jose, gdyż on to był właśnie, — ale nie o mnie tu idzie.... Czy mogę widzieć się z bratem?

— Pan Alkad jest w swoim pokoju — pracuje.

— To jest drżenie.... dobrze! zaczekam....

— Mylisz się panie bracie, rzekł zjawiając się nagle na schodach Alkad, który spał w istocie, lecz obudzony został krzykiem Pepity, — nie drzemałem wcale.

— Doprawdy?.... odrzekł don Jose ze złośliwym uśmiechem, — tem lepiej, bo będziesz mógł zaraz mię wysłuchać, a to co mam ci powiedzieć nie cierpi zwłoki:...

— Jeżeli tak — chodź ze mną.

Brat don Jose, był to człowiek około lat trzydziestu pięciu, dość zgrabny, chociaż nieco otyły, twarz jego miała wyraz chytrłości, choć znać na niej było namiętne uczucia. Pokój, który zajmował, był skromny, były w nim jednak wszystkie potrzebne wygodki, co jest rzadszem od zbytku w Ameryce południowej. Don Jose zamknął drzwi za sobą; Alkad zasiadł w dużym, wypłatanym fotelu na biegunach, którym lekki ruch nadał, i obaj bracia patrzyli na siebie chwilę w milczeniu, z wejrzeniem pełnem nieufności, jakim się mierzą dwaj przeciwnicy przed zaczęciem walki.



Alkad, inaczej don Marcelino Salvatiera, pierwszy się odezwał.

— Więc cóż bracie? — rzekł niedbale na wpół zamykając oczy i odrzucając w tył głowę, — tak było ci pilno mówić... mówże proszę.

— Oto rzecz cała, — odrzekł don Jose z rumieńcem wstydu na czole, a z bladością gniewu na ustach; — tu opowiedział szczegółowie smutną przygodę, która mu się przed ósmią dniami zdarzyła. Gdy skończył, don Marcelino, który go słuchał w milczeniu z najzupełniejszą obojętnością, pochwalił w nim dar opowiadania i dodał z uśmiechem:

— Nie wspominasz jednak o dwóch okolicznościach dotyczących tego ciekawego zdarzenia.

— O jakich bracie? spytał żywo don Jose.

— O swoim zdegradowaniu najprzód, a potem o swoim więzieniu.... które dziś się dopiero skończyło.

— Wiedziałeś więc o wszystkim don Marcelino?...

— Bez wątpienia.... i przyznam ci się nawet, że na usilne wstawienie się moje, gubernator Walparaizo zmniejszył do dni ósmiu trzymiesięczne więzienie, na które byłeś skazany....

— I cóż na to mówisz bracie?

— Mówię, że to bardzo szczęśliwie.

— A ja, — rzekł don Jose przytłumionym głosem, — poprzysięgam zemstę!

— A — mścić się — to twój sposób okazania wdzięczności.

— Zrozumiejmy się panie Alkademie: nie myślę mścić się ani na komendancie, który mnie zdegra-

dował, ani na gubernatorze, który mię skazał na trzy miesiące karceru, ani na tobie, któryś mię pozostawił ośm dni w więzieniu, kiedy jednym słowem powiedzianem pewnej damie, — a nazwiska jej nie potrzebuję wymieniać, — lecz która jest wszechmocną, mogłeś mi oszczędzić i te dni ośm. . . .

— Na kim więc masz mścić się, jeżeli ani na komendancie, ani na gubernatorze, ani na mnie?

— Na kapitanie angielskim!

— Pozwol mi się śmiać z tego. . . . Myślisz że przypadkiem Jego Arcy-Katolicka mość każe uzbroić flotę, i wylądować w Anglii dla otrzymania wynagrodzenia za śmieszna mistyfikację, uczynioną z jednym z najmniej znaczących Jej poddanych?

Nazywasz śmieszna mistyfikacją rozboj, którego byłem oliarą?

Nastąpiła chwila milczenia.

— Niema potrzeby, — dodał oschło don Jose, żeby Hiszpania za obrazę swego pawilonu uzbrajała okręta, których nie posiada. . . . Lecz ja mścić się mogę i dokażę swego. . . .

— Więc sam z flotą będziesz polować na owego korsarza?

Don Jose nic nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami.

— Nie. . . . w takim razie zgaduję, — ciągnął Alkad, — kupisz strażniczy statek. którego przed ośmiu dniami byłeś kapitanem i który jest teraz do sprzedania, umościśz na nim nowe działa, i poty będziesz pływać po obu oceanach, póki się nie spotkasz z angielskim brygiem.

— Porzuć żarty mój bracie! — przerwał zimno

ex-kapitan,—żart nie dowodzi, a zresztą gdyby i tak było, uprzedzam ciebie, że niczem nie zdołasz mię odwrócić od mego zamiaru.

— Po co więc przyszedłeś i czego żądasz ode mnie?

— Chcę żebyś mi dopomógł zemścić się.

— Ja?

— Ty.

— Śmieszna myśl! zwarzowałeś bracie....

— Myśl nie śmieszna, ale dobra.... i nie jestem war-jalem gdy mi przysła do głowy.

— Przyznam się, że dosyć jestem ciekawy jaką mi przeznaczasz rolę w tej świętej krucjacie.

— Rolę odpowiednią twoim środkom, prozaiczną i mieszczańską, rolę nakładcy.... i nic więcej!

— Doprawdy?

— Tak mój bracie.

— I powiadasz zapewne, iż ją tem lepiej odegram że mam grać nie poraz pierwszy?

— Zgadujesz doskonale!

— Dobrze! Lecz posłuchaj mnie don Jose: dopóki szło o spłacanie twoich kartowych i miłosnkowych długów, nie zamykałem ci worka, mówiąc do siebie: grzechy młodości!... (choć nie jesteś już w tym wieku, w którym się można dopuszczać podobnych grzechów) ale dziś, gdy mnie przychodzisz prosić o cenę ludzkiego życia, znajdziesz go zamkniętym, bo uważam to za nikczemność!

— Hm!— przerwał don Jose z najgrawaniem, piękna fraszka i piękne słowo. Z kolei chciej mnie wysłuchać don Marcelino: pozwalałeś mi kiedyś czerpać z twej kieski, bom pewnego razu zastał u cie-

bie tę wielką panię, o której przed chwilą wspominałem, a która wyrzeczeniem jednego słowa, może skazać na powieszenie połowę mieszkańców miasta...

— Milcz nieszczęśliwy!

— I teraz, — ciągnął spokojnie don Jose, — rozwiążesz kieskę, bo powiem ci o pewnej rzeczy nieskończenie ci zajmującej, której ci dotąd nie wykrył żaden z twoich policjantów....

— O jakiej?—żywo zapytał Alkad, wychodząc nagle ze stanu otrętwienia.

— Tam dolicha! jeszcze ci nie powiedział, a już się całkiem ocknąłeś.... Co to znaczy trafić w słabą żyłkę.... ludziska się poruszają, jak lalki za pociśnięciem sprężyny. Uspokój się panie Alkadzie; rzecz idzie po prośbu o jedną z twoich podwładnych, o Różę z Bellamare, którą nazywają Marikilta!

Blady don Marcelino skoczywszy do brata, chwycił go za ręce, wołając:

— Mów! mów!.... Będiesz-że mówić niegodziwcze?!

— O! to cię, jak widzę doprawdy interesuje!— rzekł spokojnie don Jose. A co czy nie mówiłem? lecz to jest niczem w porównaniu tego o czem się dowiesz.... Tylko róbmy porządnie. Potrzebuję pięciuset piastrow dla uskutecznienia moich zamiarów... pięciuset piastrow i blankietu wydanego przez ciebie.

— Pięciuset piastrow?

— W tych czasach to za nic!... Dawniej za kawałek chleba mogłeś kazać pchnąć nożem kogo chciałeś; za trzy reale duszono mężczyznę; topiono kobietę za piastrow.... Dzisiaj się wszystko zmieniło;



ludzkość lepsza, sumienie poszło w cenę... Zaręczam, że nie znajdziesz choć trochę uczciwego zabójcy, któryby się trudził za mniejsze pieniądze, jak za sto piastrów...

— Cynicznie mówisz Jose.

— Będzie mieć pieniądze Marcelino?

— Powiedz najprzód... potem obaczę.

— Nie, pierwiej pieniądze.

— Więc dobrze, będziesz miał.

— I blankiet?

— Przysiękam.

— Kiedy tak, przysięgnij — to więcej warte niż przyrzeczenie.

— Przysięgam.

— Na co?

— Na honor

— Na honor?... wolałbym żebyś przysięgł na swoją głowę.

— Więc na moją głowę! a teraz co mi powiesz, przekłety, o Róży z Bellamare?

— Powiem ci mój najdroższy bracie, że ona ma kochanka.

— Kto jest tym kochankiem? — zapytał don Marcelino stłumionym głosem, upadając razem na siłach, jak żeby niespodzianie trucizna zakradła się w żyły jego.

— Tym kochankiem jest człowiek, na którym chcę się zemścić, — odrzekł zimno don Jose.





## ROZDZIAŁ X.

## Dwie Marikitty.

(Ciąg dalszy)

**D**ON JOSE przesadził, utrzymując, że Marikitta miała kochanka, a szczególnie, że był nim młody kapitan angielski; nie zważał jednak na to, bo mu chodziło o postawienie na swoim i kłamstwo równie mało go kosztowało, jak *Ninie* całus. W terażniejszej okoliczności głównie mu szło o przychylenie don Marcelina do swoich zamiarów, i o czerpanie z jego kieszeni, a don Marcelino, będąc uosobionym egoizmem, przypominał chińską lalkę, kiwającą się w jednym kierunku: jedno go tylko obchodziło, to jest on sam!

— Najukochańszy mój braciszek jest człkiem silnych namiętności,—mysłał don Jose,—kocha się szalennie w Marikicie, będąc przez nią nienawidzonym, wzbudzając więc zazdrość, zrobię z nim wszystko co zechcę!

Skutek okazał, że się don Jose nie mylił; w jego przypuszczeniach było także nieco prawdopodobieństwa i nie brakło im pewnej zasady. Ex-kapitan bowiem, kochając się równie, jak brat jego, w Róży z Bellamare, tylko pod sekretem, pamiętał doskonale, że przeszłego roku jacht angielski długi czas stał

przy brzegach Chili, że jego właściciel zaznajomił się z don Lazaro Robera, że nawet jakiś czas mieszkał u niego i że Marikitta nie obojętnem okiem patrzyła na młodego Anglika. Porównywając te okoliczności z nazwiskiem bryga, z arystokratycznym obejściem się jego kapitana (na nieszczęście don Jose nigdy nie widział właściciela tego jachtu) z długim stanem tego statku podczas nocy, z kierunkiem w jakim potem płynął, (bo don Jose choć zamknięty, jako marynarz, poznawał się na manewrach) łatwo było dostrzedz pewnego związku między wypadkami. Zresztą więcej chodziło don Jose o prawdopodobieństwo, niż o prawdziwość domysłów; w gruncie mało dbał oto, czy kapitan brygu był istotnie właścicielem jachtu, czy był lub nie był kochankiem Marikitty, byleby don Marcelino temu uwierzył i poduszczony zazdrością, ułatwił mu zemstę — stało się jak żądał don Jose.

Miał pieniądze, blankiet i najętych zabójców, chodziło tylko o przełamanie jednej, pozostałej, lecz najważniejszej trudności.... o odszukanie sir Ryszarda Sejmur.

Przeszło sześć tygodni na oczekiwaniu. Było to w czasie ciągłych deszczów; Marikitta rzadko kiedy wychodziła z domu, a jej ojciec nie opuszczał swego gabinetu i z nikim się nie widywał. Nic więc złamać nie mógł się dowiedzieć. Na morzu równie niczego nie można było dojrzeć, i ludzie postawieni na straży przez don Jose, daremnie wyteżali argusowe oczy: nie ukazywał się na horyzoncie najmniejszy żagiel, a gdy się przypadkiem ukazał, to chyba wieczorem.... nazajutrz rano już go nie było.

— Cóż? — rzekł do brata z nieukontentowaniem don Marcelino, gdy ten pewnego razu przyszedł doń, prosząc znowu o pieniądze. Tracisz tylko czas i moje piastry.... Bo poszedłbym o zakład, że gdy tu na niego przyrządzasz sidła, lwój korsarz spokojnie dąży do Anglii....

— I przegrałbyś, a szczególnie ze mną — odpowiedział obojętnie don Jose, — wygrałbym od ciebie pożyczone mi pieniądze.

— Tak jesteś pewnym że dopniesz swego?

— Jestem pewny miłości Marikitty dla kapitana; a nie można spokojnie powracać do Anglii, będąc kochanym przez taką kobietę.

— Możesz mieć słuszość, — odezwał się zamyślony don Marcelino.

W gruncie don Jose miał zupełną słuszość, nie-domyślając się sam tego. Liczył tylko na to że kapitan angielski lada chwila przybędzie do Bellamare dla wyładowania okrętu, albo dla zabrania złota w zamian oddanych towarów; bo don Jose z głębi swego pływającego więzienia nie tylko że mógł rozpoznać kierunek drogi, ale poznał szum wiosła szalupowych i w skutek tego domyślił się że chodziło o kontrabandę. Sądził więc dość trafnie.

— Jeżeli ten korsarz, — myślał w duchu, — jest rzeczywiście pięknym cudzoziemcem, z jachtu widzianego w przeszłym roku, jeżeli sam ją kocha, lub jest kochanym przez Marikittę.... gdy go zabiję, tem lepiej! Lecz w każdym razie rzecz najważniejsza — zabić; bo przynajmniej zemściłbym się, a nawet dokonawszy tego, zasłużyłbym się przed rządem i wrócił do służby. — Co do mego brata, muszę wyznać,

że się pożegna ze swemi piasłrami.... lecz to będzie dla niego nauką jak źle kochać się w tak pięknej dziewczynie jak Marikitta, i posuwać zazdrość, aż do życzenia śmierci bliźniemu. Wreszcie dobrze zważywszy, summa pięciuset piastrów dla niego nie znaczy, wyjdzie jak przyszła.... a gdy się przedsięwzięcie powiedzie, pan Alkad złoży to na konto czujności swojego zarządu.

Potem zwracając się do brata dodał głośno:

—Z kobietami nigdy niczego nie można być pewnym: serce ich jest labiryntem, w którym się rozum gubi. Klóz może zaręczyć, że pozbywszy się rywala, nie zastąpisz go zaraz.... i że za ćwierć roku, pół roku, lub wreszcie za rok, córka don Robery nie będzie moją bratową?

— O! masz trzydzieście piastrów, — odrzekł *Alkad* z zadowoleniem, — ale mnie się zdaje, że już summa wyczerpana.

— O! jeżeli tylko ci się zdaje, — podchwycił don Jose, — to widać że jeszcze nie całkiem!

## XXVI.

Podczas spokojnego, wrześniowego wieczoru, w głębi altanki z kwiatów, dawały się słyszeć dwa świeże głosy zdradzające czułą rozmowę kochanków.

Było to w ogrodzie w Bellamare, o godzinie siódmej, co znaczy, że już na niebie błyszczały gwiazdy, że się w około rozlegały pełne tajemniczości półcienie, mające zwykle tyle powabu dla zakochanych, dla marzycieli i poetów.

Młoda kobieta obwinięta szalem, siedziała na darniowej kanapce, schylając się do klęczącego u nóg młodzieńca. Tą kobietą była Marikitta.

Tym młodzieńcem sir Ryszard Sejmur. Patrzali na siebie w upojeniu wzrokiem przenikającym aż do głębi duszy, wzrokiem jaki mają tylko kochankowie—i przyjemnie było patrzeć na tę piękną, młodą i czystą, a razem tak zakochaną parę: człek się godził ze światem, bo ten widok zmuszał go myśleć o niebie!

— Marikitto! — mówił Ryszard, — jedno ci tylko umiem powtarzać, że cie kocham.

— A ja, odpowiadała Marikitta, — tylko jedno czynić — kochać.

— Nie prawdaż, że to tylko czegoś warto w życiu?

— Co?

— Nie dobra! — miłość.

— Miłość bez kochanka?

— Nie, miłość jak nasza, podzielana, zrozumiana, szczęśliwa. O! żebyś wiedziała, ludzie są szaleni! jak mało podobne do życia to co niēm nazywają; żebyś wiedziała jak ja sam byłem przesycony takim życiem, lepiejbyś mię pojęła i rzekła ze mną: tak, nic niema w życiu dobrego prócz miłości.... albo kochać i żyć, to jedno!

— O Boże, jakie jeszcze z ciebie dziecko mój Ryszardzie!

— Dla czego dziecko?

— Dla tego, że połowę szczęścia pokładasz w przyjemności mówienia o niēm.

— A ty?

— Ja, całe i tylko w samej miłości! Gdy ciebie



niema, myślę o tobie, gdy tu jesteś patrzę ci w oczy, jak w tej chwili, i tego mi dosyć żeby się mieć za królową całego świata.

— Dla tego, że czujesz mniejszą ode mnie potrzebę wynurzania się.

— Bo mam więcej od ciebie miłości własnej.

— Co to znaczy?...

— To znaczy, że jak skąpiec chowam mój skarb w głębi serca, gdy swój rozdajesz pomiędzy echa.

— Robię źle, że jestem hojnym, będąc tak bogatym?

— Nie mówię tego.... choć niema niewyczerpanych skarbów; lecz myślę że większa ostrożność wcaleby nie zaszkodziła.

— Co rozumiesz przez słowo ostrożność?

— Rzecz bardzo prosta.

— Cóż takiego?

— Oto.... mam przeczucie niewiedzieć jak i dla czego, że z powodu mojej miłości zyskałeś nieprzyjaciół....

— Nieprzyjaciół!... chcesz powiedzieć rywalów.

— Nie wiem,—odpowiedziało dziewczę z anielską prostotą. Ale.... czyż to nie na jedno wychodzi?

— Mniejsza o to! — dodał Ryszard głosem pełnym przekonania i czułości, — mamże lękać się czego, będąc pewnym twej miłości Marikitto?

— To wiele znaczy Ryszardzie; bo kiedy chcesz być pewnym mojej miłości, ja chcę być pewną twojego życia, i dla tego trzeba żebyś był ostrożnym. Powtarzam, że to są tylko przeczucia.... jednak bardzo być może, że nasze szczęście wzbudziło zazdrość, a od zazdrości do zbrodni krok jeden.

— A więc? — przerwał młodzieniec z uśmiechem, — jeżeli mnie zabiją . . . . coż potem będzie?

— Jeśli cię zabiją? — powtórzyła Marikitta z wyrazem bólu i nieporównanej siły, — pomszczę śmierć twoją . . . . a potem . . . . potem . . . . coż mi pozostanie do czynienia na tym świecie?

— O! mój kochany Aniele, — rzekł Ryszard przyciskając ją do serca, — wszakże wiesz, że to tylko żarty. Nikt nie chce mię zabić, a ja o niczem więcej nie marzę, jak żeby żyć najdłużej, i najdłużej powtarzać, że nikogo tak niekochabłem i kochać nie będę jak ciebie!

Lecz smutne myśli nie opuszczały Marikitty.

— Już ja często myślałam, — rzekła smutno, o podobieństwie postradania ciebie mój drogi.

— Czy tak? — mówił Ryszard z wyrazem boleści.

— Tak, i skoro pierwszy raz przyszło mi to do głowy, zaraz postanowiłam, co bym wtedy uczyniła.

— I coż takiego? — zapytał Ryszard wzruszony.

Za całą odpowiedź pokazała Sejmurowi pierścienek, który do chwili wyznania mu swej miłości, zawsze nosiła na palcu. Ryszard zrozumiał, i okrył pocałunkami i łzami piękną, delikatną rączkę, noszącą to tak straszne, lecz skuteczne na wszystkie cierpienia lekarstwo.

Nagle Marikitta wydała krzyk przerażający, a Ryszard żywo podniósł głowę; w tejże chwili rozległ się podwójny wystrzał i dwie kule świszcząc, przeleciały przez altankę . . . . potem słychać było galop oddalającego się konia.

Ryszard i Marikitta pozostali na chwilę w miejscu, nieruchomi, niemi, jakby skamieniali. Wresz-

cie dziewcze pierwsze przyszło do przytomności i podnosząc z przestrachem, klęczącego dotąd u jej nóg kochanka, poprowadziła go prędko ku domowi.

— Marikitto,—pytał cichym głosem Ryszard, gdy przechodzili przez próg,—czy nie jesteś zraniona?

— Nie,—odpowiedziała krótko,—a ty?

— Ja? — powtórzył Ryszard, tuląc ją do siebie z radością,—mnie kule nie trafiają.

Młoda dziewczyna, całując go w usta gorącemi ustami, wyrzekła z cicha:

— O! jakże Bóg dobry!

Ale wzruszenie odjęło jej siły, zwiesiła głowę i wkrótce Ryszard trzymał na rękach omdlałą, jakby martwą Marikittę.

Nadbiegł don Lazaro Robera, a stary sługa pośpieszył po wodę do blizkiej krynicy. Zaczęto cucić biedne dziecko, nacierać mu skronie, tak, że po kwadransie przyszedłszy do przytomności, rzekło z uśmiechem:

— To nie, dziękuję.... Już mi zupełnie dobrze.

Przeczcucia więc nie zawiodły Marikitty; jej miłość i szczęście były rzeczywiście zagrożone. Lecz zkad pochodziło niebezpieczeństwo, jaki powód mógł podać broń w rękę, która strzelała do Ryszarda, (bo dziewcze w chwili gdy ów krzyk wydało, spostrzegło lufę pistoletu wymierzoną prosto w czoło kochanka) czego się trzeba było obawiać na przyszłość? .... Takie były wzajemne zapytania don Lazara i jego córki.

Co do sir Ryszarda Sejmur, ten się obojętnie uśmiechał.

— Jeżeli myślicie,—mówił,—że im chodzi o moje

życie . . . uspokojcie się, bo jestem nietykalny i mam przekonanie, że choćby same niebo spadło na ziemię, pewnieby mnie nie przygniotło. Są istoty, które żyją wśród niebezpieczeństw jak salamandra w ogniu! Otoż ja należę do rzędu tych istot, i żebym widział lecącą wprost na mnie kulę, ani bym się uchylił, będąc pewnym, że jeszcze w porę zmieni swój kierunek. Razu jednego w Londynie stałem na balkonie, który się zaczął pode mną załamywać, postanowiłem upaść razem z nim z wysokości drugiego pietra, przekonany zupełnie, że z tego złych skutków nie doznam....

— Wszystko to bardzo ładnie, — wniósł w końcu don Lazaro, przeszedłszy kilka razy wzdłuż i wszerz pokoju; ale roztropność jest matką bezpieczeństwa... i lepiej zawsze poczynić choć niepotrzebne ostrożności, jak się narazić potem na żal, że się je zaniedbało.

— Ojciec ma słuszość, — dorzuciła Marikitta, — ostrożność jest obowiązkiem.... choćby tylko dla spokojności tych, których się kocha....

— Kiedy tak, to będę ostrożnym, — odpowiedział Ryszard, niemogący niczego innego żądać, jak tylko tego o co go prosiła Marikitta, — i na początek przyjmę chętnie tego wieczora za towarzysza drogi waszego pocziwego Diego....

— To, to prawdziwie mądrze! — zawołała Marikitta wesoło klaszcząc w ręce.

— Diego pojechał do Walparaizo, z kąd nie powróci jak późno w nocy, — zauważał don Rohera, — ale sam ci będę towarzyszyć.

— O! kiedy tak.... to tem lepiej ojcie, bo ko-

chasz Ryszarda jak syna, więc będziesz nad nim czuwać, jakbyś czuwał nad swoją Marikittą!

W pięć minut po tem dwóch jeźdźców w pełnym galopie spuszczało się w dolinę Bellamare.

## XXVII.

Odtąd Sir Ryszard Sejmur, klórego bryk pływał koło brzegów, wstępując na ląd, otaczał się większemi niż dawniej ostróżnościami; tak naprzód, kazał zawsze sobie towarzyszyć dwóm dobrze uzbrojonym majtkom; brał z sobą regularnie swojego ternewa, wiernego i groźnego Toma, a wreszcie sam się zaopatrzył w szpadę i w parę doskonałych pistoletów; lecz wszystko to czynił, ma się rozumieć nie z przewidywania niebezpieczeństwa, ale na prośby Marikitty i dla uspokojenia jej trwogi.

W przeciągu trzech tygodni żaden nowy wypadek nie usprawiedliwił tych środków ostrożności, a możeby je nawet sir Ryszard zaniechał, gdyby razu jednego, pomimo wieczornych cieni, nie spostrzegł wprawnem okiem marynarza, trzech jeźdźców, stojących w końcu doliny, którą miał przejeżdżać.

— A! — zawołał, — wydobywając szpadę z pochwy i biorąc ją w zęby, — będziemy mieć chwilową zabawkę, jeżeli się nie mylę.... Tom! tu, tu mój psie!

Potem zwracając się do majtków, którzy za nim jechali, i o których wiedział, że są złymi kawalerzystami, jak wszyscy majtkowie, dodał:

— Będziecie za mną jechać w niewielkiej odległości i zastanowicie się o trzysta kroków od miej-



sca gdzie ci panowie na nas czekają. . . . a że nie słychać na piasku końskich stapań i noc ciemna, pomyślą, że jestem sam jeden; gdy się naprzód do nich zbliżę, niezwłocznie na mnie napadną. . . . udam ucieczkę. . . . będą mnie ścigać. . . . zapędzą się za mną na dolinę prosto pod wasze siekiery. . . . i tak się ich pozbędziem.

Umocowawszy się na siodle i nabiwszy pistolety, sir Ryszard Sejmur z pewnym rodzajem przyjemności, spał konia ostrogami i pomknął jak strzała. Wkrótce trzy kule świstnęły koło uszu młodego anglika, lecz on leciał dalej i jak piorun wpadłszy niespodzianie pomiędzy zbójców, natarł na nich szpadą i przestraszonych popędził przed sobą w dolinę, wspierany przez Toma, który koniom przecinał odwrót. Majtkowie z swojej strony, pełniąc rozkaz, rzucili się na uciekających, tak, że zbójcy zaczęli wreszcie prosić przebaczenia w Imie Przenajświętszej Trójcy, w Imie Najświętszej Panny, Anioła Gabryjela i wszystkich-swiętych.

— Dobrze, dobrze, — rzekł Ryszard, daruję wam życie. . . . ale pod jednym warunkiem; musicie mi powiedzieć czyjem jesteście narzędziem? . . .

— Don Jose, don Jose Salvatierry! — zawołali wszyscy trzej razem.

— A! doprawdy? . . . . a ile wam płaci don Jose za wasze rzemiosło? . . . .

— Po trzy piastry na każdego, Jaśnie Wielmożny Panie.

— Fi! moi panowie. . . . czyż to się nazywa płacić. . . . ja wam dam cztery razy tyle. . . .

— Za zabicie don Jose? — przerwali z chciwością wszyscy zbójcy.

— Nie.... lecz za oćwiczenie go porządnie przy pierwszym spotkaniu.

Po ósmiu dniach była nowa zasadzka na życie Ryszarda za pomocą zatrutych owoców, lecz równie się nie udała. Inną razą jeden z najemników Salvatierry chciał zchwycić na petłę angielskiego kapitana, lecz sznur się osunął; a sir Ryszard miał przyjemność pojmania go w powietrzu, i przytwierdzenia do siodła, tak że napastujący został napastowanym, że się koń jego wywrócił, i że zarówno i ten napad nie udał się zupełnie; wreszcie jeden z majtków *Marikitty*, który wszedł na ląd o tej samej porze w jakiej zwykle wchodził kapitan, znikł bez śladu i wszystkie poszukiwania były nadaremne.

Nie wspomniał o tem sir Ryszard ani przed don Roberrą, ani przed Marikittą, tylko postanowił nadal nie wystawiać swych ludzi na pastwę nieprzyjaciół, i samotnie przybywać do Bellamare, polecając się na powrót swej opiekuńczej gwiazdzie i straży dzielnego Toma.

— Mój kochany Ryszardzie, — rzekł stary markiz do Sejmura przybywającego bez przewodników o trzeciej godzinie po południu, — chcesz doprawdy, żeby moja Marikitta przed szlubem została wdową?...

— Bądź pewny, że mi nie grozi żadne niebezpieczeństwo, — odrzekł kapitan z uśmiechem.

— Nie znasz chilijczyków: o dokonanie zemsty im równie chodzi jak o śmierć lub życie.... albo ich trzeba zabić, albo oni zabiją!

— Ba! — dodał niedbale Sejmur, — jeżeli nie znam

Chilijczyków, znam don Jose i to mię zupełnie uspakaja.... Zresztą jest bardzo łatwy sposób złagodzenia tój do mnie odrazy, to jest możemy się zaraz połączyć. Skoro Marikitta zostanie moją żoną, mogę choć jutro odpłynąć.

— Bez wątpienia,—rzekł don Lazaro, którego czoło nagle się zachmurzyło, gdy Ryszard stale wymówił zamiar małżeństwa, ale wiesz, że Marikitta, nie myśli opuścić swego kraju, nim się nie przyczyni do odzyskania jego niepodległości.

— Wiem.... i właśnie dla tego uwielbiam twą córkę, Margrabbio, tyle ją kocham.—dla tego czekam. I to mówiąc, sir Ryszard uścisnął z uczuciem ręce przyszłego swego teścia.

— A potem,—ciągnął dalej don Lazaro po chwili milczenia, kończąc myśl uprzednio poczętą.—przyjmując szlachetnego jak ty młodzieńca do swój rodziny, obowiązkiem jest powierzyć mu jēj tajemnice.... a pomiędzy niemi są takie, kochany Ryszardzie, które od trzech lat trują życie moje, a o których, nie miałem dotąd odwagi ci wspomnieć.

— I dobrześ uczynił margrabbio; o niczém nie chcę wiedzieć. Są w życiu każdego prawie człowieka nieszczęścia niczém niepowetowane — nikt niema prawa badać ich ogromu, zmienić ich natury nie może. Niech to co zaszło między Bogiem a tobą, między nimi i tobą zostanie.

— Nie,—odrzekł żywo don Lazaro, wprowadzając Ryszarda do gabinetu,—tajemnica ta jest wspólną całej naszej rodzinie, Marikitta wie o niej i ty powinienes ją znać, jeśli chcesz zostać mym synem, abys mógł udział w niej przyjąć.

Sejmur ze dwadzieścia razy był w gabinecie margrabiego, nic go jednak więcej tam nie uderzyło oprócz wiecznie panującej w nim ciemności. Spostrzegł wprawdzie wielki obraz okryty czarną krepą i umieszczony nad biórem don Lazara, ale sądząc, że to portret zmarłej margrabiny, nie zwracał nań szczególnej uwagi. Dnia tego, przeciwko zwyczajowi, don Lazaro, podniósł sztory i odsunął firanki okrywające okna, potem gdy pokój nagle został oświetlony, zbliżył się do tajemniczego obrazu, z gorączkowym pośpiechem zdarł żałobną zasłonę i wyrzekł to jedno słowo:

— Patrzaj!

— Marikitta! zawołał Ryszard.

Była to w istocie Marikitta — jej lat szesnaście, usta koralowe, wielkie czarne oczy, różowe lica, bogate krucze warkocze, szyjka łabędzia, czarodziejski uśmiech i układ szlachetny; przedewszystkiem jednak była to Marikitta z swym wdziękiem dziecięcym, dziewiczą czystością i anielskim uśmiechem; rzekłbyś że ten portret wczoraj zrobiony, a jednak przypatrując się bliżej, widać było zaprzeszłoroczną datę; — lecz Ryszard całkiem oddany urokowi pierwszego wrażenia, widział tylko uśmiechającą się i zaledwie nie mówiącą do niego Marikittę.

W kilka minut don Lazaro, jak trup blady, uderzył lekko po ramieniu zachwyconego młodzieńca, i wskazując mu portret, rzekł z cicha z wyrazem boleśnego przymusu:

— Hislorja tego portretu jest tajemnicą o której ci mówiłem...

W chwili gdy margrabia miał ją zaczynać opo-

wiadać, ukazała się Marikitta na progu gabinetu z polnemi kwiatami w ręku, szukając Ryszarda.

— O Marikitto! — zawołał Ryszard, biegnąc ku niej, — byłem już z tobą.... pójdz, niech ci się lepiej przypatrzę.

Dziewcze wzięło rękę, którą kochanek jej podawał i machinalnie dało się przywieść na przeciw portretu; lecz na widok jego raptownie zbladło, wstrzymało krzyk boleści, i z wyciągnionemi ku Ryszardowi rękami padło bez zmysłów na kolana.



## ROZDZIAŁ XI.

### Dwie Marikitty.

(Zakończenie.).

#### XXVIII.

**N**owa wyłączna myśl o czemkolwiek usuwa poprzedzającą; tak i margrabia zapomniał zupełnie o przyczynie omdlenia córki na widok samego omdlenia; a tem bardziej o wyznaniu Ryszardowi tajemnicy, która zresztą mało go obchodziła, bo zakochanym niepodobna o czem innem myśleć jak tylko o przedmiocie miłości.

Choć omdlenie Marikitty nie miało w sobie nic zatrważającego, jednak nie można ją było przypro-



wadzić do przytomności za pomocą zwyczajnych środków, i musiano posłać po doktora. Ocucona, szukała naprzód wzrokiem Ryszarda, a ujrzawszy go, podała mu zimną jeszcze rękę i patrząc nań z uśmiechem, zasnęła.

Margrabia wziął to za powtórne omdlenie.

— Bądź spokojnym, — rzekł doktor, — tą razą spoczywa.... Często się u nas zdarza, że omdlenie poprzedza sen lub wzajemnie.... Za parę godzin ujrzycie ją chodzącą po ogrodzie jakby nic nie było.

— Podług pańskiego zdania doktorze, — pytał Ryszard, który z początku strasznie się zatrwożył, jak zwyczajnie zakochany gdy idzie o ukochaną osobę, — niema już żadnego niebezpieczeństwa?

— Niebezpieczeństwa? — powtórzył z zadziwieniem stary Eskulap. — Jakież w omdleniu może być niebezpieczeństwo dla młodej kobiety... a szczególnie kiedy jest ładną? omdlenie należy do wychowania kobiet; uczą się tego jak tańców....

— Dobrze, dobrze doktorze! — rzekł śmiejąc się Margrabia, — wiemy że lubisz żartować... ale mówiąc serjo, co myślisz o tym stanie Marikitty?

— Powiedziałem ci, mój stary przyjacielu, że to nic nie znaczy.... córka twoja jest w takim wieku, w którym się podobne słabości często przytrafiają, i najmniejsza przyczyna może je spowodować... Dziś, na przykład, powietrze przepętnione elektrycznością, od rana przygotowuje się burza... i w tem najpewniej cały sekret.

Margrabia gorzko się uśmiechnął. Dotknąwszy raz jeszcze pulsu chorej i zapisawszy kilka lekarstw dla

uspokojenia Ryszarda, stary doktor wziął kapelusz, laskę i rękawiczki, i wyszedł powoli.

Około ósmej Marikitta przebudziła się.

— O! jakże jestem nierozsądną, — rzekła widząc swą rękę w ręku Sejmura, — śpiąc straciłam cały dzień szczęścia....

Potem, podchwytyjąc, dodała:

— Jednak nie, niezupełnie dzień zmarnowałam..... we śnie widziałam ciebie...

— I ja także, — odrzekł Ryszard, — bo czuwałem ciągle przy tobie, patrząc na cię, zachwycając się tobą i wielbiąc cię....

W tej chwili don Lazaro, który się był oddalił dla wydania jakichś rozkazów, powrócił do pokoju córki.

— Mój kochany Ryszardzie, — rzekł uściskawszy wprzód czule Marikittę, — już ci pierwiej wymawiałem, że sam jeden tu przybyłeś... ale gdy się to już stało, a masz wieczorem powracać na okręt, radzę ci nie tracić czasu.... Niebo zapowiada burzliwą noc.

— Rzeczywiście, — dodała Marikitta wsłuchując się, — grzmi nad doliną...

— Weź z sobą Diego.... mówił margrabia.

— Poco? — przerwał z uśmiechem Ryszard.

— Żeby cię bronił, — dorzuciła Marikitta.

— Od wiatru i od deszczu? — Dziękuję; byłoby to skazać starego Diego na zimną kąpiel, której jak ci wiadomo wcale nie lubi.... Dla mnie tem lepiej kiedy deszcz, wicher, grzmot — bo to zwyczajni towarzysze moich podróży — a burza moim żywiołem.

— W takim razie, wierz mi, nie opóźniaj się... Koń już okiełzany, siadaj i śpiąwszy dobrze ostro-

gami, staraj się jak najprędzej stanąć na brzegu, jeżeli chcesz być dzisiaj na okręcie.

— Dobrze, słucham cię margrabio, — rzekł Ryszard z westchnieniem.

I rzucając na Marikittę ostatnie wejrzenie, pełne smutku i miłości, dodał:

— Do jutra, nieprawdaż?

— Od ciebie to zależy, — odpowiedziała.

— Wkrótce tentent konia dał się słyszeć pod oknami.

Marikitta usiadła na łóżku, wsparła czoło na rękach i zaczęła się przysłuchiwać, żeby jak najdłużej ścigać uchem odgłos tej nocnej wyprawy. W miarę jak się oddalał i zmniejszał, zdawał się szczęście jej z sobą unosić; wkrótce gdy już nie słyszała oprócz odległego szumu burzy, opuściła głowę i szepnęła smutnie.

— Są w życiu dni tęsknoty, dni w których czujemy potrzebę zapłakać bez wyraźnego powodu.

Nie omylił się margrabia; wszystko zapowiadało burzliwą noc, i zaledwie Ryszard ujechał kilka kroków, deszcz zaczął padać; lecz gdy już był na drugim końcu doliny, powstała straszliwa burza. — Zresztą młody marynarz przywykły do niepogody, jechał spieszniej, nie dla uniknięcia gniewu rozzłoszczonych żywiołów, lecz dla skrócenia czasu oczekującym go w szalupie na morzu czterem majtkom. Przybywszy na miejsce, w którym dnia tego wysiadał, (bo każdą razą wyladowywał w innym punkcie) skoczył z konia, a zarzuciwszy strzemiona na siodło i przywiązawszy trzęźlę, puścił go wolno do Bellamare. Robił to każdego wieczora, bo zmyślne zwierze tak by-

ło przyzwyczajone powracać bez jeźdźca do domu don Robery, że zdarzało się nieraz margrabiemu, puszczać je samotnie z Bustamarte, a nawet z Santiago, to jest o dwadzieścia mil, i zawsze najregularniej znajdować w domu.

Zaledwie po wypuszczeniu konia postrzegł Ryszard, że rozhukane morze nie dozwoli szalupie żadnym sposobem przybyć do brzegu.

— Otoż co zrobiłem nierozważny! — rzekł do siebie, — to tak zawsze!

Jednak zwracając się do psa dodał:

— Tom szukaj! szukaj mój synu!

Tom poleciał jak strzała, lecz nie znalazłszy, wrócił prędko z podkurczonym ogonem i zwieszonymi uszami.

— Cóż robić! gdy wino nalane trzeba je wypić, jak mówią Francuzi, — rzekł do siebie Ryszard, — zrobiłem niedorzeczność uwalniając konia, muszę teraz za nią pokutować. — Puszczać się wpław do okrętu jest niepodobieństwem dla wielu przyczyn, z których, trzy aż nadto wystarczające: pierwsza, że morze rozhukane; druga, że *Marikitta* o dwie mile od brzegu; trzecia wreszcie, że jej zupełnie nie widzę. Wracać do Bellamare piechoto zajmie wiele czasu i pociemku nie znajdę drogi; szukać schronienia w jakiej chacie, jest to narazić się na przeniewierzenie się Marikicie. Najrozumniej położyć się tutaj, czekając dnia; oto skała, która mię zasłoni od wiatru, a drzewo od deszczu; piasek zastąpi poślanie, a Tom posłuży za poduszkę i strzedz mnie będzie zarazem.... Na wojnie jak na wojnie, a w miłości jak w miłości!

I Ryszard na przekór burzy przygotowywał się

przepędzić noc pod odkrytym niebem (które było pokryte chmurami), lecz na nieszczęście zapomniał o przyptywie wody, o rozbijającej się fali, o wietrze i piorunach; zaledwie bowiem usnął na pół godziny, gdy niespodzianie piorun uderzył w drzewo, oblała go masa wody, a wiatr weiskający się pomiędzy skały podjął straszliwy, piaszczysty tuman.— Nic więcej nie pozostawało Ryszardowi zrobić, jak tylko dostać się na wyniosłą płaszczyznę, będącą nad brzegiem morza..... Lecz i tu znalazł prawdziwe jezioro, którego fale zaraz mu twarz oblały.

— Do licha! coraz to trudniej! — rzekł Sejmur, — jeszczeby to nic nie było, żebym miał mój kapelusz marynarski i moje buty... ale jestem w trzewikach, białych spodniach i lekkiej czapeczce.... a burza się podwaja... trzeba coś postanowić. — Obaczmy najprzód która godzina....

Wyjawszy zegarek z kieszeni, czekał na błyskawicę, żeby przy jej świetle obaczyć—trwało to chwilę.

— Kwadrans na dwunastą! — dnieje o szóstej, więc jeszcze mam przed sobą sześć godzin nocy.... To za wiele na taką pogodę!

Rzeczywiście, noc była straszna; padał deszcz ulewny, a wiatr z okropnym rykiem zrywając się z gór, ugiął największe drzewa; śpionione morze ze złowieszczym łoskotem rozbijało się o skały, a nad tem wszystkim rozlegał się prawie nieustający grzmot. Oprócz burzy, nie było żadnego innego śladu życia: ani szczekania psów, ani rżenia koni, ni krzyku ptactwa, ni odgłosu stapań w dolinie--nie—nie!

Nagle, przy świetle błyskawicy spostrzegł Ryszard



na pięćset kroków od siebie wielką, kwadratową masę, odbijającą się jak czarne widmo na jasnym tle oświeconego nieba; zaczął się domyślać, że to musi być jakaś chata, i zastanawiając się, przypomniał sobie, że właśnie w tem miejscu była znana mu *posada chilena* t. j. karczma chilijska, co go niezmiernie pocieszyło. Ruszył zaraz stanowczo w kierunku zjawiska, ale noc była tak ciemna, że wtenczas zaledwie spostrzegł znowu karczmę, gdy już był u jej progu. Była to mizerna budowa o jednym piętrze, z rodzajem wieży, kryta na wpół słomą, na wpół palmowemi liśćmi. Pierwej nim zastukał do drzwi, młody kapitan angielski, lubiący wiedzieć w jakim miejscu ma zapuścić kotwicę, obszedł dwa razy naokoło domu, przekonał się że było w nim tylko jedno wejście z przodu i wszystkiego sześć okien. Wieża chociaż zdawała się oddzieloną, stanowiła przecie jedną całość z budową i tylko z mieszkania można się było do niej dostać, bo na zewnątrz nie miała żadnego otworu, oprócz małego okna na pierwszym piętrze.— Obejrzawszy to wszystko, już się Ryszard zabierał obudzić mieszkańców *posady*, ale nikt jeszcze nie spał, i za pierwszym uderzeniem, jakby cudem drzwi same się otwały.

W środku wielkiej sali, której całe umeblowanie składało się z długiego stoła i kilku prostych ław, było chilijskim obyczajem wielkie ognisko, około którego siedziało trzech ludzi dziwnej powierzchowności,— ci, na widok nowo przybyłego, wymienili znaczące spojrzenia.

Przeszedłszy próg karczmy, Ryszard pożałował zaraz iż to uczynił, wolałby być wystawionym na deszcz,

wiatr i pioruny, gdyż tknęło go przeczcucie jakiegoś niebezpieczeństwa. Nie okazał jednak lego, zasiadł przy ognisku dla wysuszenia odzienia, wmieszał się do rozmowy toczącej się głównie o niepokodzie i kazał podać sobie wieczerzę składającą się z kilku banan zalanych szklanką *pisko*, i porcyę *tasso* dla pocziwego Toma; w końcu oświadczył gospodarzowi chęć udania się na spoczynek,—lecz ten wziął go na stronę i rzekł zcicha: *Sennor Cavalero!* za tych pocziwych kupców z *Mendozy*, których tu widzicie, i którzy równie jak wasza *excelencija* schronili się od burzy, ręczę jak za siebie.... lecz że nie śpią i hałasują, sąsiedztwo ich byłoby nieprzyjemne... ośmielam się więc ustąpić mu, własną moją izbę w końcu korytarza, zupełnie nie zamieszkałej części domu... Będzie to trochę drożej, ale o kilka realów nie zechcesz się zapewne targować.... pies zaś...

—Pies mój zawsze śpi przy mnie, — przerwał spokojnie sir Ryszard Sejmur, gładząc Toma.

— W takim razie, jak się podoba,— rzekł gospodarz i zmarszczył się mimowolnie, okazując swe niezadowolenie.

Potem idąc przed Ryszardem ze świecą, wskazywał mu drogę.

— *Buena noche cavaliero!* \*)—zawołali trzej mnie-mani kupcy, spoglądając na siebie znacząco.

— *Buena noche senores!* — odpowiedział oddalając się Ryszard.

Pokoj sypialny, do którego został wprowadzony, była to mała okrągła izdebka, źle opatrzona, z o-

\*) Dobręj nocy kawalerze.

kienkiem wychodzącem na pole i ze starem łóżkiem, osłoniętem firankami (lecz rzadkim zwyczajem w tych stronach, łóżko to miało ciężki baldachim, bardzo podobny do wieka od trumny).— Oprócz tego ścienne szafa, słoma wyplatane krzesło i stół kulawy, uzupełniały przepych całego umeblowania.

— Oto łóżko za które mi pan jutro podziękuje,— rzekł dobrodusznie gospodarz, uderzając ręką po materacu.

— Nie wątpię o tem, bo strasznie jestem znużony,— odrzekł Ryszard najnaturalniej i z zaspą miną.

— A więc *buena noche!*

— *Buena noche, buena noche!* — powtórzył Sejmur, zdejmując *poncho*.

Zaledwie się gospodarz oddalił, Ryszard pobiegł do drzwi aby je zamknąć, lecz zamek był zepsuty.

— Oho! — pomyślił, — to nie żarty... sam dobrowolnie wlażem w paszczę wilkowi. Zobaczymy! W każdym razie panowie wilcy nie znajdą baranka łatwego do pożarcia... Nieprawdaż panie Tom?

Pies wesoło kręcąc ogonem, ukazał dwa rzędy białych i ostrych zębów — prawdziwy przybor wojenny.

— A cóż będziemy się bronić mój stary towarzyszu,— powiedział Ryszard.

Tom zaczął się kręcić w kółko z wyraźną radością, dobrze świadczącą o jego usposobieniu.

— Dobrze! — rzekł do siebie Ryszard, — Tom da się we znaki poczciwym kupcom z Mendozy. — Postarajmy się tylko drzwi zamknąć, aby nieprzyjacieli nie napadł niespodzianie, i zobaczmy w jakim stanie są pistolety.

Za pomocą dużego marynarskiego noża, i krzesła o którym wyżej była mowa, wystrugał spory kołek, którym podpierając klamkę, uczynił ją nieruchomą, a tym sposobem tylko przemocą można było drzwi otworzyć, co już wiele znaczyło; następnie obejrzał podróżne swe pistolety, doskonałe tak pod względem wykończenia i elegancji, jak też pod względem nadzwyczajnej trafności... Lecz niestety! zamoczone panewki niedozwalały użycia broni.

Ryszard przyznać musiał, że ta okoliczność wcale była niepomyślną, — bo z Tomem i z dwoma pistoletami czułby się silniejszym od nieprzyjaciela.

— Bylibyśmy czterej przeciwko czterem, — pomyślał, — a co więcej czterej Anglicy przeciwko czterem Chilijczykom.

Lecz straciwszy dwóch pomocników, wiedział, że siły stały się nierówne i walka bardziej niebezpieczna.

— Zresztą, wola boska! Ciekawy jestem jak zabiją ludzi, których biorą za śpiących.

I nierozebrany wyciągnął się na łóżku. Nie upłynęło pięciu minut, gdy Tom zaczął wachać ścienną szafę i drapać do niej jakby, była składem mięsiwa.

— Pójdź tu Tom! — rzekł cicho Ryszard, lecz ze znaczącym giestem.

Tom przybiegł, polizał rękę pana i wrócił do szafy.

— Tom tu! powtórzył Sejmur.

Pies przybiegł powtórnie, polizał go w rękę, a wróciwszy do szafy znowu zaczął drapać.

— Nieda mi pokoju póki mu szafy nie otworzę, — mruknął Ryszard, — tem gorzej dla gospodarza, jeśli tam chowa swoją wędlinę.

— Patrz głupcze, — ciągnął dalej zwracając się do ternewa i pokazując, że nie było klucza w zamku, — nasz gospodarz człowiek rozsądny, wie które drzwi zostawić otworem, a które zamknąć....

Tom nie dał się przekonać i drapał ciągle, patrząc na pana błagającym wzrokiem; Ryszard wreszcie nie mogąc mu się oprzeć, za pomocą noża oderwał zamek.

Zaledwie drzwi się otworzyły jakby same, lub pchnięte sprężyną, gdy Sejmur nagle odskoczył z przerażeniem.

Trup upadł na środek pokoju, i pomimo zepsucia, młody kapitan *Marykitty* mógł w nim poznać majtkę, który przed kilku dniami był zginął! Trup zawinięty w koldrę nie miał na sobie śladu ran.

— Biedny Patrik! — rzekł Ryszard przyklękawszy, — biedny stary majtku, oczekiwany w przyszłym roku na święta w rodzinie... podług przyrzeczenia mojego, że was wszystkich do Anglii w tej porze przywiozę.... Nie ujrzysz już kochanej ojczyzny, ani żony, dobrej gospodyni, ani syna, który będzie dzielnym marynarzem! Zginąłeś za swojego kapitana, bo jego to chciano zabić, zabijając ciebie.

Po chwili zamyślenia nad trupem, Ryszard powstał zwracając się ku rzeczywistości samą okropnością wypadku.

— Patrik tu życie skończył, — pomyślał, — bez ran i oznak gwałtu... jakim że więc sposobem?

Kiedy takie sobie zadawał pytanie, uderzył go straszliwy widok, tak, że pomimo wrodzonego męstwa, zimnej krwi, i niedbania o życie, włosy mu powstały na głowie, a dreszcz zimny przebiegł po



całem ciele.... Baldachim będący nad łóżkiem zaczął się na nie opuszczać cicho i powoli, i przycisnął ołowianym ciężarem pośladki.

Zdało się to Ryszardowi snem okropnym, i zabrakło w piersi oddechu.

Tom zawył przeciągle, tym jękiem pełnym smutku i złowieszczych przepowiedni, który zdarza się nieraz słyszeć na wsi zimową porą, przechodząc blisko sioła.

Tymczasem na dworze deszcz uderzał w szyby, wiatr dziko szumiał pomiędzy drzewami i pioruny grzmiały nieustannie.

Chwilę Ryszard miał zamiar wyskoczyć przez okno, ale to zewnątrz się tylko otwierało, a wybicie szyb mogłoby obudzić czujność zbójców; przytem chociaż okna nie były wysoko, zeskakując można było złamać nogę i być na miejscu pojmanym, przypuściwszy nawet szczęśliwe dostanie się na ziemię, uciekającego dopędzonoby łatwo konno i schwytano najdalej o pięćset kroków. Czekać, było najrozuźnij i to też Ryszard uczynił.

Po kwadransie dały się słyszeć głosy i stapania w korytarzu.

Tom tak silnie zaczął szczeakać, że aż się szyby zatrzęsły.

Ryszard milcząc psa pogładził, spróbował o łóżko ostrze swego noża i w milczeniu złożył ręce na piersiach. Pomyślał, i słusznie, że jeżeli co wybawićby go mogło to chyba przestrach chwilowy dusicieli na widok żyjącego człowieka, którego już mieli za umarłego, i prędkość korzystania z tej chwili trwo-

gi, bo rzuciwszy się niespodzianie na zbójców, można ich było rozpędzić.

Pojmujący niebezpieczeństwo i pragnący go Tom, wspaniale wyglądał w swym gniewie.

Razem umilkły głosy, zacięły stąpania, nastała chwila głębokiej ciszy. Przeczuł Ryszard, że szczerkanie Toma musiało zatrwożyć *dusicieli* i że przygotowywali się strzelać do psa przez drzwi; wtedy z prędkością błyskawicy rozłamał słabą zaporę i rzucił się na zbójców, Tom także wyskakując z zajądłością i obalwszy jednego, chwycił drugiego za gardło i uduślił od razu. Po kilku minutach strasznej walki, cofając się pociemku, potrafił wreszcie Ryszard dostać się na próg swego pokoju; lecz na nieszczęście dwaj przeciwnicy korzystając z chwili jego odwrotu, pośpieli nabić pistolety i już mieli wystrzelić, gdy nagle okno będące naprzeciw nich rozbiło się z hałasem. Uderzył straszliwy piorun, błyskawica oświeciła niebo i biała postać, podobna do nocnego widma, straszna i groźna, ukazała się oczóm zbójców, którzy przerażeni i nieprzytomni, rzucając broń, padli na kolana. Ryszard był wybawiony!

## XXIX.

17 września 1810 r. powstanie Chilijskie wszędzie odniosło górę, a chociaż zaledwie 1818 r. niepodległość kraju zupełnie została ustalona, już i wtenczas nikt o niej nie wątpił. Zajścia między różnemi stronnictwami o rodzaj formy rządu i wyborów, osobisty interes niektórych wodzów, niedoświadczenie

narodu w polityce, opóźniało ugruntowanie się stałego i silnego rządu, tak, że hiszpanie, powróciwszy z wyprawy na Peru, zdołali chwilowo w 1814 r., powtórnie zawładnąć Chili; ale w czasie, o którym mowa, zupełnie już zwycięzki naród oddychał z rozkoszą świeżem powietrzem swobody,—wszędzie widziano zabawy, uczty, bale i różnego rodzaju zgromadzenia.

Wieczorem ulice Valparaizo zapełniały się ludnością, a wszystkie okna były oświecone; w *Almen-dralu* popisywali się śpiewacy, mówcy, tancerze i sztukmajstrowie; mnóstwo pojazdów i jeźdźców przesuwało się w różnych kierunkach; spacerowe ogrody i mnogie szynkownie, położone w zachodniej części miasta, miewały także licznych gości.

Pomiędzy temi ostatniemi była jedna, do której szczególnie zbierało się wiele ludzi. Miała ona niezłą powierzchowność, obrócona frontem do morza, a zamiast szyldu wywieszony wielki transparent z napisem kolorowemi literami:

#### LAS DUAS HERMANAS.

Ta niby kawiarnia składała się z dwóch pokoi, z których tylko pierwszy stał otworem dla publiczności; kilka stołów i ław drewnianych stanowiło całe umeblowanie; w głębi był bufet zapełniony szklankami i butelkami, a w środku miejsce dla orkiestry. Jak we wszystkich podobnych domach w Valparaizo, orkiestra złożoną była z harfy, gitary i bębenka. Harfa Chilijska mniejsza i lżejsza od Europejskiej, i gra się na niej inszym sposobem, bo nie stojąca ale leżąca, jak harfa starożytna. Wyższa część instru-

mentu opiera się na kolanach grającego, co zmienia porządek strun. Bębenek ma kształt bardzo pierwotny: kawał wydrążonego drzewa obciągnięty niewyprawioną skórą. Co do gitary, jej narodowy charakter zależy na tem, że się z niej wydobywają nosowe tony i jakby z pękniętego instrumentu. Jakakolwiek bądź była orkiestra w *Las Duas Hermanas*, słynęła wówczas na całe miasto z powodu zadziwiającej piękności swojej prima donny, będącej zarazem harfiarką, bo artyści Chilijscy jednocześnie grają i śpiewają.

Otoż, 17 września 1810 roku, o szóstej godzinie wieczorem, kiedy jak zazwyczaj sam dobór towarzystwa był zgromadzony w *las Duas Hermanas*; jezdziec na spienionym koniu, okryty *poncho* narodowych kolorów, połączył się z gronem słuchaczy, podziwiających senioritę; towarzyszył mu drugi jezdziec, który wjechawszy na środek pokoju, zręcznie na miejscu osadził konia.—Dwaj nowo-przybyli stanęli obok siebie. Zjawienie się ich takim sposobem nie zadziwiało wcale ani gości, ani muzykantów; harfiarka tylko posunęła nieco ku sobie swój instrument, i koncert ciągnął się dalej jakby nic nie zaszło.

Jezdce kazali podać szklankę limonady, i patrząc na senioritę, rozmawiali z sobą chwilę przyciszonym głosem, potem rzuciwszy harfiarce kilka sztuk monety i zchylając się na koniach żeby o drzwi nie uderzyć głową, jak wjechali, tak i wyjechali pośpiesznie. Dostawszy się na ulicę, puścili się galopem, i nie zwolnili kroku aż na polu za miastem.

— A co? rzekł jezdziec w *poncho* do swojego towarzysza,—co mówisz bracie o tem podobieństwie?

— Mówię, że to do nieuwierzenia, żebym nie wi-

dział przed godziną Marikitty w Bellamare, przysięgłbym że to ją słyszałem teraz śpiewającą w *las Duas Hermanas*.

— Więc sądzisz, don Marcelino, że nawet oko samego kochanka może się omylić?

— Nie tylko kochanka—ale i ojca.

O! to zawiele, tyle nie wymagam. Teraz posłuchaj mnie bracie.

— Mów.

— Dałeś mi pięćset, czy sześćset piastrów....

— Pożyczyłem Jose, pożyczyłem.

— Mój Boże! czyż to nie na jedno wychodzi, nie warto było przerywać mowy dla tego dzieciństwa; ołóż dałeś, czy pożyczyłeś mi,—mniejsza o wyraz,—pięćset piastrów....

— Sześćset bracie.

— Zgadza się, sześćset, nie idzie tu wcale o liczbę. Pożyczyłeś, mówię, czy dałeś sześćset piastrów żebym ci pomógł pozbyć się szczęśliwego rywala, i zarazem strasznego kontrabandyisty.

— Pozwól bracie....

— Bogiem się świadcę—ciągnął don Jose, udając że nie słyszy don Marcelina,— że najsumienniejszy używałem tych pieniędzy i używałem wszelkich środków, żeby się pozbyć sir Ryszarda Sejmur. Jednej nocy w *posada Chilena* pewniebym dopiął swego, tak wszystko dobrze było przygotowane, lecz się sam diabeł w to wmieszał, a raczej senorita Marikitta, jakem ci już kiedyś opowiadał.

— Tak, wiem, — odrzekł don Marcelino: — Marikitta w białym, długim odzieniu ukazała się w nocy twoim ludziom; wiatr wył jak zaklęta dusza, biły



pioruny, niebo świeciło błyskawicami.... więc się poprzestraszali.

— Rzeczywiście.

— Wiem jeszcze, że nazajutrz bryg angielski odpłynął, bo sir Ryszard Sejmur dla uspokojenia Marikitty obiecał nie powracać do Chili, aż wtedy, kiedy to będzie mógł uczynić bez niebezpieczeństwa.

— Ołóż teraz może....

— I ja, — przerwał trochę wzruszony don Marcelino, — myślę że lada chwila ukaże się *Marikita*.

— Nie oczekuj tego, bo już ją widziano, a jutro sir Ryszard będzie w objęciach kochanki.

— Więc cóż począć? — zapytał don Marcelino.

— Przeszkodzić, — odpowiedział obojętnie ex-kapitan.

— Zastanów się nad tem don Jose, że już nie jestem Alkadem, że rewolucja tryumfuje, a Marikitta jej główną jej bohaterką....

— Choć nie jesteś już Alkadem, ale zawsze jesteś zakochany! dodał żartobliwie don Jose.

— Być może! ale mówmy serjo. — Miłością moją pokrywasz swoje zamiary, prawdziwym powodem jest zemsta, którą chcesz się nasycić; owoż posłuchaj mnie z kolei. Mogłem podzielać chęć twoją pozbycia się sir Ryszarda Sejmur, — tak się nazywa nie prawdaż?... skoro chodziło tylko o kontrabandzistę.... ale dzisiaj zmieniły się okoliczności: powtarzam ci, że nie jestem Alkadem, a kapitan *Marikitty* kraj oswobodził.... jemu winni broń, która dała niepodległość.... i ktoby dziś wyrwał choć jeden włos

z jego głowy, byłby nie powieszonym, ale ćwiartowanym.

— Dowodzisz jak książka, mój kochany bracie i jeszcze jak książka drukowana u Jezuitów, — pozwól mi odpowiedzieć z większą szczerością. Przyznaję się, że więcej dbam o moją zemstę niż o twoją miłość, ale i to pewna, że służąc sobie, służę i tobie zarazem. Więc co cię ma obchodzić przyczyna, kiedy ten sam skutek.—Kontrabandzista stał się patrijotą, prawda, ale żebym go zabił, zawsze by nie żył choć patrijota i wybawiciel. Tak, okoliczności się zmieniły.... ale znowu może być inaczej....

— Co pod tem rozumiesz?

— Nic.... tylko, że niema nic stałego na świecie.

— Więc myślisz że sprawa królewska?...

— Nie wiem sam co myślę... przepraszam, pomyliłem się: myślę, że za dwadzieścia piastrów możesz całą noc być kochanym przez Marikittę harliarkę; myślę, że można tak zrobić żeby sir Ryszard pomyślał iż to jego narzeczoną; myślę, że widząc ją w twoich objęciach, przysięgnie że to *Róża z Bellamare*; myślę że ta ostatnia pozwoli sobie niewinnie posadzić o bezwstyd, a nie wyda sekretu i nie będzie się usprawiedliwiać; myślę, że nastąpi zerwanie pomiędzy Ryszardem i Marikittą, którą przeklnąwszy, odpłynie i nigdy już do Chili nie powróci; myślę w końcu, że jeżeli chcesz, wszystko to może się jutro zrobić.

Don Marcelino zamyślił się i długi czas milczał; potem, widząc że zjechali na dół ścieżki. prowadzącej do jego domu, odważył się odpowiedzieć:

— Piękna to dziewczyna ta Marikitta z oberży....

Jesteśże pewnym, że przyjmie na siebie rolę jaką jej wyznaczasz?

— Dasz dwadzieścia piastrów?

— Dam.

— Kiedy tak, to za dwadzieścia piastrów będzie grać wszystkie role jakie zechcę, zaczawszy od roli kobiety straszliwie w tobie zakochanej.

— Powiadasz że już widziano bryg angielski?

— O południu.

— Więc tej nocy wejdzie do portu?

— Nie, nie tej nocy, bo dla ostrożności zatoka zamknięta od szóstej z wieczora do szóstej rano.

— To znaczy że jutro rano?

— Nie później; od trzech dni morze spokojne. Wedle prawdopodobieństwa zaledwie o czwartej godzinie *Marikitta* zarzuci kotwicę...

— Jeżeli tak bracie, to zamiast wracać do Walparaizo, zostań u mnie na wieczerzy, pomówiemy o tem obszerniej.... Mamy ośmnaście godzin przed sobą....

— Ośmnaście razy więcej czasu niż potrzeba na ułożenie planu dnia stanowczego!—odpowiedział don Jose popędzając konia w galop.

### XXX.

We dwa dni potem, we dworze Bellamare na wszystkich twarzach malowała się wesołość i była rzeczywiście w każdym sercu, na niebie, w naturze, w kwiatkach i w gronie płasząt po raz pierwszy probujących swej pieśni. Przybywał Ryszard Sejmur.

Pomimo smutku spowodowanego świeżem nieszczęściem. Marikitta miała w spojrzeniu wyraz upojenia i miłości trudny do oddania; można było poznać, że od kilku miesięcy dużo cierpiała i płakała, ale szczęście, którego doświadczała w tej chwili, było tak pełne, niezmierzone i wszechwładne, że wystarczało jednego jego promienia żeby o wszystkim zapomnieć.... nawet trzeba to przyznać niestety!... i o mogile ojca usypanej w głębi ogrodu!

W krajach ciepłych zwyczajnie kolor żałoby jest biały, ale córka don Lazara wołała nosić bardziej odpowiedni jej moralnemu usposobieniu i przykrywała twarz długim czarnym wualem. Don Robero zginął od pierwszej hiszpańskiej kuli, więc od trzech miesięcy Marikitta nie myślała o strojach i nie patrzyła w lustro zapłakanemi oczami.... Lecz w dniu, o którym mowa, o niczem więcej nie pamiętała, jak tylko o tem, że Ryszard przyjechał.... i nawet jakby zaczęła się wstydzić swej czarnej sukni; ale zastanowiwszy się, przekonała się że żałoba była jej do twarzy, że rysom jej dawała wybitniejszy charakter i podnosiła białość pści.... i uśmiechnęła się z radością, właściwą każdej zakochanej kobiecie, czekającej kochanka, której zwierciadło powiedziało, że jest prawdziwie piękną.

Okolo godziny trzeciej dał się słyszeć w dolinie tentent koui, i wkrótce dwóch jeźdźców przybyło do dworu. Pierwszym z nich był Ryszard, drugim ksiądz.

Marikitta wydała okrzyk radości wywołany z głębi duszy—i rzuciła się w objęcia kochanka.

Ryszard namiętnie przycisnął ją do piersi, lecz nie tak jak się spodziewała.

— Nareszcie,—szepnęła patrząc nań,— przybyłeś.... O! jakżem szczęśliwa... umarłabym gdyby ze szczęścia i miłości umrzeć można było!

— I ja także Marikitto jestem szczęśliwy,—rzekł Ryszard dziwnym głosem,—tyle co ty przynajmniej, i z bojaźni żeby to szczęście mi nie umknęło przywiozłem z sobą księdza....

— Księdza?

— Dobrego *padre* który nas zaraz połączy....

— Zaraz?... nie zastanowiłeś się nad tem Ryszardzie.

— Owszem.... zastanowiłem się z uwagą i póty nie będę spokojnym, póki nie zostaniesz moją żoną... Wydaje ci się to dziwaczne i niepojęte, nieprawdaż? Mój Boże! zgadzam się na to, i proszę cię o przebaczenie.... Ale smutne doświadczenia robią nas niedowierzającymi, i w chwili gdy mam cię posiadać boję się postradać ciebie.... wolną jesteś Marikitto, kochasz mię.... i ja ciebie.... oto już od dwóch lat jesteśmy zaręczeni przed Bogiem.... bądźmyż złączeni przed ludźmi!... Ojcze u nóg twoich błagamy cię o błogosławieństwo.

I Ryszard ująwszy Marikittę za rękę zmusił ją prawie uklęknąć przed księdzem. Biedne dziewczę spojrzało nań z boleśnem zadziwieniem i mimowolną trwogą. On był spokojny i uśmiechający się jak zawsze, ale nieco blady.....

W kwadrans wszystko było skończone i dobry *padre* wracał powoli do Walparaizo, odmawiając litanije.



— Teraz gdy jesteśmy sami przyjacielu, — rzekła Marikitta z uśmiechem, — spodziewam się że mi wytłumaczysz co to wszystko znaczy.

Ryszard zamknął drzwi, przekonał się że nikt go nie słyszy, i stanął naprzeciw Marikitty z założonymi na piersiach rękami, z okiem pałającym zgrozą, i z pogardą na ustach.

— To znaczy pani, — rzekł powoli zimnym i przenikającym głosem, — że jesteś moją żoną, i że stare prawo angielskie upoważnia męża, niewierną i krzywoprzysiężną żonę, poprowadzić na targ w Londynie, bosą i z powrozem na szyi.

— Panie, jeżeli była niewierną, — odpowiedziała Marikitta blada, ale piękna niewinnością, spokojem i godnością, — to nie od czasu jak jestem twoją żoną; wyrazy twoje nie mogą się do mnie stosować...

— Mniejsza o to!... dość że wyrazy moje dowodzą metresie don Marcelina, że i ja byłem wczoraj w oberży *las Duas Hermanas*!

Marikitta nie mogła powstrzymać bolesnego wykrzyku i oparła się o krzesło żeby nie upaść. Po chwili milczenia rzekła smutnym głosem:

— Mówiłeś o targu londyńskim Ryszardzie.... niepotrzebowałeś wspominać o nim aby mię zabić, dość ci było powiedzieć: Marikitto, zwątpiłem o tobie.... albo: już cię nie kocham.... toby wystarczyło.

I biedne dziecko zrozumiawszy, że Ryszard wiedział już o strasznej tajemnicy, podniosło rękę do ust i chwilę przy nich ją zatrzymało.

— Co czynisz?!... zawołał Ryszard.

— Oszczędzam sobie wędrówki na targ w Londynie, — odpowiedziała łagodnie.

W tej chwili posłyszano na wschodach przyspieszone stapanie, drzwi się otworzyły i kobieta w odzieży pokrytej pyłem, z twarzą pomieszaną wpadła do pokoju z krzykiem:

— Siostro moja!... siostro!

Na ten głos odwróciła się Marikitta i padła konać w objęcia nowo-przybyłej.

Ryszard cofnął się nieprzytomny i zbolały.... poznał Marikittę z oberży.

— Zapóźno przybywam, nie prawdaż? — rzekła rozdzierającym głosem, czując na ustach stygnące czoło siostry. O! to kara Boża.... Idąc z hańby w hańbę, musiałem potraćć mogiłę.

— Siostro moja, — szepnęła Marikitta, sekret ten nie należał do mnie.... nie mogłam go wydać.... lecz umrę szczęśliwą, jeżeli mi przyrzeczesz, że staniesz się nadal córką godną naszego ojca....

— Przysięgam na nasze dawne przywiązanie.... lecz na co masz umierać?...

— O! — rzekła Marikitta dogorywającym głosem, — mów lepiej: na co żyć?... kiedy on o mnie zwątpił....

Ryszard łkając od płaczu, rzucił się do nóg konającej.

— Tak, płacz, płacz, wypłacz wszystkie łzy twoje! — mówiła Marikitta z oberży, — boś ty jej nigdy nie kochał, ty który mogłeś tego anioła wziąć za mnie, nieszczęsną kobietę.... O! mężczyzni, wam się zdaje, że wy wiecie co to miłość.... spójrzcie na te dwie Marikitty, i powiedzcie co jest pomiędzy niemi wspólnego, pomimo podobieństwa... powiedzcie jakby nierządnicą mogła przyjąć na siebie dziewiczą postać, tak że i serce kochanka omylić zdoła!..

— Pani,—rzekł Ryszard, za całą odpowiedź, głosem poważnym i smutnym jak boleść, siostra twoja nie żyje! . . . . .

Pogrzeb Marikitty odbył się w Walparaizo przy wielkim napływie ludności, a sir Ryszard, przekupiwszy cmentarnego stróża, wykradł i przeniósł na okręt zwłoki swej żony. Nazajutrz rano bryg angielski odpłynął do Europy z jednym tylko człowiekiem na pokładzie,—był nim sir Ryszard;—i od tego czasu nikt już o nim nie słyszał.—Tylko dnia pewnego, między szczątkami rozbitego koło przylądka Horn okrętu, znaleziono deskę od trumny, a na białej jej powierzchni, złotemi literami napisane imie:

MARIKITTA.

## ROZDZIAŁ XXII.

**Uwagi autora nad historją dwóch Marikitt. — niesprawiedliwe przekonanie o Chilijkach. — Sprawiedliwe o duchowieństwie. — Szczęśliwe wyjątki. — Kraina złota. — Wyjazd z Walparaizo. — Czego najbardziej żalujemy w życiu. — niespodzianie przerwane marzenie autora. — Prawdziwy kamień filozoficzny. — Pies okrętowy nie istnieje równie jak burza. — Ocean spokojny usprawiedliwia swoje nazwanie. — Przykłady. — Alkmena.**

## XXXI.

**S**KOŃCZYWSZY opowiadanie i dopalając ostatni papiros, don Manuel zamilkł.

Rzeczywiście, historia ta nie jest żadną historją, a pisząc ją, zapytywałem siebie czy jest nawet powiastką?.... Czułem się jednak obowiązany oddać ją jako szkic zawierający w sobie kilka charakterycznych rysów, godnych zastanowienia.

Za nim opuścić Chili, muszę poświęcić kilka słów na zwrócenie dobrej sławy tamiecznym kobietom, bo mi się zdaje, że większa część autorów, zbyt srogo je osądziła, i że czas powiedzieć o nich istotną prawdę. Trudny to przedmiot zaiste. Jak wszędzie, tak i w Ameryce południowej kobieta jest istotą niepojętą, różnorodną i nieujętą; serce jej podobne do bazgraniny w jakimś nieznanym języku, dla tego trudno o niej sądzić, a tembardziej wyrokować stanowczo.

Powiadają naprzykład, że kobieta Chilijka, co się tyczy uczucia, niema pojęcia o miłości, o jej istocie, wpływie i obowiązkach; co się tyczy przyjemności, szuka nadużycia, bo niema w sobie ani dobrego smaku, ani delikatności; staje się występna, bo prędko podlega rozczarowaniu; potem, sprzedaje wdzięki, bo skłonna do lenistwa i kokieterii.

Na szczęście w tym portrecie, jak w wielu podobnych, jest oczywista przesada; zbyt jaskrawe kolory nie mogą być prawdziwemi. Chilijka zasługuje na lepszą reputacyę; łączy z układnością i wdziękami gruntowne przymioty serca. Trzeba przyznać, że mało ma nauki i nieodznacza się dowcipem, ale nie można jej odmówić rozsądku, — rzeczy tak rzadkiej wszędzie, — i wiele taktu w postępowaniu; nie widać w niej próżności, przesady i dumy, a przeciwnie, każdego uderza jej wrodzona nieśmiałość i wygórowana skromność. — Kokietka, lecz nie w złem znaczeniu słowa; stroi się dla własnej nie czyjejś przyjemności; zakochana.... nie tał się z tem, i nie każe czekać lat kilka na szczęście, którem zaraz może obdarzyć... i to się nazywa brakiem moralności?... Trzeba zauważać, iż moralność w miłości



niema stałych prawideł, i jeżeli kobieta chilijska nie wie, że skryte występki przebaczą się, to ta niewiadomość przynosi jej chlubę. Zresztą, miłostki w Chili nie są tak łatwe jak o nich powiadają, i w każdej stolicy europejskiej, więcej się niemi zajmują niż w Santiago. Rzeczywiście, kobiety złego życia można znaleźć i pomiędzy Chilijkami.... ale gdzież ich niema?... Odpowiedcie, że w Chili więcej niż gdzieindziej; to jeszcze pytanie, które w końcu nic nie dowodzi, dla tego, iż występki w szczególności nie służy za dowód przeciw cnocie w ogólności; ołóż powtarzam, że Chilijka zasługuje na lepszą sławę; ma z natury prawy i dobry charakter, któremu by, chyba można było zarzucić zbyt szczerość; wyszedłszy za mąż, staje się najlepszą żoną i najczulszą matką, nieprzystając być miłą kobietą.

Co się tyczy duchowieństwa, nie mam nic do zarzucenia. Wszyscy pisarze, podróżni i marynarze, oddali mu sprawiedliwość, dowodząc że żyje na wzór czasów *regencji*!.... Tylko pośpieszam dodać, że ten wzór naśladuje z najgorszej strony, nie zaś ze strony dowcipu, wykształcenia, szlachetności i wielkości. Jest to zkarłowaciała, mieszczańska i kupiecka *regencija*, która odrzuciła puder, muszki, czerwone obcasy, koruny i całą wykwinność ostatniego stulecia, a stała się chciwą, nosi długie, czarne fraki, brodę i nieuczesane włosy. I rzeczywiście, ta *zfałszowana regencija* sprzedaje wszystko, lub prawie wszystko.

Dla braku pieniędzy, żyje się publicznie z kobietą której nie można było poślubić; dla braku pieniędzy

zaledwie otrzymuje się prawo być zjedzionym przez robactwo w poświęconej ziemi!....

Przeciwnie, za pieniądze, za dużo pieniędzy, możesz się chrzczyć dla twojego zbawienia tyle razy ile ci się podoba, dadzą ci najpiękniej ślub, i będziesz pogrzebiony z największą wspaniałością.

Cóż chcecie? to zupełnie jak z odzwiernym w dzień terminu opłaty za mieszkanie:

Zapłać panie, zapłać pani,

A będziecie poważani.

A jednak taki to kraj nazywa się *krajiną złotą*! Miałożby być z Chili jak z owym szewcem, co robiąc obuwie, sam chodzi w najgorszym.

Wypadaż z tego ostatecznie wnosić, że duchowieństwo Ameryki południowej, niema całkiem dobrych księży?... Nie, bo powiedźcie mi, czy jest jakie prawidło bez wyjątku?... Niema, a choćby i było, zarazby dlań wynaleziono wyjątek: grzeczność i grammatyka, bez wyjątków obejść się nie mogą.

*Et nunc dixi*, przerywam.... Podjęto kotwicę (*ancre*) (uważa pani że *ancre* piszę przez *a* \*) i wiatr wydyma żagle.

Niestety! obaczcie co się z nami dzieje. Jestem na pokładzie dużej, wysmukłej wojennej korwety, hustającej się lekko i niedbale, na podobieństwo zakochanej kreolki.... Otacza mię grono ślicznych i dzielnych oficerów, pełnych nauki i dobrego ułożenia

---

\*) *Encre* atrament, *ancre* kotwica.

którzy są marynarzami więcej z serca niż z ubioru... Nad moją głową powiewa francuzka flaga.... słyszę mówiących po francuzku.... wszystko zda mi się zapowiadać szczęśliwą podróż, po tem ogromnem jeziorze, nazwanem Oceanem Spokojnym.... Powiedźcie mi zkad to pochodzi, że odjeżdżając, ze smutkiem spoglądam na oddalające się ciemne i ponure Walparaizo? Dla czego?—Mój Boże! któż doszedł przyczyny wszystkiego?

Jednak, kochana czytelniczko, jeżeli mnie zapytasz dla czego opłakujemy przeszłość, odpowiem, dla tego że ona unosi na swoich skrzydłach cząstkę naszego życia, i że najwięcej żałujemy w życiu.... niestety! smutno to wyznać — samegoż życia.

## XXXII.

Wybiła dziesiąta. . . . .

.....

Nie mogę panu wyrazić, jak miły sen miałem w tej chwili.

Kochałem kobietę godną miłości i byłem przez nią kochany!... Urzeczywistniło się dla mnie to prawie niepodobne szczęście wzajemnej miłości! Wynałazłem prawdziwy *kamień filozoficzny*!...

— Szaleniec! pomyślcie sobie.

Wiem dobrze o tem, ale czyż najdziwaczniejsze marzenia nie są zarazem najlepszymi?

Kochałem... i byłem kochany! czyli raczej tak

mi się zdawało, co zupełnie na jedno wychodzi. Kobieta którą kochałem, śliczna i doskonała pod każdym względem, podawała mi rączkę, mówiąc głosem, wejrzeniem, i uśmiechem, w którym było całe niebo:

— Pójdź! — pójdź do mnie!

Miałem już pochwycić z zapałem i lysiącznemi okryć pocałunkami tę drobną, kochaną rączkę...

Ale wybiła dziesiąta! . . . . .

. . . . .

— Zmiana służby zawołano chrapliwym głosem na przodzie okrętu.

— Zmiana! powtórzono takimże samym tonem.

Skoczyłem ze snu i potoczyłem się na drugi brzeg pokładu, bo oczewiście owa kochanka była snem tylko, a ja byłem w pośród morza na *Alkmenie*.

W chwili gdy się ocknałem, nie rad sam z siebie, spokój i cisza panowały dokoła, tylko głucho burczenie przerywało sen korwety.

Po tem burczeniu poznałem *Oskara*. Niestety! mamże wyznać? Oskar leżał przy mnie, a jego łapa była w moim ręku.... reszty się domyślcie.

Naturalnie że każdy mię teraz zapyta co znaczy *Oskar*.... *Oskar* był psem okrętowym, ale nie owym starym, morskim wygą, z miną marsową i despotyczną, którego historję opowiadają poeci, nie tym wiecznym przyjacielem, — prawdziwym fenixem psiego rodzaju, — który u majtków z ojca na syna przechodzi, nie tą pociechą całej posługi, kasającą kapitana za łytki — kiedy chude, — lub *calfat'a* \*) — jeśli je ma, —

---

\*) Robotnik do zatykania szpar w okręcie.

nie tem zwierzęciem cichem i śmiałem zarazem, niepodległem i wiernem z natury, burzącem od rana do wieczora na oficera pełniącego służbę, lecz łaszczącym się do młodego majtka, płatającem figle wyższej władzy i swawolącym tak, że nieboszczyk *Munito*, sam nieboszczyk *Munito* — śmiem to twierdzić — musiałby mu zazdrościć; nie tym psem grającym w karty, wskazującym godziny, szczekającym na opóźniających się, gdy trzeba pośpiesznie wleść do masztowego kosza, zajmującym się kierunkiem wiatru, i przejętym radością na widok rozpiętych, górnych żagli przy pomysłnym wietrze. Nie, doprawdy nie takim psem: ostatni *pies pokładowy* zginął z ostatnią burzą.... również jak ona *zniesiony*! I *Oskar* był zwyczajnem psiskiem, jakich widzimy mnóstwo w Paryżu na nowym moście.

Wyznanie to wiele kosztuje sercu memu, lecz sumienie historyka obowiązywało mnie do niego.— Widzi pani, że ją co chwila na nowe narażam zawody, na setnym razie uczyniwszy kreskę, zatrzymamy się.

Teraz wyobraźcie sobie ryby pływające prawie na powierzchni wody, ptastwo muskające skrzydłem spokojne tonie, niedbale na pół przysłonięty chmurami księżyc, w swym gwiazdzistym płaszczu, przezierający się w srebrzystem zwierciadle morza, a będziecie mieć pojęcie,—choć bardzo nie jasne,—naszych zwrotnikowych nocy.—Mówię *naszych nocy*, bo rzeczywiście, pomiędzy Walparaizo i Lima, żyliśmy tylko nocą z powodu miłośnych wejrzeń, któremi we dnie Febus prześladował biedną *Alkmenę*.

Za prawdę, Ocean Zachodni sprawiedliwie został nazwany przez Magiellana *Spokojnym*. Jezioro Gie-



newskie nie jest bardziej spokojne i przezroczyste. Przez cały rok jednostajne wiatry wieją tak cicho, roztropnie i przyjemnie, że nawet przewoźnik paryzki śmiało mógłby się puścić w swym słabym baciku ze szczupłemi żaglami.

Posądzicie mnie o przesadę, a mówiąc szczerze, słusznie, bo w każdym razie nie rozsądnie kusić losy, zdaje mi się, że nigdy żaden Chilijczyk lub Peruwjaniu (nie mniej biegli od naszych paryzkich batników) na połów wielorybów nie posunęli wycieczki dalej ostatnich krańców zatoki. Przeciwnie, z niedawno wydanej historyi hawańskiej wnosimy, że mieszkańcy wysp Sandwich, jeszcze przed odkryciem kapitana Kooka, byli w Otaicie i Nukahiwie, to jest w czasie kiedy narody Oceanii nie znały innych okrętów oprócz swoich łodzi. (Pirogów). Piękna rzecz, ośmset mil przebyć w łodzi, i to jakiej jeszcze — w wydrażonej kłodzie.

Ale co najwymowniej przemawia na korzyść Oceanu Spokojnego, bo to się dzieje przed naszymi oczami, to stan marynarski w Chili, w Peru i w Meksyku: złożona bowiem ze starych brygów, z odrzuconych przez wszystkie państwa trzy masztowych okrętów, z różnych podejrzaney dobroci statków, które po kilkumiesięcznej podróży po tej obszernej przestrzeni, wracają cało do portów bez innego uszkodzenia oprócz kawałka barana, wieprza lub wołu zgniłego, z powodu silnych upałów.

Wzmiankowano nawet, w czasie mego pobytu w Walparaizo, o jednym statku *czternasto-tonnowym*, wysłanym przed kilku miesiącami przez francuzki dom kupiecki *Laharague et comp.*, okręt ten zwiedziwszy Kallao, Markizy, Otaiti i wyspy Sandwickie

to jest: zrobiwszy trzy tysiące mil, powrócił nie straciwszy ani kawałka liny.

Po tem wszystkiem, wszelkie inne dowody byłyby zbyteczne, żeby powszechne przekonanie o poczciwości Oceanu Spokojnego, nie było zupełnie ustalone:

*Alkmena* jak ptak rozpuściła na wiatr skrzydła, a ślad jej był podobny do śladu ryby; przypominała syrenę,—tyle bowiem miała wdzięku w ruchach, tyle poezyi w kształtach i uroku w całej postawie. Niezapominała jednak swej prawdziwej roli, i jako dzielna wojenna korweta, lubiła widzieć nieprzyjaciela przed sobą; nie znosiła idei odwrotu, tak, że z wielką pracą rozpuściwszy wszystkie żagle, zmuszano ją do ucieczki, przed wojskiem zefirów ze wszech stron ją napastujących. Kokietka syrena wołała przed niemi kołysać się niedbale, jakby dla dowiedzenia że się ich nie boi i śmiało oczekuje spotkania.

Z przyczyny tego wojennego usposobienia okrętu płynęliśmy powoli; ale niebo było tak czyste, morze tak piękne, a pobyt na pokładzie tak przyjemny, że nikt z nas nie żałował straty czasu.... bo zyskał na nauce, na rozmowie, na wspomnieniach i na nowozawartych przyjaźniach.... przytem nie trzeba myśleć, że *Alkmena* stała ciągle na miejscu.

Drażliwość miłości własnej wojennego okrętu, była słabością właściwą wielkim ludziom, lub kaprysem pięknej kobiety; ale skoro się raz uspokoiła, za nadejściem nocy, okręt rozpuściwszy żagle, pomykał naprzód, jak dziewczyna śpiesząca na opóźnioną miłosną schadzke.

Nazajutrz rano płynąc trzy węzły, spoglądaliśmy na siebie z miną, która zdała się mówić:

— Hm!... Zbyt długo będziemy w drodze.

— Ile ujechaliśmy tej nocy? — ktoś się odważył zapytać.

— Od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu mil.... odpowiadano.

— O! nie zupełnie tyle! — dorzucali sceptycy.

— Sto czterdzieście cztery mili w ośm godzin moi panowie! — przerwał tryumfująco majtek pilnujący rudla.

Co znaczyło, że zrobiliśmy podczas nocy pięćdziesiąt mil pocztowych, które wzięte razem z dwónastodziennymi, stanowiły piękną całość. Raz nawet ujechaliśmy w dobę ośmdziesiąt mil, lecz tą razą przybiliśmy do lądu.



## ROZDZIAŁ XIII.

Temperatura powietrza w Peru 6 go Stycznia 1849 roku.—  
 San-Loreuzo. — Ostatnie szczątki rozbitej Meduzy. —  
 Prosta uwaga z tego powodu. — Najlepszy sposób wylądowania. — Umiejętność pozyskania szczęścia. — Kallao. —  
 Widok zatoki. — Widok miasta. — Dyliżanse peruwjauskie ze starych omnibusów paryzkich. — *Deus ex machina*. —  
 Zegarmistrz z Luson. — Droga z Kalao do Limy. — Don Ambrozio d'Iggius, margrabia Orsono. — Drugi przykład ilorn. — Legua. — Kaplica Najświętszej Panny. — Sławne drzewo. — Zręczny sposób proszenia jałmużny.

### XXXIII.

**S**zóSTEGO Stycznia termometr wskazywał trzydzieści stopni ciepła.

Szczęśliwy kraj! Niebo nań zawsze łaskawe, ziemia mu zawsze rodzi, ma wszelkie bogactwa... ale, niestety! ma zarazem wszystkie klęski, pochodzące z jednej wady — lenistwa! Możnaż rzeczywiście kraj ten nazwać szczęśliwym?

Bóg nas stworzył braćmi, chcąc widzieć wszystkich, składającymi jedną wielką rodzinę. ale zawiść, różniąc nas między sobą, złamała to prawo boże.... Dla tego i Chilijczycy, jak tylko się zdobyli na wojenną fregatę—rozbrojoną! a Peruwjanie zakupili parowy statek o dwóch działach,—któryby nie źle mógł pływać na Saonie lub Marnie,—od tej chwili, mówię, dwa te narody, których wspólny interes powinienby łączyć, wypowiedziały sobie wojnę wzajemnego czerwienia się i poniżania mało co mniej straszną od zwyczajnej.... Owoż zbyt wiele złego słyszałem w Chili o Peru, żebym się nie miał na bacności, ale też i nie dziwił się niczemu.

Rano, w pierwszej chwili naszego przyjazdu, ujrzelismy ląd i przypędziłszy ku niemu, nie tak wszakże dzielnie jak świętej pamięci don Kiszot ku owym sławnym, wietrznym młynom. Mielismo dość czasu obejrzeć się na okół i przypatrzeć się brzegom nowego kraju, do którego dążyliśmy. Zawsze jest korzyść z powolnego zbliżania się do lądu: naprzód, przyjazd taki, poważniejszy, bardziej imponujący, powtórę, zwiększa w podróży szczęście, pochodzące z osiągnięcia celu drogi,—człęk cieszy się za wczasu, smakuje powoli przyjemność, jak gastronom z rozkoszą napawający się zapachem zwierzyny lub bukietem *Szabli*. Gdy szczęście jest rzeczą umówioną, oczewiście, że poprzedzająca je chwila zawiera już w sobie połowę onego,—odrzućcie tę chwilę, a postradacie połowę szczęścia.

O! żeby człowiek chciał tylko badać siebie, i choć trochę się poznać, ileżby to mógł uczynić sobie nieznanym, ukrytym przyjemności, nie wychodząc z gra-



nie wewnętrznego poczucia, nie potrzebując uciekać się do tych podbudzających środków nowości, niespodzianki nie podobieństwa, które raczej rozdrażniają nerwy niż wzruszają, dają wstrząśnienia, a nie wrażenia!... Dzięki Bogu! pod tym względem, jako prawdziwi badacze, byliśmy zupełnie zadowolnieni. Nie doznaliśmy nagłego przejścia, raptownego przybicia do brzegu lub pośpiesznego wylądowania.... wszystko odbyło się powoli.

Lekki wietrzyk towarzyszył nam przy wejściu do zatoki, zostawując nas potem własnym siłom.

Zbliżając się do brzegu, spostrzega się naprzód San-Lorenzo. — San-Lorenzo jest mała wyspa położona o milę od Kalao z południowej strony, ściśle mówiąc, tworzy ona jeden z brzegów zatoki, którym w brzydkości, chyba brzegi Chili wyrównać zdolają, tak jest przykry widok tej smutnej skały. Nie nagość, nie próżnia, nie dzikość uderza, bo wszystko to ma swój charakter, ale brzydkość, po prostu brzydkość—widok niemający żadnego charakteru.

Przytem, przydomek brzydkość był dany San-Lorenzo i przez naszego komendanta *Coudein*, a on jest dla mnie powagą, której się nie śmiem sprzeciwiać.

(W tem miejscu niech mi pani pozwoli postawić nawias dla zrobienia mimochodem uwagi, że są ludzie i imiona do których przywiązuje się fatalność, pomimo wszelkich powodów, iżby tego nie czyniła. I tak, wyżej wspomniany komendant *Coudein*, był jeszcze wówczas prostym oficerem na okręcie *Meduzie*, kiedy w 1816 r. 2 lipca, ta nieszczęśliwa fregata doznała sławnego, znanego zapewne i pani roz-

bicia, a której komendant *Coudein* jest jedynym pozostałym szczątkiem....

Syn jego, także marynarz i jak on przeznaczony na to, żeby zawczasu przejść przez wiele strasznych prób i doznać wielu przygód, należał do sztabu pewnej korwety odbywającej stację na morzach chińskich, która zaledwie kilka lat temu zginęła z powodu równie smutnych okoliczności.... W końcu, ta sama *Alkmena*, na której był wówczas i której dowództwo zdał w Otaiti, tylko z przyczyny podwyższenia na stopień kapitana okrętu.... ta sama, biedna *Alkmena* w 1851 r. osiadła na mieliźnie przy brzegach Australii.... Nieprawdaż, że to wszystko bardzo ciekawe?)

Zamknąwszy nawias ciągnę dalej.

Opływając wyspę, spostrzegamy na niej kilka mało znaczących ziemnych wyniosłości, wystarczających jednak dla nadania jej północnej stronie kształtów niby sfinxa siedzącego ponuro nad wodą.... ale trzeba dobrej woli żeby go dopatrzeć, i chcieć widzieć koniecznie coś niezwykłego w tych wysokich, piaszczystych skałach, których w gruncie istotną załugę stanowią warstwy *guano* tak poszukiwanego w handlu.

Nareszcie jesteśmy w pośrodku zatoki, i dzięki Bogu, mamy tą razą przed sobą prawdziwie miły widok.

Zbudowane na obszernej i pięknej nadbrzeżnej dolinie, Kallao na podobieństwo miast dolnych Włoch, nurza swe stopy w Oceanie, a jego białe, jednostajne domy przypominają nasze Tureńskie miasta. Liczne okręty z wywieszonymi chorągwiami, ko-

łyszają się na kotwicach, kilka statków angielskich stoi przy debarkaderze i pyszna flaga peruwjańska, — czerwona z białem, — powiewa nad fortecą mającą prawdziwie wojenną powierzchowność.—Widok ten pełen ruchu, i wesołości, rozwesela serce.—Dodajcie do niego wiejską, ożywioną przyrodę, fale zieloności łączące się z falami morza, gdzie niegdzie, jakby ręką kobiety, rzucone od niechcenia świeże bukiety z drzew; a dalej, u podnoża góry, duże i wspaniałe miasto, tonące w Oceanie światła, odbijające słońce na szczytach wież, wieżyczek, dzwonic, jak starożytna Moskwa na ogromnych kopułach swych cerkwi; w końcu, nad tem wszystkim korona z bielejących wierzchołków gór, które na kraju horyzontu zdają się nachylać, jakby grono posiwiałych głów.—Oto macie obraz, jeżeli nie zupełnie nowy, to przynajmniej pełen rzadkiego bogactwa i różnaitości.

Wyobraźnia ma wiele podobieństwa z pędzlem *Diaz'a*, i widzi każdy przedmiot w pół-świecie, okrywając go tajemniczą szatą niepewności, dającą obszerne dla poezji pole.... Tak to z początku i mnie się wydawało i nam wszystkim, co dowodziło oczywiście że Peru ma ogromną wyższość nad Chili, czyniąc złudzenie możebnem.

Zdaleka Kallao podobne do pięknej willi, umieszczonej wpośród krzewów, lub do ptasiego między gałęziami gniazda; zbliżka lub wewnątrz przypomina którąś z wielkich wsi nad Loarą. Na tamie w porcie widać wszystkiego po troszę: węgle dla statków parowych angielskich, drzewo dla okrętów kupieckich, worki ze zbożem lub z mąką, paki z towarami ze wszystkich stron świata, stare żelaztwo do zby-

cia, kupcy z owocami i kwiatami, strażnicy celni, (gdzież ich niema?) żołnierze, majtkowie, batnicy....

Zajezdne domy utrzymywane, ma się rozumieć, przez Francuzów, jak na całym świecie, i oczewiście podobne do wszystkich jakie spotykaliście na drodze z Paryża do Lionu, z Lionu do Marsylii, za owych szczęśliwych czasów kiedy jeszcze były dyliżanse, zajezdne domy, a przede wszystkim rozumni podróżni, zastanawiający się w drodze dla zjedzenia wieczerzy.

Na głównej ulicy Kallao panuje wielki ruch, wielki hałas od koni, pojazdów, pocztylionów i nianieek.... istny plac *Świętego Marcina*, miejsce schadzki, przystań dyliżansów.

Dyliżanse te, będące pod zarządem Francuzów, są po prostu staremi, paryzkimi omnibusami, w których jeździliśmy nieraz od placu *Świętej Magdaleny* do cyrku, od Luwru do Botanicznego ogrodu, wtenczas kiedy przedstawiano *pigułki diabelskie*, i żyła jeszcze Girafa.

Biedne dyliżanse.... przyzwyczajone do rozkoznego paryzkiego bruku, do delikatnie obutych nówek naszych strojnych gryzetek, nie wiem w skutek jakiego zbiegu nieszczęśliwych okoliczności, mogły dojść do tego, że dziś łamą swe kości na ostrych kamieniach Limy... Jest to jedna z tysiącznych tajemnic Paryża, której nawet pan Sue nie mógłby nam wyjaśnić; ale może przypadkiem, z powodu omnibusów i smutnej ich starości, dawni ludzie umieścili *fortunę* na kole.... dla dowiedzenia że się ciągle obraca.... Jakimkolwiek to stało się sposobem, wyznaję zawsze, że z głębokiem uszanowaniem sia-

dłem na klassyczną, omnibusową poduszkę, łątaną w wielu miejscach, jakby na dowód licznych, odbytych kampanii; po jednej szlachetnej bliznie, zdawało mi się żem poznał *Bearnaise* z placu Inwalidów.... lecz prędko przekonałem się o moim błędzie—była to *Orleanaise*.... raniona 1848 roku!

Widzi pani, chociaż omnibus w oczach wielu ludzi mniej znaczy niż nic; mniej niż fижakr, niż karetka... a jednak on pierwszy potrafił zyskać moje współczucie w Peru.

O! i omnibus może nas wielu rzeczy nauczyć, tylko trzeba chcieć go zapytać, chcieć spojrzeć na odwrotną stronę zapylonych poduszek; jest on jak *Deus ex machina*, który niesie w swem łonie cały nasz wiek dziewiętnasty.... i zapewne Karol X. ani się domyslał, jak straszliwe urodziło się dziecko pocziwemu Paryżowi w 1828 r. 11 Kwietnia.

Nie przeszło jeszcze lat trzydziestu.... a ileż to już odbyliśmy drogi z powodu omnibusów!

Jest to rzecz najpewniejsza, że żaden z akcyonaryuszów *Luteciennes*, *Carolines* albo *Obligentes*, za trzydzieści centimów nie podjąłby się zawieść najzacniejszego mieszczanina w którykolwiek bądź koniec Paryża, gdyż systemat rozdrobienia jego egoistycznego powozu przeciwłby się temu, przeciwnie akcyonaryusz omnibusu, nie wiedząc o tem, robi dobry uczynek a razem dobry interes, dla tego że łatwiej znaleźć podobnego do mnie biedaka, niż podobną do pani elegantkę.

Wracam do Omnibusu w Kallao. Było to w Niedzielę, a że na ten dzień w Limie zapowiedziano walkę byków, należało zawczasu zamówić miejsce. Po trzech godzinach oczekiwania, zdołałem wreszcie



usadowić się w jednym z kątów *koncurencyi*, gdzie byłem, jeżeli się nie mylę, dwudziestą pierwszą ofiarą, chociaż na tablicy omnibusowej oznaczono wielkimi literami: miejsce 16.

*Concurrence* nazywała się inaczéj: *las Favoritas*, co mi dało do myślenia, że nasz powóz musiał być w pokrewieństwie.... dalekiem.... z *Faworitami* stojącemi zwykle koło kaplicy *Saint-Denis*. Przytém napływ pasażerów wytłomaczył mi ze wszechmiar usprawiedliwioną nazwę *las Favoritas*.

Zacząłem rozmawiać z Francuzem, zegarmistrzem z Luson, osiadłym oddawna w Limie; pocziwosz ten miał jakieś upodobanie w pozbawianiu mnie moich złudzeń, co jest w ogólności błędem wszystkich naszych rodaków mieszkających za granicą.

— O! — rzekł do mnie zegarmistrz (który był zresztą zastałym w zdaniach swych) — zazwyczaj ten zarząd niema nigdy podróжных ...

— Wysyła przecie cztery powozy, przy jednym tylko wyjeździe o południu, przerwałem nieśmiało.

— Prawda.... ale *drugi* sześć.

Spojrzałem i spostrzegłem tylko dwa.

— Zkąd więc pochodzi nazwanie *Favoritas*? — zapytałem.

— Że się najczęściej wywracają, — nie śmiejąc się, odrzekł zegarmistrz.

— Do licha!... więc to się im zdarza?

— W inne dni czasami, w Niedzielę zawsze.... dla tego, że częstsze odjazdy i że pocztyljoni spółubiegają się.... pan mnie rozumie....

Rozumiem aż nadto.

— Dziś rano nawet, — ciągnął mieszkaniec Luson, —

powóz wiozący oficerów *Alkmeny* złamał się na drodze....

— Cóż się z niemi stało? — Zawołałem przestraszony.

— O!... nie, skapali się tylko w piasku.

Lecz że nasz sztab, od samego rana świeżył się i stroił, a nie bez przyczyny, bo w celu doznania licznych powodzeń w Limie, przeto opowiadanie zegarmistrza bardzo mnie obeszło.

W prostej linii z Kallao do Limy nie więcej pięciu wiorst, droga idzie przez wspaniałą dolinę, a na pierwszy rzut oka zdaje się być gładką i równą jak ogrodowa ścieżka. Lecz widząc, że do każdego powozu zaprzęgano po sześć koni, uwierzyłem iż nie wszędzie musi być gładko, i że może zegarmistrz miał słuszość. Łatwo pojmujecie moją trwogę, gdy posłyszałem wymówione słowa: *przylądek Horn!* Chilijczycy i Peruwjanie nazywają *przylądkiem Horn* wszelkie przejście, wszelki wypadek, wszelką przygodę, mogącą mieć jakikolwiek związek ze strasznym *przylądkiem burz*. Przepraszam pokornie dzisiejszą marynarkę za to nazwanie, ale jak jej wiadomo, nie przeze mnie wymyślone.

W Peru gdy mąż dożył lat czterdziestu, powiadają:

— Przybył do mężowskiego *przylądku Horn*.... niestety! niech się ma na baczności!

Gdy panna doszła do lat siedmnastu, mówią:

— Przybyła do panieńskiego *przylądku Horn* — niech się strzeże!

Gdy kupiec stoi źle w interesach, powiadają:

— *Przylądek Horn* dłużników.... niech się kredytorowie mają na baczności!

Krótko mówiąc, przylądek Horn jest synonimem wszelkich klęsk i nieszczęść, a każdy drży na jego wspomnienie.

### XXXIV.

Kallao dla Limy jest tem, czem Hawr, Bordo, lub Marsylja dla Francyi, to jest: jedynym portem z zapasami żywności dla stolicy Peru. Blokada Kallao byłaby jednocześnie blokadą Limy. Na widok tego, zawieszonego ciągle nad głową miecza Damoklesa, trudno pojąć dla czego dotąd, te dwa miasta nie połączone z sobą jeżeli nie koleją żelazną, to przynajmniej dobrą drogą, tembardziej, że niema żadnych przeszkód do przewyciężenia, i dość byłoby kilku wozów żwiru, żeby zrobić doskonałe szose, tem doskonalsze, że w Peru deszcze nie istnieją i pył nigdy nie przebija drogi.

Ostatni wice-król Peru, don Ambrozio d'Iggius, margrabia Orsono, zajął się był na serjo poprowadzeniem z Kallao do Limy *via reale* (drogi królewskiej). Ta *via reale* prosta, szeroka i równa, szła między dwoma strumieniami, wysadzona topolami, co wszystko, jak na wice-króla Peruwjańskiego, nie było źle obmyślanem; na nieszczęście szlachetny don Ambrozio umarł natenczas wcale nie w porę i jego droga pozostała.... w drodze. Ottąd ani na cal nie poszła dalej; Peruwianie nie myśleli ukończyć tego co się tak dobrze zaczęło; teraz kochana czytelniczko domyślasz się dla czego wywracają się poja-

zdy na małej drodze gdzie niema kamieni, lecz w po-  
śród której sączą się krynice.

Zbliżając się do Limy, spostrzegamy ślady wiel-  
kiej myśli wice-króla, to jest: pyszne brukowane bul-  
wary z obszernymi alejami, ławki dla wypoczynku,  
ciekąca wodę dla świeżości powietrza i zielone z li-  
ści firanki dla ochrony od słonecznego skwaru...  
Niestety! na tem koniec; więc żal, że don Ambro-  
zio d'Iggius, margrabia Orsono, umarł tak wcześnie.

Nie trzeba jednak wyobrażać sobie, żeby tylko le-  
nistwo przeszkadzało Peruwjanom do ukończenia dro-  
gi, bo właściciele omnibusów, (ma się rozumieć że  
dla własnej korzyści) probowali niejednokrotnie za-  
sypywać własnym kosztem wyboje łamiące koła ich  
powozów, lecz za każdym nowem pokuszeniem się, po-  
licija przysyłała żandarmów dla zabrania robotników  
do więzienia.—Duma to wszystkie te małe rzeczy-  
spolite przyprowadza do złego stanu w jakim się  
znajdują. Duma im wzbrania pomyśleć o czemś no-  
wym, bo wyobrażają sobie, że wszystko już zro-  
bione; duma stoi na przeszkodzie postępowi, bo się  
on tylko do tych uśmiecha, którzy się z nim iść sta-  
rają; duma na ostatek, zaślepiając ich, wzbrania im  
uczyć się i oświecać; — niczego się nie domyślają,  
przekonani, że wszystko wiedzą i umieją.

Droga z Kallao do Limy jest teraz w najgorszym  
stanie; wydaje się jakby burzącem się morzem ze  
dnem skalistym. Tak, że kiedyśmy przebywali tę  
niewielką przestrzeń, zdawało się nam że płyniemy  
w gzygzag po morzu, przybliżając się do brzegu, raz  
prawą, drugi raz lewą stroną okrętu i to bez koń-  
ca... wkrótce znudziła nas ta jednostajność.

W pół drogi,— w miejscu nazwanem *Legua*,— omnibusy zatrzymują się przed zrujnowaną kaplicą, niegdyś bardzo sławną, a dziś zupełnie opuszczoną. Ta kaplica nazywa się: Kaplicą Najświętszej Panny z góry Karmelu.

W pobliżu téj kaplicy jest znana *posada* wstawiona swojem *pisco*, i byłoby *crimen lese legua* nie wstąpić do niej dla wypicia szklanki tego napoju.

Wsiadając do pojazdu, słyszycie płaczliwy głos żebrującego mnicha, który wyciągając rękę, przemawia wam do duszy temi słowy:

— *Por l'amore de Dios!* (na miłość Boga); a że nieszczęśliwy kapelan Najświętszej Panny — z góry-Karmelu, doznał na sobie skutków złego stanu Jej interesów, tak iż na widok jego podartej sukmany, spłonęła by od wstydu kapota samego króla Thule, podróżny instynktowie sięga ręką do kieszeni i dobrze robi, bo gdyby kazał czekać na jałmużnę, mnich podsunąłby mu do pocałowania obrazek Bogarodzicy, zabrudzony do niepoznania ustami całującego go współstwa, tak że za całe złoto Peru nie odważylibyście się dotknąć do niego choć tylko końcem palca.

Przypomina to używaną u nas frazę: *worek albo życie!* Lecz z resztą wszyscy przecie żyć muszą.

Nie dojeżdżając do *Legua*, mijamy z prawej strony ruiny wsi założonej niegdyś przez Inkasów, a z lewej widać drzewo wstawione strasznym trzęsieniem ziemi, służące za skazówkę do jakiej wysokości podnosi się morze w czasie tego okropnego fenomenu. Drzewo te rośnie prawie o milę od brzegu.





## ROZDZIAŁ XIV.

**Przyjazd do Limy. — Brama miejska. — Zawód. — Ogólny widok. — Rzut oka na Limę ze stanowiska historii i poezii. — Lima taka jaką jest. — Skutki trzęsienia ziemi. — Mądre środki wynalezione przez rząd Limy. — Plac los Portales. — Sagrario zewnątrz i wewnątrz. — Srebrny ołtarz. — Użyty na koszt wojenne, zastąpiony nakładaniem srebrem. — Uwagi z tego względu. — San-Domenico i Santa-Rosa. — Sześćdziesiąt innych kościołów w Limie. — Ich ozdoby i rzeźby. — Wszyscy bez wyjątku muszą klękać na kamieniu. — Przed Bogiem wszyscy ludzie równi. — Zniesienie smutnego zwyczaju. — Wyłączny charakter procesyi peruwjańskich. — Historia Pericbole.**

### XXXV.

**J**ak wyżej wspomniałem, za zbliżeniem się do Limy droga staje się przepyszną. — Wysadzona z obu stron drzewami, (przez don Ambrozio d'Iggius) ciągnie się aż do bramy miejskiej prawdziwie pięknej

i wspaniałej, mocno zbudowanej, zapowiadającej bogate, pracowite i kwitnące miasto. Ale niestety! w Limie jak wszędzie, jak zawsze, liczba zawodów przewyższa o wiele przyjemną lub szczęśliwą rzeczywistość.

Ulica będąca przedłużeniem ulicy Kallao, kręta, nędzna i nieożywiona, niema przy niej ani jednego domu w dobrym stanie, ani jednego balkonu na którym by oko spoczęło.

Trochę dalej zmienia się postać rzeczy, a jeżeli wnętrze miasta nie zupełnie odpowiada oczekiwaniom, i wydaje się z początku pustem i zimnem, to jednak sprawiedliwość nakazuje wyznać, że Lima jest piękną i dużą, wielką jako całość, piękną w szczegółach, a zajmującą z powodu wiążących się z nią wspomnień.

Pojmuję zadziwienie na widok Limy, zupełnie tak jak pojmuje cześć i uszanowanie dla ruin Pompei lub Kolizeum... Lecz pobielcie Pompeję, umieście w Kolizeum ulicznych przekupniów, a będziecie mieć jakąś świętokradzką i śmieszną imitację, paryzkich bazarów. — To samo z Limą.

Jeżeli będę chodził po peruwjańskim mieście z chęcią ujrzenia w niem nowoczesnej stolicy, — *małego Paryża*, jak wszyscy mówią teraz, — to znajdę ją śmieszną i niedorzeczną; jeżeli będę patrzeć serjo na tych żołnierzy, na te widowiska, na te haftowane złotem ubiory, na tych don Bazilów, przyjdzie mi mimowolnie na myśl jarmark w Beaucaire, lecz jeżeli wśród jasnego i wspaniałego wieczoru, zadumany oprę się o jedną z tych poczerniałych kolumn na *plaza de los Portales* i zacznę śledzić okiem rznię-

cia na portyku i kolumnach, które jakby korunkową siecią otaczają plac cały; kiedy przede mną będzie *Sagrario*, wspaniała budowa z maurytańską balustradą, sięgająca czołem nieba, z której ponury głos dzwonu wstrząsa powietrze, której skrzydła rozpostarte w przestrzeni na podobieństwo ciemnej, dziwnych kształtów chmury; kiedy skromna, szmerząca samotnie w środku placu fontanna posypie swe krople srebrzone w promieniach księżyca; kiedy nieopodal od kościoła wypoczywający przy swoim koniu żebrak zarzuca na plecy podziurawione *poncho*, a *saya* daje mu zdaleka jałmużnę — litośne wejrzenie..... wtenczas, otrząsnąwszy się z cieniów nocy, cała starożytna Hiszpania staje przede mną: Hiszpania rycerska, dzielna, poetyczna; Hiszpania ze swym orszakiem w kaflach ponuro ozdobionych *dobremi klingami z Toledy* (używając ulubionego wyrażenia najbardziej dziś czytanych autorów) — w długich, ciągnących się płaszczach, z piórami hardo igrającemi z wiatrem; Hiszpania Rodrigów, don Żuanów, Karolów piątych i donny Sol; Hiszpania płomienna kołębka tyłu nienawiści i tyłu miłości; ta wreszcie Hiszpania tak dziś od nas daleka...

Przed przybyciem do Limy odczytywałem *ostatniego z Abenseragów*, dzieło to rozczarowując w kilku miejscach, sprawiało mi zarazem wiele przyjemności. Lima, bardziej niż inne miasta hiszpańskie, zachowała na sobie maurytańskie piętno, a badając je wspomnieniami, widzimy jak każdy kamień, każda ruina, każdy grób tego ponurego i milczącego grodu, powstaje, ożywia się na podobieństwo nieboszczyków, którzy o północy czynią to samo w fantasty-

cznych powieściach Hofmana lub Dikkena. Po przejściu złudzenia, Lima znów zasypia swem wiecznym, otaczając się grobowém milczeniem — zdaje się jakby jej nie było!

Znajdziecie jednak potem jej trupa, główne formy organizmu, szkielet, ale nie znajdziecie jej fizjonomji. Otoż, pytam was, czyż fizjonomia nie jest oznaką życia, jedynem życiem tego wielkiego ciała bez duszy, nazwanego miastem?

Podobnie weźcie zwłoki, zwłoki lub szkielet najbardziej przez was kochanej kobiety; ściśnijcie w waszej dłoni jej skrzepłą rękę; utkwijcie wzrok wasz w te zapadłe policzki, w te wklęsłe oczy, a nagle ta ręka, te policzki, te oczy, — martwe i bez wyrazu, — przemówią do was zrozumiale, czule i boleśnie; dla tego: że to nie trup niemy, zimny i nieruchomy, lecz wasza dusza przemówi, dusza, która się dzieląc na dwoje, ożywia zwłoki swem ciepłem, jak ożywia zwaliska i ruiny, dusza pochodząca z Boga, mająca posłannictwo tworzenia i zachowywania wspomnień — tej żywej poezji przeszłości — dla korzyści i nauki przyszłych pokoleń.

Ci więc którzy patrzą na starożytne miasta tylko swym własnym wzrokiem, nie widzą ich, i dla tego dziwno mi że wielu podróżujących uznało Limę za bardzo wspaniałe miasto.

Co do mnie, trzymam się mojego pierwszego zdania: Lima z obszerności wielka, w szczegółach ładna, lecz pod warunkiem pochwycenia związku z przeszłością i dopatrzenia starożytnego w dzisiejszem mieście. Jest jeszcze jeden bardzo prosty powód, wzbraniający stolicy Peru, jako nowożytnemu mia-

stu, chcieć uchodzić za coś wspaniałego — powód następujący:

Zniszczona raz po raz, choć częściami, przez trzęsienia ziemi w 1586, 1630, 1665, 1678, 1687, 1746, 1764 i 1828, podlegała tyleż razy niedołącznym zmianom i odbudowywaniom. Najpiękniejsze gmachy zepsute, albo źle odnowione, a oczewiście peruwiańscy architekci 1828 r. nie rozumieli pomysłów architektów 1586. Przylem, wszystkie prawie domy ukryte w głębi ponurych dziedzińców, dla tego, że rząd miejscowy chciał mieć ulice w prostej linii, czegoby nie dokonał inaczej, jak rujnując całkiem miasto, musiał więc kazać przymurować sztuczne fasady, które w gruncie są tylko ponuremi ścianami.

Prawda, że właściciele domów, — a są domy bardzo piękne, choć jak wytarte w obiegu pieniądze, straciły swoje piętno charakterystyczne, — prawda, powiadam, że właściciele porobili w tych ścianach duże bramy i krużganki ozdobione malowidłami *al-fresco*, lecz te malowidła po większej części śmieszne lub nieznaczające.

Prawda i to, że na zewnątrz ścian porobiono balkony wystające na ulicę, lecz dziwacznych kształtów bez oryginalności, lub ubogie bez prostoty, mają minę podwyższenia urządzonego dla skoczków, tak, że patrząc na nie, czekamy czy lada chwila nie ukaże się jaki Pajac lub Arlekin.

Jednem słowem, balkony te nie mają w sobie ani elegancji, ani prostoty, i równie nie uchodzą w mieście jak na wsi.

Tem gorzej dla tych nieprawych balkonów, dla tych śmiesznych malowideł, dla tych wrót wjezdnych,



dla tych Cmentarnych murów, które oszpecily poetyczne maurytańskie miasto! ale to wszystko rzecz święta dla tych dobrodusznych mieszkańców Limy.

Jedna tylko część miasta wyłamała się z pod ogólnego prawa, — część kupiecka, gdzie się znajdują kantory i sklepy, przez którą idzie najdłuższa i najszersza ulica Limy — *calle de los Mercedes*, — zamieszкана przez Francuzów i Anglików, i jakby w braku innej, ma tę zasługę, że stawia obok siebie dwa przeciwne stronnictwa, z czego wynika zlanie się w jedno dwóch różnych żywiołów przemysłu. Zdawało się że są różnej zupełnie natury, lecz korzyść rozdziela ją w gruncie, łączy je jednak na zewnątrz.

Zwiedziwszy ulicę kupiecką, podobną do wszystkich jakie widzimy w miastach angielskich i francuzkich, gdzie umieją ładnie wystawiać na pokaz towary, nie mamy w Limie nic już więcej bardzo ciekawego do widzenia, oprócz klasztorów i kościołów.

Ma się rozumieć, że zawsze wyłączam ową dawną, maurytańską, śliczną Limę, o której wyżej wspominałem, i na którą można patrzeć tylko wzrokiem historyi i poezyi.

### XXXVI.

Lubiącym kościoły stolica Peru, nie zostawuje nic do żądania, posiada ich bowiem aż sześćdziesiąt trzy, oprócz różnych kaplic, uprzywilejowanych ołtarzy. Jak wiadomo, hiszpanie mają szczególny gust do *olla-podrida*, i wszędzie jej używają,

nawet przy budowaniu świątyn; to jest, że z sześćdziesięciu trzech *eclesias* w Limie sześćdziesiąt dwie nie mają żadnego charakteru, żadnej właściwej architektury. Zbudowane jak cacka, ładne, i na tem przestają. Dla kobiety byłoby tego dosyć, lecz dla świątyni za mało.

Rzeczywiście tylko *Sagrario*, maurytańskiego stylu, zastosowanego do *plaza de los Portales*, jest prawdziwie piękną i wspaniałą budową w najobszerniejszem znaczeniu słowa. Nie mamy we Francyi żadnej katedry z którą mógłbym ją porównać. Świątynia ta piękna, bo długa i wysoka, wysmukła i lekka; obie jej wieżyczki zgrabne, cienkie i delikatne; fronton, choć niedość obszerny i wyniosły, jednak dobrego stylu, bogato i z gustem ozdobiony; lecz czem się najbardziej odznacza *Sagrario*, to maurytańską architekturą, oryginalnością kształtów i niepospolitemi mozaikami.

Wewnątrz budowa traci nieco ze swego uroku. Wygląda jak zwyczajny wiejski kościół, z tą tylko różnicą, że główny ołtarz srebrny (co się rzadko zdarza w wiejskim kościele) ze srebrnemi kolumnami i z grupą srebrnych figur, prawdziwie artystycznie wykonanych; o rzeczywistej wartości ołtarza zamilczę, bo ma się rozumieć, że całym złotem Peru nie możnaby było okupić tego srebra..... Zaprawdę, wszyscy wiedzą iż dziś Peru jest jedynym krajem nieposiadającym złota.

Limenijaue mają szczególne nabożeństwo do tego ołtarza i tak gorące, że chcieliby posiadać wszystkie relikwije tego drogiego ich czci przedmiotu. Wypada teraz wiedzieć, czy Bóg, który ukarał lud swój za

ubóstwienie *złotego cielca*, zesze swe łaski na peruwianów ubóstwiających *srebrny ołtarz*! Podlega to wątpliwości, lecz, szanowna pani, gdy mówimy tu o tym Najwyższym władcy wszech rzeczy, czyż ci się nie zdaje, że nic bardziej nie świadczy o Jego wielkości, jak małość i zdzieciniałość wielu z tych, którzy zakrywając sobie dobrowolnie oczy, nie chcą widzieć Go takim, jakim jest rzeczywiście, pełnym dobroci, sprawiedliwości i światłości.

O Boże nieskończony! Boże święty! Boże miłosierny! ci pigmeje sercem, umysłem i wiarą, nie mogąc się podnieść ku Tobie, chcieliby Cię zniżyć aż do siebie! Lecz Ty jesteś jak obłok ciągnący po niebie, który samolubny rolnik chciałby zatrzymać dla użyżnienia tylko własnego pola; jesteś jak południowe słońce, które stary magnat chciałby utrzymać nad swoim parkiem, żeby ogrzewało wyłącznie tylko jego zawiedłe, bezsilne nogi; jesteś jak dąb, który wojownik pragnąłby obalić dla zerwania kilku gałęzi na świetną dla siebie koronę; jesteś tą rzeką, którą człowiek niedorzeczny chciałby osuszyć, żeby przejść przez nią nie zamoczywszy stopy; jesteś górą, którą niewiasta chciałaby wrzucić do morza, myśląc że je zasypie; bo jesteś tem wszystkiem i górą i morzem i słońcem i obłokiem i rzeką i dębem; jesteś niezmiennym w wyrokach swoich, bo one dotyczą wszystkich a nie kilku wybranych!

Trzeba jednak wyznać prawdę: — *Nie wszystko złoto co się świeci*, — mówi przysłowie, i ma słuszność, lecz można dodać: *Nie wszystko srebro co błyszczy*, a właśnie stosuje się to do wielkiego ołtarza tutejszej katedry. Tłumaczę się:

W czasie nieustannych wojen, któremi się dręczą te małe, nieszczęśliwe rzeczypospolite, miotane wzajemną nienawiścią i zajądrością, rząd peruwiański wyczerpawszy wszelkie zasoby, przypomniał, że największa część skarbu publicznego znajduje się pod sklepieniami *Sagrario*. Potrzebując wzmocnić kawalerią, pożyczył najprzód srebrnego konia u Archanioła będącego w górnej części ołtarza. Z boków błogosławionego rumaka, uzbrojone, jak Minerva z głowy Jowisza, wyszły pułki dragonów i huzarów. Niestety! nie posłużył im los na wojnie, trzeba było użyć samego archanioła, potem otaczających go obłoków, nareszcie kolumn, zastępując wszystko nakładanem srebrem.

Te to nakładane srebro czczą dziś peruwianie...

Oprócz *Sagrario*, a po nim *San-Domenico* i *Santa-Rosa*, — wszystkie inne kościoły w Limie nie przedstawiają nic zajmującego; jednostajne a szczególnie wewnątrz, gdzie sklepienia niskie, ciemne, duszne; bez szyb, bez obrazów, tylko czasami drewniane, niezgrabne rzeźby, statui Najświętszej Panny w białym stroju, świętego Józefa w przydworknym płaszczu, świętego Jana Chrzciciela w koszuli, lub Chrystusa Pana w szlafroku, w białej chustce na szyi, w lakierowanych butach, żółtych rękawiczkach i z cierniową koroną na głowie.

Kościół peruwiański ma jedną wielką zasługę czy sto moralną, to jest, że stoi otworem dla wszystkich bez wyjątku. Przed ołtarzem nie ma różnicy stanu, fortuny lub położenia towarzyskiego. *Miejsca zachowane dla kogoś, miejsca płatne* wcale nieznane i wydałyby się dziwactwem. Na chłodnej posadzce

zarównie wszystkie zginają się kolana, książęce, mieszczańskie i prostego ludu.

Bardzo to dobre, ale lepsze jeszcze niedawne zniesienie zwyczaju wożenia na cmentarz w prostym wozie, bez żadnych obrzędów, dzieci nieżywo urodzonych i położonych w nocy u przedsionka kościoła. Łatwo pojąć jak smutne były nadużycia z powodu téj toleraucyi.

Ponieważ mówimy o kościołach w Limie, dodajmy przed ukończeniem rozdziału, że peruwiańskie processyje mają swój wyłączny, oryginalny charakter. Patrząc na nie przypominamy starożytną Hiszpanię z jej dziecinnemi, przesądnemi lecz namiętnemi, religijnemi obrządkami. Najprzód idą bractwa długim, nieskończonym szeregiem: potem mnichy różnych zakonów, oficerowie różnych stopni, indyanie w narodowych ubiorach, ze spadającym z ramion *poncho*, niezliczone mnóstwo *Bazylów* w długich płaszczach, w czarnych sukniach i w kapeluszach z szerokimi, zachylonemi brzegami! za nimi idą aniołkowie, rzucając kwiaty, pokutnicy mniej więcej biali, rozmaite stowarzyszenia niosące święte obrazy, chorągwie, baldachimy, relikwije, dalej celebrujący księży w czerwonych, zielonych, fioletowych, haftowanych złotem kapach!.... Jednem słowem, trwa ten pochód więcej trzech godzin, a patrząc nań, nie wiadomo czy uśmiechać się czy podziwiać, bo to zarazem i wspaniałe i dziwne!

Mówiąc o kościołach, księżach i processyjach, muszę tu przytoczyć małą historyjkę, która acz dziwnym sposobem, lecz ściśle z niemi związana.

Był sobie raz jednego (zaczynając na wzór bajki)



pewien wice-król, który się silnie rozkochał w sławnej aktorce, nazywającej się *Perichole*; wice-monarcha, jak wszyscy monarchowie, nie lubiący długo wzdychać, umieścić niebawem senoritę w swoim pałacu; zaczęła ona rozrzucać niestłuchane summy i w gruncie stała się wice-królową Peru. Można kochanek uprzedzać wszelkie jej życzenia, dość jej było powiedzieć słowo, żeby mieć to czego zapragnęła; lecz dnia pewnego, żądanie na pozór nic nieznaczące, choć w istocie ważne, spotkało opor ze strony wice-króla. Nalegała z taką wytrwałością i uporem, że postawiła na swoim. Chodziło *Perichole* o przejażdżkę po ulicach Limy we własnej karecie. W Paryżu byłoby to rzecz bardzo prosta i naturalna, ale w Limie zakrawało na coś nieskończenie ważnego, bo każdy może paradować w koczach po starożytnej *ciudad de los Reyes* (\*) (jak nazywają czasami stolicę Peru), kareta zaś jest zbytkiem dozwołonym tylko najznakomitszej szlachcie. Jednak biedny wice-król musiał się zdobyć na odwagę działania wbrew opinii publicznej i kazał przygotować karete pomimo bojaźni okrycia siebie śmieszością lub spowodowania buntu. Najgłośniejsza trudność była w tem, jak uniknąć krzyków motłochu. Nie tał przed sobą wice-król że wyprawując *Perichole* samą jedną, narazi ją na oczywiste niebezpieczeństwo, myśl zaś jechania z nią razem, przejmowała go strachem, uważał to bowiem za zbytęcną śmiałość. Uradzono wreszcie:

1<sup>o</sup> Że wice-król każe się wieść w swoim pojeździe;

---

(\*) Miasto królów — królewskie.

2° Że *Perichole* pojedzie za nim w tak gorąco żądaną karecie;

3° Z tyłu pójda inne przydворne powozy;

4° Że im będzie towarzyszyć silna eskorta.

Wyruszone tedy w takim porządku, co wielce zabawiło pospólstwo, ale jak zazwyczaj bywa kiedy się bawi, nie okazało najmniejszego niezadowolnienia. Przybywszy do *Sagrario*, *Perichole* kazała zatrzymać konie, wyskoczyła z karety i oświadczyła, że jej najdroższe życzenie spełnione. Zawdzięczając niebu, ofiarowała kościołowi wspaniały dar wice - króla, postanawiając żeby nadal kareta służyła dla księdza udającego się do chorych z przenajświętszym sakramentem.

Odtąd w Limie nie przenoszą inaczej do domów hostyi jak tylko w pojeździe, i z tego to właśnie powodu, kiedy słyhać głos dzwonów za umarłego, przychodzi na myśl historia *Perichole*.



## ROZDZIAŁ XV.

**Alameda.** — **Most na Ry m a k u.** — **Lazienki.** — **Zwyczaje peruwiańskie.** — **Arka przymierza życia limeńskiego.** — **Anekdota z tego powodu.** — **Saya.** — **Lima jest rajem kobiet, czyscem mężczyzn, piekłem osłów.** — **Cyrk.** — **Walka byków.** — **Straszne widowisko.** — **Teatr.** — **Tertulia.** — **Sabacueca.** — **Panteon.** — **Publiczne zabudowania w Peru.** — **Twierdza Kusko.** — **Świątynia peruwiańska.** — **Świątynia Kallo w Kajambie.** — **Świątynia Wirakocha.** — **Prywatne peruwiańskie pałace i domy.** — **Drogi i wodociągi.** — **Klasztor San-Francisko.** — **Sala umartwień.** — **Ptastwo.** —

### XXXVII.

**W** Peru jak w Chili na każdym kroku spotykamy *Almendrale* albo *Alamedy*.

*Alameda* w Linie jest głównem miejscem przechadzek, ukochanem przez Limenijanki, a więc samo przez się i przez Limenijanów. Prawdziwie przyjemny spacer, dobrze wysadzony pięknymi drzewami,

z murawą, z ławkami, krzestami, gaikami, alejami, i z szeroką drogą dla powozów, jeźdźców i pieszych.

*Alameda* ciągnie się po za rzeczulką *Rymak*, którą się przebywa po wspaniałym kamiennym moście, bliskość jej dodaje miejscu temu tem droższej świeżości, że upały tu częste, a wiatr rzadko przewiewa. Teraz właśnie pora powiedzieć, że od *Rymaku* pochodzi nazwa stolicy Peru. *La ciudad de los Reyes*, nazywała się najprzód *Rymak*, przerobiono na *Ryma*, a z *Ryma* na *Lima*.

*Alameda* przytyka do doskonałych łazienek, do których Limenijanki udają się co rana. Okna gabinetów będących na równej wysokości z bulwarami, otwierają się na nie tak, że senory i senoryty z wystawionemi nieco na wiatr ramionami, a zresztą w dość przezroczystej bieliznie, mogą z wanien rozmawiać ze znajomemi kawalerami, jeżeli ci przypadkiem o tej porze przechadzają się po *Alamedzie*, — jak się pan domyślasz, starają się oni nie stracić ani jednego słowa z rozmowy. W gruncie Limenijanka nie przywiązuje żadnej wagi do tej pewnego rodzaju płochości, jest to dla niej tylko nawykniem, modą i zwyczajem przyjętym w towarzystwie — niczem innem.

Limenijanka wyszedłszy z kąpieli, siada do powozu, udaje się do mieszkania, gdzie przebrawszy się, jedzie dalej z wizytami; o południu powraca, zmienia powtórnie tualetę i przyjmuje u siebie do godziny drugiej; o drugiej drzwi się dla wszystkich zamykają, bo obiad jest rzeczą świętą.

Muszę jednak pani prozaicznie wytłómaczyć tajemnicę téj *Arki przymierza* peruwiańskiego pożycia.

Znaczy ona, że tak w Limie, jak w Santiago lub w Walparaizo, te kobiety powystrajane w jedwabie i w kosztowne koruny, jedzą obiad prawdziwie sielski i skromny, a nie mają dość rozsądku żeby się do tego przyznać: — owoż cały sekret.

To mi przywodzi na myśl małą, powszechnie znaną anekdotę Eugeniusza Guinot, którą jednak z przyjemnością powtarzam, bo dziwnie daje się zastosować do zwyczajów peruwiańskich.

Dwaj młodzi ludzie ubrani podług ostatniej mody, w świeżych rękawiczkach, w śliczném obuwiu z *panatellas* w ustach, z *riding-sticks* w rękę, spotykają się w Paryżu na bulwarze.

— A! to ty kochany książe...

— Tak, wice-hrabio, tak... powracam z lasku.

— Jest tam Estera?

— Towarzyszyłem jej.... doznała ogromnego powodzenia.

— Co dziś będziesz robić wieczorem?

— Wieczorem?.... będę na wieczerzy u mojej *twicy*.

— W nieliczném towarzystwie?

— Z kilku redaktorami, z dwoma lub trzema aktorami... z przyjaciółmi.

Mówiąc to książe się uśmiechnął.

— Szczęśliwy śmiertelniku!... a gdzie przedtem będziesz jeść obiad?

— Myślę że u *Vachette*... a ty wice-hrabio?

Koralija na mnie czeka w *Maison d'Or*... wiesz? moja baletniczka.

Po téj rozmowie przyjaciele rozstają się.

W godzinę spotykają się znowu za jednym sto-



łem... w traktyerze gdzie obiad kosztuje *trzydzieści dwa grosze!*

Jest to historia wielu ludzi i zarazem Limenijanki, małuje doskonale jej charakter.

Po obiedzie nasza bohaterka stroi się po raz trzeci, przyjmuje nudziarzów nie mających nic do roboty, lub idzie do *Alamedy* oddychać świeżem, wieczornem powietrzem.

Jeżeli przypadkiem ma się udać na teatr, to się przebiera po raz czwarty! Jak widzicie Limenijanka cały dzień trawi na strojeniu się, co jej jednak nie przeszkadza być zawsze piękną jak anioł — a bardzo często dowcipną jak diabeł. Wychodząc na ulicę Limenijanka wkłada dziwnie piękną odzież nazwaną *saya*.

Wyobraźcie sobie szeroką, choć nieco przykrótką, z czarnego atłasu spodniczkę, której drobne fałdy przedłużając się od talii aż poniżej kłębów, uwydaltniają urocze kształty, — nóżkę małą, delikatną i muskularną w różowej lub białej, jedwabnej pończosze, ozdobionej złotemi blaszkami wyżej kostek, — czarny, lekki, jedwabny wual, *tapa*, poczynający się od stanu okrywający biodra i zachodzący na głowę, którą tak zasłania, że widać tylko prawe oko; wyobraźcie przytem białe, okrągłe, pulchne ramiona, ochronione, — nie od wejrzeń, lecz od słonecznego skwaru, — szerokimi, powiewnymi rękawami z korun, lub z haftowanego muślinu; rączkę w dziecienniej rękawiczce, to jest dziwnie delikatną, która pod świeżą i czerstwą bródką utrzymuje końce wualu; wyobraźcie sobie jednym słowem coś najrzadszego, najdelikatniejszego, a zaledwie będziecie mieć słabe

i niedokładne pojęcie o *saya*, tak bowiem jest ślicznem i nieuchwytném zjawiskiem, że zniknąwszy nie pozostaje w myśli, tem bardziej u tych, którzy go nigdy nie widzieli.

Limenijanki w ogólności są dziwnie kształtne i łatwo pojąć że nie ma nic powabniejszego jak ten ich strój narodowy, który chociaż pozornie skromny, jeszcze bardziej podnosi piękność ich kształtów; szarfa niedbale opasująca talję, ze spadającymi na przedzie końcami i ciężki drewniany różaniec, wiszący u paska, przyczyniają się do nadania całej postaci piętna oryginalności i poezyi.

Ukryta pod *saya* i *tapa* Limenijanka staje się obcą ojcu, mężowi i bratu; łatwo więc pojmiesz kochany czytelniku, że w mieście, w którem cnota nie jest konieczną. a wierność niezbędną, używają i może nadużywają ponętnego incognito tego stroju, aby się od niektórych wejrzeń ukryć innym zaś ukazać — zład wieczny karnawał, maskarada bez końca, zaiste bardzo powabna dla cudzoziemców, ale zgubna, sądzę, dla mężów.

Ubrana po europejsku Limenijanka pozostaje cudowną istotą, ze świeżą cerą, anielską główką i uśmiechem paryżanki, kobietą wreszcie, kobietą godną wszelkich hołdów i czei wszelkiej, która byłaby doskonałą, gdyby mając skarby piękności i wdzyków, miała serce!

Tak przynajmniej dowodzą... lecz czegoż nie dowodzą o nazbyt pięknych kobietach?

## XXXVIII.

Zapowiedziana walka byków ściągnęła do Limy wielką liczbę peruwijanów i cudzoziemców.

Toreadory byli Hiszpanie z Europy — co Limę i jej okolice napełniło nieporównaną z niczem radością. O południu plac miał postać urzeczywistnionej bajki z *Tysiąc i jednej nocy*: pokryty francuzkimi i angielskimi powozami z dzielnymi końmi, hiszpańskimi karetami o dwóch kołach, ciągnionemi trzema w wyzłacanej uprzęży, w leje założonemi mułami, — mnóstwem *cavalieros* w pysznych *ponchos*, kobietami w *sayas*, ruchomą masą ciekawych mieszczan, żołnierzy, marynarzy, dzieci, starców, szkoczków, kupców i oszustów przyczyniających się zawsze do powiększenia natłoku. Wszystko to podczas najpiękniejszej pogody, w obec starożytnego, maurytańskiego cyrku, bogato ozdobionego, przedstawiało widowisko pełne życia, ruchu i oryginalności, co na mnie daleko żywsze wywarło wrażenie niż sama walka byków. *Walka byków!*... Gorzki żart!

A jednak ten cyrk, w którym za dwa piastry kupuje się miejsce w łoży na 4 osoby, gdzie ich jednak wpuszczają dziesięć, ten cyrk powiadam, gdy się w nim zbierze dwadzieścia tysięcy widzów, jak teraz, przedstawia widok prawdziwie wspaniały.

Sam nawet zegarmistrz z Luson, którego znalazłem w pierwszym rzędzie miejsc, musiał się na to zgodzić.

Plac boju obszerny, muzyka gra tryumfalnego marsza, a *picadores* siedzą już na koniach z lancami w rękę.

Z kolei wchodzą *toreadores* i *bandilleros*; jedni z długimi *spadas*, drudzy z czerwonymi chorągiewkami; witają razem prezydenta Rzeczypospolitej, przybyłego przed chwilą w pysznej karecie, ciągnięj sześciami białymi końmi i otoczonej szwadronem huzarów.

Powtarzam, że nie brak temu widokowi wspaniałości i jakiegoś upajającego uroku, szczególnie dla ludzi, którzy jak ja, przywykli tylko do niewinnych okropności w teatrze *Ambigu*, *Gaieté* albo *Porte-Saint-Martin*, a na samą myśl, że te jedwabne różowe, błękitne, lilijowe złotem i srebrem wyszywane kurtki, za chwilę będą może krwią zbroczone, oczekiwanie nabiera jakiejś powagi i mimowolnie po całym ciele dreszcz przebiega mrowiem.

Jestże przyjemnem uczucie, którego doświadczamy przy tém widowisku? Zaprawdę, chcąc mieć na to zapytanie odpowiedź *ex-professo*, należałoby się z niem udać do amatora exekucyi sądzonych na śmierć, albo do codziennego gościa w Grenelle i Montfaucon. Co do mnie, wyznaję w tym względzie całą moją nieudolność.

Czytałem bardzo piękne opisy walki byków i pani zapewne je czytałaś, przeto, jeżeli pozwolisz, nie dodam ani jednego wiersza do tego krwawego poematu, do tej rzeźniczej *Odysei*. Najprzód, nie dotrwałem do końca walki; powtóre, nie mam dość odwagi opisywać te okropności; wyznaję w pokorze ducha, bijąc czołem o ziemię, iż ich nie pojmuję; nie pojmuję dogorywania w obec publiczności pokutego dzidami i szpadami wołu; nie pojmuję jaką przyjemność mogą mieć kobiety w przypatrywaniu się

męczarniom piętnastu, lub dwudziestu nieszczęśliwych zwierząt, które w średnim przecięciu, dostają po dziesięć razów szpadą na głowę,—jeżeli zaś potrzebują podobnych wrażeń dla obudzenia uspiionych zmysłów, w takim razie cóż to za kobiety?

Chcę wierzyć iż *Torcadore*s widziani przeze mnie w Limie, byli bardzo poczciwi i bardzo niezgrabni rzeźnicy z Madrytu, którzy zaniechali rzemiosła i nie mieli nic wspólnego z wykwinłym Montesem i z jego sposobem walczenia z bykami, ale żeby i tak nawet, zawsze jest to okropne i barbarzyńskie widowisko, wzbudzające odrazę.

Pan Edgar Quinet, pisarz, o którego szczerości, rozumie i dobrym smaku nie można powątpiewać, w swoich *listach o Hiszpanii*, umieścił bardzo znakomity ustęp (jak wszystko co pisze) o walce byków, jej pochodzeniu, celu i wpływie, ustęp w którym dowodzi, że to widowisko, oswaja człowieka z ideją walki i śmierci i że patrząc na okropne konania można doznać głębokich wrażeń — przywyknąć do pogardzania niebezpieczeństwem.

Zapewne, bardzo dobrze umieć pogardzać niebezpieczeństwem i nie zbawienniejszego jak rozwijanie sił fizycznych; lecz mnie się zdaje, że równie okrucieństwo nie stanowi odwagi, jak siła fizyczna wielkości duszy, a przytém, czyż niema mnóstwa innych ćwiczeń, wymagających tyleż zręczności, zimnej krwi i odwagi co walka z bykami, przewyższających ją przecie wzniosłością i szlachetnością. Rodzaj męztwa jakiego wymaga ta walka, albo raczej rzeź, na którą Hiszpanie są tak łapczywi, musi koniecznie prowadzić do okrucieństwa.



Tak naprzykład, limenijańscy *torreadores*, kazali wyciągać z cyrku konie skaleczone podczas walki, i to bez litościwego dobicia ich, bez oszczędzenia im śmiechu głupiej, ale *odważnej* publiczności! Bo wiedzą pani, że te dzielne rumaki, które powinny być przebiegać dla przyjemności *sayas*, z wypuszczonemi, ciągnącemi się po zakrwawionym piasku wnętrznościami, zostały skazane na oczekiwanie powolnej śmierci u wrót Areny, którą przed chwilą tryumfalnie obiegały.... a jeszcze przedskonaniem, żarłoczne płastwo zanurzało swe niemiłosierne dzioby w ich przedartych bokach.

Pomyślicie może, że z pośród zgromadzenia dało się słyszeć choć jedno słowo litości?... O! jakże mało znacie serca tych *odważnych* ludzi!

Nie, oni grubijańskimi żartami obrażali biedne zwierzęta; zgromadzone na około dzieci rzucały na nich kamieniami, a niewiasty z miłym i spokojnym uśmiechem, patrzyły na ostatnie wysilenia nieszczęśliwej istoty walczącej ze śmiercią, płastwem i kamieniami. O! Limenijanki.... jak możecie być tak pięknymi?

To okrucieństwo, objawia się nie tylko względem samych koni; równie źle obchodzą się i z bykami,— dla poskromienia zwyciężających, używają okropnego środka: rzucają im na golenie ostre narzędzie, nazwane księżycem, dla tego, że ma kształt pół-księżyca, ale zwierzęta bardzo często bywają tak silne, że pomimo tego walczą i jeszcze czas długi przed skonaniem wloką się po cyrku. Nie koniec na tem: *matadores* wskakują im na kark i dopóty kołają sztyletami, aż nim osłabione strata krwi zwierze, nie upa-

dnie i nie zacznie zdychać: dzieje się to ku wielkiej radości widzów, którzy w takich razach śmieją się aż do łez, klaszczą z zapamiętaniem, zupełnie jak u nas w teatrze w czasie gry Arnala lub Le-wassora.

Dziś walka byków stała się tylko prostym zwyczajem i z każdym dniem będzie tracić zwolenników, skoro się upowszechni między pospółstwem i w wyższem towarzystwie szlachetniejsze i delikatniejsze rozrywki; dawniej jednak była narzędziem politycznem, a wice-królowie i inni hiszpańscy naczelnicy mieli szczególny rozkaz podtrzymywania tych krwawych widowisk; chciała bowiem Hiszpanija za ich pośrednictwem zdemoralizować i zbydlęcić swoje osady dla łatwiejszego utrzymania w jarzmie. Jest to rzecz pewna, że ludność oswojona z okrucieństwem i niesprawiedliwością mniej zważa na klęski kraju, i że przy takim usposobieniu szlachetne uczucia, podniecające gorącą żądzą dobijania się swobody w brew wszelkich niebezpieczeństw, zupełnie zamierają w sercu.

Po walce byków powróciliśmy do hotelu, gdzie stół zawczasu nakryty od dawna na nas czekał; był to stół prawdziwie królewski, na dwieście osób, z porcelaną, kryształami, kwiatami, kadzielnicami, i kandelabrami rzucającemi jaskrawe światło — lecz obiad składał się z wołowego ozoru, fasoli, rozynek i banan.

Nazajutrz, dla zapomnienia okropnego dramatu w cyrku i komedii nazwanej obiadem, która po nim nastąpiła, poszliśmy posłuchać *Lucyi z Lamer-moru*, — tego arcy-dzieła, w którem pozostała cała dusza Donizettego, tak, że bez niej nie mógł żyć dłuższy biedny artysta! *Lucyja* miała być *erekwowaną*

przez nowo-przybyłych włoskich śpiewaków, a Bóg widzi, że słowo *execucja* nigdy stosowniej nie było użytem. Należy się domyslać iż artyści musieli czerpać natchnienie z wczorajszego widowiska, i że laury madrickich rzeźników całą noc spać im nie dały.

Niestety! biedna Lucyja biedny Donizetti!

Jednak nowo przybyła truppa, była przyjęta z wielkimi okrzykami radości i na chwilę aż się zatrzęsła sala od oklasków, co przypomniało rok 1828, to jest rok trzęsienia ziemi w Limie.

Otóż to co znaczy zwiedzanie krainy ślepych!...

Trzeba dodać, że jeżeli limenijańska włoska opera zostawuje wiele do życzenia, jeżeli orkiestra przypomina orkiestrę dziecinnego teatru *Robino* — przyznajmy, że i samej sali wiele można zarzucić co do rozporządzenia, wygody i rezonansu.

O kilka kroków od teatru, oficerowie i passażerowie Alkmeny zostaliśmy zaproszeni na miłą *tertulia* przez dwie doskonałe śpiewaczki, które przed chwilą wyszły z sali. — *Tertulia* znaczy to samo co u nas *raout*.

Panie te nazywały się jedna Pantanelli, druga Rossi.

Senora Pantanelli była mała i tłusta, a jej przyjaciółka senora Rossi wysoka i chuda, tak, że się nawzajem uzupełniały; zresztą w salonie pełne gracji, dobre i miłe; kiedy nam zaśpiewały duet z *Nabucco*, dowiodły raz jeszcze, choć już zestarzałymi głosami, że włoska metoda jest wszystkich metod królową.

Dla czegoż *Włosi*, których słyszeliśmy w *Lucyi* byli tylko hiszpańskimi włochami?

## XXXIX.

Cóż mi teraz, kochana pani, pozostaje do powiedzenia tobie o Limie?

Twierdzono że Lima jest rajem dla kobiet, czyścem dla mężczyzn i piekłem dla osłów: w tym żarcie wiele jest prawdy. Oprócz tego w starożytnej *ciudad de los Reyes* grają straszliwie w karty; księża świeccy, dziwnie uprzejmi, a mężowie.... pełni do wciupu. Jak w Chili widzimy tu poruczników marnarki ubranych po admirałsku, szesnastoletnich młodzików dzwoniących oficerską szablą po bruku, i mnichów mogących służyć za szyldy swoim kucharzom.

Czy to wszystko?

Nie. Jest jeszcze *sabacueca*. taniec, którego notę słyszymy od rana do wieczora tak w ubogiej chacie *Niny*, jak w bogatym salonie wielkiej pani, taniec któryby był zabroniony w Mabile, albo w Chateau-Rouge, jednak pomimo tego, czy dla tego właśnie, bardzo oryginalny. Potem idą cmentarze, obszerne kamienne budowle, przypominające nasze sklepy z kwiatami, albo raczej bióra naszych adwokatów. Każdy umarły ma swoją szufladkę, swoją tekę.... w czystości i w porządku utrzymaną.... powtarzam że zupełnie jak w biurze adwokata lub w sklepie kwieciarki.... rzecz bardzo mądra a szczególnie korzystna — nieprawdaż? Co się tycze ubogich, ci, ma się rozumieć nie mają prawa zajmować pojedynczo całą szufladkę, wsuwają się do wspólnej teki z nadpisem: różne *interesa*. Cmentarz w Limie nazywa się Panteon. Niewiem czy imiona spoczywających na nim osob przejdą do potomności, ale ciała przejść mogą, bo z powodu suchego gruntu, doskonałego cymentu i

i kamienia, z którego zbudowany ten rodzaj więzienia dla umarłych, trup zamienia się w mumiję i zachowuje się doskonale. Ten Panteon, jak powiadają, istnieje oddawna, a założenie jego przypisują Inkasom. Jak wiadomo, peruwjanie pod ich panowaniem doszli do pewnego stopnia oświaty. Kiedy po raz pierwszy hiszpanie przybyli do Peru, znaleźli tam doskonałe wyroby ze złota i różne naczynia świadczące o zamiłowaniu sztuk plastycznych; naczynia te były podobne do dzbanków z jednym uchem, na którym wyrobiono ludzką głowę, — „*nasi gancarze*, — mówił don Ullo. — *nie tylko, że nie potrafią naśladować tak dokładnie, ale nawet nie zdolają zrobić coś, coby choć trochę do tego było podobnem.*” Peruwjanie mieli tylko złe narzędzia mosiężne, lecz że obrabiali metale i inne twarde rzeczy, trzeba się domniemywać że znali sposób hartowania mosiądzu i żelaza.

Z publicznych budowli w Peru fortyfikacje zajmują największą przestrzeń. Arcydziełem Peru, — powiada Garcilasso de la Vega, — jest bez wątpienia twierdza w Kusko. Zdaje się, że czarodziejskim wzniosła się sposobem i że ją bardziej szatani niż ludzie budowali. Zrobiona z tak wielkich kamieni, iż trudno pojąć jak zostały sprowadzone o dziesięć lub piętnaście mil po najniegodziwszych drogach. W Tiaquanaco był kamień mający trzydzieści ośm stop długości, dwanaście szerokości, a dwie grubości, ale w ścianach twierdzy Kusko jest mnóstwo kamieni dłuższych, szerszych i grubszych, które chociaż zazwyczaj nieociosane i nie regularnych kształtów, bez cymentu i wapna, trzymają się przecie tak mocno, jak żeby je sama natura spoila. Forteca w Kusko,



otoczona potrójnym murem w kształcie pół księżyca, każdy z tych murów ma po trzysta sążni długości.

Drugie znaczniejsze twierdze, na nieszczęście jeżeli nie całkiem to w większej części zniszczone, są Tumbez i Kannar. Niedaleko od Hachakacha z północno-wschodniej strony *la Paz*, wznosi się mur kamienny, ciągnący się z wierzchołka Andów, aż do jeziora Titicaca, mur ten takim sposobem ma trzydzieści mil długości, a dziś jeszcze cztery stopy wysokości, nosi jednak na sobie oczywiste ślady zniszczenia spowodowane czasem i wojną.

Peruwjanie sławni niegdyś ze swoich bajecznych bogactw, obficie używali najdroższych kruszców do ozdoby świątyni. Świątynia słońca w Kusko choć z prostej cegły, miała podłogę wyłożoną złotem. Nad wielkim ołtarzem unosiło się złote słońce, zajmujące całą szerokość budowy, po obu jego stronach umieszczono ciała zmarłych królów, tak dobrze zachowane, że nawet nie było na nich śladu śmierci; monarchowie siedząc na złotych tronach, wydawali się żywymi świadkami religijnych obrzędów. Drzwi podobnie nakładane złotem, a ściany pokryte ozdobami z tegoż kruszczu, przedstawiającymi korony, berła i inne królewskie godła. Na około głównej świątyni, wznosiły się cztery mniejsze; księżyca, gwiazd, błyskawic i tęczy. Piąta budowa przeznaczona na mieszkanie dla kapłanów — wszystkie bogato ozdobione złotem i srebrem. W przyległym ogrodzie statuy i fontany z rzadkich kruszców zadziwiały tak swoją wewnętrzną jak artystyczną wartością.

Przeciwnie, świątynia w Kallao, blisko Kajamby, niema żadnych ozdób; zbudowana z twardych i

prawie czarnych kamieni, które tak dobrze do siebie przystają, że niepodobna wsunąć noża do szpary; nie wszystkie one płaskie są i wypukłe na zewnątrz. Przez główne drzwi wchodzi się aleją na obszerny dziedziniec, mający trzy sale po stronach.

Stara świątynia bóstwa *Viracocha*, szesnaście mil na południe od Kusko, jeszcze inny ma charakter; dwupiętrowa i z ciosowego kamienia. Dla podtrzymania najwyższego muru peruwjanie zbudowali obok niższe ściany mające trzy stopy grubości, odległe od siebie na stop siedm, co uczyniło dwanaście galeryjek pokrytych kamiennymi taflami dziesięciu-stopowej długości, z podłogą z czarnych, lskniących, kwadratowych kamieni; na górze kaplica, wielkości dwunastu stop kwadratowych, pokryta takiemiż kamieniami, ułożonemi na wzór dachówek. W tej to kaplicy daje się widzieć posąg bóstwa *Viracocha*, którego ubiór i rysy twarzy do lego stopnia noszą na sobie piętno europejskie, że hiszpanie odkrywszy świątynię, wzięli go za statuę Apostoła Bartłomieja.

Niema żadnych pewnych wiadomości o wielu innych pałacach peruwjańskich, pomiędzy któremi musiały być bardzo ciekawe budowy. W różnych miejscach jest wiele nadgrobków; z ich wspaniałości i wysokości wnioskują o dostojęństwie zmarłego. Największe mają sto dwadzieście stóp długości, nieco mniej szerokości, a od ośmiu do dziesięciu stóp wysokie.

Prywatne domy w Peru były budowane z kamienia, o dwóch piętrach, najczęściej jaskrawym, czerwonym pomalowane kolorem. Drzwi podobne do wej-

ścia do piramid, zwiężały się coraz u góry, tak że jeden kamień zamykał ich wierzchołek.

Ale ze wszystkich publicznych robót peruwjańskich, najznakomitsze i najwięcej godne uwielbienia są dwie drogi, z których każda ma więcej niż pięćset mil długości; pierwsza z nich idzie ciągle brzegiem morza, druga przeprowadzona przez góry; ta ostatnia tem bardziej się odznacza, że wymagała znacznego nawozu ziemi, i wielkich wydrążeń w skałach. Droga ta, opasana rowami, ma czterdzieście stóp szerokości, murowane fundamenta i liczne po stronach zajazdy. „Olbrzymia ta praca, — mówi Gomora, — trudniejszą była do wykonania niż piramidy egipskie, sławne rzymskie gościńce i inne starożytne roboty.”

Dwa kanały, a raczej wodociągi, — również odznaczały się nie tyle swoją szerokością, która nie mogła być znaczną, jak raczej długością. Jeden bowiem ciągnął się sto pięćdziesiąt, drugi sto dwadzieścia mil. Głębokość ich wynosiła stop dwanaście, szerokość zaś najwięcej cztery.

Jak łatwo wniesć z tych pobieżnych spostrzeżeń, starożytni peruwjanie różnili się wielce od dzisiejszych.

Do gmachów, które Lima winna podbojowi hiszpańskiemu, zaliczyć należy sławny klasztor San-Francisko, który zajmuje ósmą część miasta; trzeba oddać sprawiedliwość temu konającemu starcowi, że chociaż postradał dawną swą świetność, dożył jednak do dziś dnia, a stawszy się ruiną, nie wyrzekł się swego pochodzenia, swych dziejów i fizjonomii.

Po mimo wieku, opadłych murów i trawy w dziedzińcu, świadczy o tem czem był niegdyś; i tak na przykład, cele dawniej zamieszkane, dzisiaj prawie zupełnie puste, w długich korytarzach, tak przed pół wiekiem ożywionych, dziś zaledwie kiedy niekiedy spotkać można samotnego franciszkana; ogród jednak dobrze jeszcze utrzymany, sadzawka oczyszczona starannie, a kaplica,—pełna wspomnień,—zachowała prawie nieuszkodzone też same obrazy, ołtarze, chorągwie, lichtarze i srebrną lampę.—Oprócz tego są tam wyniosłe sklepienia z długimi wschodami, podłużne, niskie, ciemne, i wilgotne sale ze zbutwiałymi stołami, ławkami i krzesłami. W liczbie tych sal znajduje się jedna niezwykła i bardziej zasługująca na uwagę. Smutniejszą też jest i więcej tajemniczą; drzwi jej ciężko się otwierają, a gdy się otworzą, uderza najprzód głęboka ciemność, potem przenikający zapach. Na murach wymalowane różne sceny inkwizycyi ze wszystkimi miłemi narzędziami tortury; na podłodze, ławkach i ścianach widać wyraźne ślady krwi, z których jedne świeższe i żywsze, drugie dawniejsze i poczerniałe; nieco dalej na zydłu leży dyscyplina z przyschłemi do niej kawałkami ludzkiej skóry.... Jesteśmy w sali pobożnych ćwiczeń.... Zewnątrz nęcone zapachem zepsutej krwi, krążą nienastannie całe stada ptaków, dla których codzień się odnawia męczarnia Tantala. Biedni cmentarni i szubieniczni goście, czemu was tam nie wpuszczają?

A ponieważ powtórnie o tem płastwie wspominam, nie mogę nie dodać, że dawniej czczone, dziś jeszcze szanowane, pełni ono obowiązek stróżów czystości w Pe-

ru. Wyrzucić rano za drzwi zdechłego wołu lub osła, a wieczorem znajdziesz tylko rogi i kopyta! Sliczny to kraj z tem wszystkiem! . . . . .

Jutro o ósmej odpływamy do *Nuka-Hiwy*. Czyliż *Nowe światy* ze swoją dzikością wyrównają mniej więcej starym?

Kto dożyje, ten się o tem przekona!

## ROZDZIAŁ XVI.

Z Kallao do wysp markizkich. — Wspomnienia z Dumont-d'Urvill'a, Kook'a Kruzensterna i hrabiego Saint-Germain. — Dominika. — Wyspa ptaków. — Nuka-Hiwa. — Pływające kije. — Nowa komunikacja. — Korsarze na oceanie Spokojnym. — Roza-Sekunda z Waparaizo. — Wyspy Gallapagos. — Zdobyta uchwycona przez Papeetę. — Zarzucamy kotwicę. — Zatoka. — Zakłady francuzkie. — Ulica Bucefała. — Cmentarz. — Ogród Galatei. — Kanaki. — Taipii. — Whayny. — Komomu-Titot. — Śpiew wie-przow.

### XL.

**S**LICZNA pogoda, ciche morze, wiatr północno-zachodni i czterdzieści stopni ciepła! — Tak brzmią słowa dzienników wszystkich prawie podróżnych mię-



dzy Kallao i wyspami Markizkiemi, bo rzeczywiście niema piękniejszej i jednostajniejszej podróży.

Przy tej okoliczności cóż ci powiem kochana czytelniczko, o naszej *Alkmenie*? Z rozpiętymi wszystkiemi górnemi żaglami i kołyszac się zlekka przy jednostajnym i cichym, jak oddech dziewicy, wietrze, okręt nasz był podobny, — boję się tylko czy to już nie po raz drugi, — do ptaka muskającego skrzydłem powierzchnię wody, albo do zakochanej brezylijanki chustającej się w hamaku pod spojrzeniem kochanka. Lecz może *Alkmena* zupełnie nie była do tego podobną, lub widok jej czem innem zachwycił, — ale jakim sposobem zdobyć się na liczne porównania podczas czterdziestu stopni ciepła!... Na samo wspomnienie pot leje się z czoła — i wolę jednym skokiem dostać się do wysp markizkich.

W miesiącu Lutym, w Niedzielę, po dwudziestu dniach podróży, około godziny trzeciej, straż zapowiedziała ląd z lewej strony. W kwadrans potem ujrzelśmy na horyzoncie czarną linię, — a z olbrzymich wyniosłości łatwo wniesć można było, że mieliśmy przed sobą ziemię dziką, naturę silną i młodzięcą — pierwsze znamie nowego świata.

O godzinie czwartej, straż powtórnie zapowiedziała ląd.

— Ląd z prawej strony okrętu! — zawołała donośnym głosem.

Imogliśmy wkrótce rozeznąć w odległości kształty wystające z morza, naprzód niewyraźne jak mgły, potem coraz znaczniejsze, ciemniejsze i większe. W tej chwili starałem się przypomnieć co wiedziałem z d'Urvill'a, Kook'a i Kruzenszterna, żeby

módz z korzyścią podziwiać te ziemskie raje, o których owi śmieli żeglarze wspominają na każdej kartce swych podróży.

— Dotychczas,—mówiłem sam do siebie,—widziałem tylko kraje cywilizowane, lub mające pretensję do cywilizacyi. naśladować mniej więcej dobrze, a w istocie śmiesznym i dziwnym sposobem, nasze nałogi, zwyczaje i obyczaje; ale teraz, — dodałem z usprawiedliwionym zapałem,—zaczyna się moja prawdziwa podróż! odtąd będzie pełną życia, wypadków, przygod zabawnych, czy też tragicznych.... może imnie dnia pewnego przyjdzie zanucić z Hrabią Saint-Germain:

Zdarzyło mi się w wojnie z dzikimi,  
Stojąc na czatach, być pochwyconym,  
Przez ludożerców zostać zjedzionym....  
Lecz są nieszczęścia większe na ziemi!

Témczasem kapitan kazał spuścić małe górne żagle, zwinąć żagiel będący przy bocianiem gnieździe i zwolnić chod okrętu; tak, przy lekkim wietrze, omieliśmy Dominikę.

Dominika jest jedną z największych wysp małego Markizkiego Archipelagu, nazwanego inaczej archipelagiem Nuka-Hiwijskim, lub przez skrócenie Nuk-Hiwijskim, od głównej wyspy nazwanej *Nuka-Hiwa*.

Dominika leży o dziewięćdziesiąt mil od Nuka Hiwy w południowo-wschodniej stronie, poprzedzona od północo-wschodu wyniosłością w kształcie głowy cukru, na której corocznie ptastwo archipelagu zbiera się dla pierzenia się. Z tych topiór bardzo pięknych i drogich, za szczęśliwych czasów rycerstwa, da-

wniejsi królowie i wodzowie Nuka-Hiwy i Dominiki, robili swoje kołpaki i płaszcze, zasiadając w nich na ucztach i turniejach, które im wydawali ich wierni poddani i hołdownicy: przeto w owych odległych i w ogólności mało znanych czasach, wzgórze to musiało być częściej odwiedzane niż teraz przez patentowanych rzemieślników Nuka-Hiwijskiego i Dominikskiego dworu... ale wszystko mija — któż o tem nie wie?

Że dnia tego było już zapóźno, przybliżywszy się do Nuka-Hiwy, okręt nasz ze zwiniętymi dolnemi żaglami, część nocy musiał przepędzić na morzu.

Pora była przepyszna; ciemno-błękitne niebo świeciło gwiazdami, którym spokojne, bez najmniejszej zmarszczki morze służyło za zwierciadło. Z prawej strony widzieliśmy jeszcze Dominikę, a z lewej Nuka-Hiwę, której mogliśmy się wybornie przypatrzeć.

Piękny to widok i trudno pojąć wszystkie fantastyczne widziadła, jakie wyobrażenia podróznego wprowadza na te wysokie, smutne skały Nuka hiwijskiego archipelagu. Wywołujemy wspomnienia dziecinnych lat, przypominamy czytanie *Magazynu Powszechnego*, pierwszą trwogę na widok rysunku przedstawiającego *dzikich ludzi*, ich chat, łodzi, strzał i maczug, tak żywo opisanych w opowiadaniach podróżnych, i gdy człowiek pomyśli, że się sam teraz znajduje w obec tego arsenału rzadkiej i strasznej broni, czuje jakiś dreszcz wewnętrzny, gorączkowy, lecz miły zarazem.

Byliśmy w takim stanie aż do wpół do piątej rano; nakoniec Alkmena rozpuściwszy wspaniałe żagle, skierowała się ku Nuka-hiwijskiej zatoce. Morze

było przezroczystsze niż tiulerijskie sadzawki, a wiatr prawie żaden; o dziewiątej, byliśmy jeszcze o sześćdziesiąt mil od lądu, zostawując Dominikę z lewej strony na południo-wschodzie.

O dziesiątej rozwinęliśmy górne żagle, bo wiatr, leniwiec, zaczął się nieco wzmacniać. Płynąc tak z wiatrem na wszystkich żaglach, Alkmena wydawała się światem dążącym ku drugiemu światu.

O południu byliśmy o mil trzydzieści pięć, a wiatr ciągle się wzmacniał.

O drugiej wystrzelono po raz pierwszy z działa, wzywając sternika i Korweta stanęła bokiem.

Z odległości, w jakiej wówczas byliśmy od lądu, słyszeliśmy doskonale szum fali, rozbijającej się o skały. Mogliśmy też zarówno widzieć wyłomy i wierzchołki wulkanu wyrzuconego na powierzchnię ziemi przez piekło w chwili gniewu i zagaszonego przez ocean w chwili kaprysu.

Wszystko to było piękne, wielkie, a szczególnie nowe, lecz równie dzikie jak góra Tai-pii, której właśnie spostrzegliśmy wierzchołek; rzekłbyś, że sam diabeł tam mieszka, i że się na sabat zgromadziły wszystkie niemieckie czarownice, wszystkie węgierskie wampiry i polskie gnomy....

Nagle od strony lądu ukazał się biały punkcik, podobny z początku do nawy dotykającej skrzydłem morskiej fali, potem coraz się powiększający, tak, że straż zawołała: — okręt przed nami!

Każdemu oznajomionemu z życiem na pokładzie, nie mam potrzeby mówić jak ważnym wypadkiem na morzu jest spostrzeżenie okrętu.... Co się tyczy ciebie moja pani, wiem że choć nie wyjeżdżałaś nigdy

z Paryża, lub nie wychodziłaś za granice swojego ogrodu, pojmiesz to łatwo i wcale się nie zadziwisz, gdy ci powiem żeśmy wszyscy zwrócili oczy w stronę spostrzeżonego okrętu.

— To bryg! rzekł jeden z nas.

— Jeżeli bryg, to *Anna* z Taiti.

— Ale nie.... przypatrzcie się jak wielkie żagle,— dodał ktoś drugi.

— Dwumasztownik.

— Bez wątpienia.... wyraźny dwumasztownik.

— Ręczę że *Papeeta*.

— To być nie może, bo *Papeeta* stoi załogą w porcie.

— Nie mogłażby to być *Suttanka*?

Gdzie tam! chyba żartujesz; *Suttanka* o dwieście mil od nas.

— Przytem nie jest francuzkiej budowy.

— Tak myślisz?

— Pójdę o zakład, że ten statek zbudowany w Balmorze.

— Mnie się zdaje że to kutter....

— Sądziłbym prędzej że to mały statek wojenny.

Tymczasem komendant skierował lunetę na wskazany okręt, i nieznacznie się uśmiechnął.

— A co komendancie?—zapytaliśmy wszyscy razem.

— Hm!—macie z sobą bajki Lafontena?...

— Mamy.

— Więc odczytajcie bajkę o *pływających kijach*.

To znaczyło, że spostrzeżony okręt,— ów nasz bryg, ów dwumasztownik, *Anna*, *Papeeta*, *Suttanka*, statek amerykański, kutter, statek wojenny,— był po prostu rybackim bacikiem z trzema ludźmi i to z jednym europejczykiem a dwoma indianami.



Po chwili ujrzelśmy na tym baciku wywieszoną flagę wielkości chustki do nosa; straż zawołała: — Flaga francuzka!

Biedna rybacka łódź śpieszyła ku nam na wszystkich żaglach; myśląc że nam przywozi sternika, ruszaliśmy na jej spotkanie i w mgnieniu oka, kapitan łodzi znalazł się na pokładzie Alkmeny: nie był to sternik, ale francuz, jedyny, jak mi się zdaje, francuz, osiadły w Nu-hiwie — bardzo więc byliśmy mu radzi.

Uwiadomił nas naprzód o tem, że między Dominiką a Nu-hiwą, urządził dla przewozu świń komunikację której cały inwentarz składał się z niego samego, dwóch Indian i wymoczonej łodzi... potem, zapytawszy o nowiny polityczne Francyi (najnowsze miały już cztery miesiące) opowiedział nowiny z wyspy, dotyczące głównie pojmania chilijskiego brygu *Rozy-Sekundy* z Walparaizo. Był to jeden z tych ważnych wypadków, o którym w każdej pocziwej osadzie, pozbawionej wielkich wieści, rozprawiają przez całe pół roku. Zresztą historia *Rozy-Sekundy* była dość tragiczną: bryg ten dwumasztowy, wysłany pod koniec Listopada 1848 r. z Walparaizo do San-Francisko w Kalifornii, już w pierwszych dniach podróży doznawał przeciwnych wiatrów; przytem nie bardzo bystry pod żaglem, tak, że w przeciągu miesiąca zaledwie zdołał przebiec czwartą część drogi. Przewidując więc nadzwyczaj długą podróż, kapitan *Rozy-Sekundy* postanowił zatrzymać się przy wyspach *Gallopagos*.

Znasz pani zapewne te wyspy tylko z czarnego punktu umieszczonego na karcie jeograficznej oceanu

Spokojnego, w niewielkiej odległości od równika?... Dziękuj za to niebu i niech cię twoja gwiazda opiekuńcza strzeże od odbycia do nich podróży. Jest to jeden z najgorszych zakątków kuli ziemskiej; ma jednak wodę, żółwie i owoce, a dla czterdziestu pięciu pasażerów *Rozy-Sekundy*, ścieśnionych w jednym pokoiku, jak śledzie w beczce, musiało być bardzo przyjemnie zatrzymać się tam dla wypoczynku, pochodzić po piasku, siedzieć swobodnie pod cieniem drzew i zaczerpnąć wody z czystego strumienia... Zaledwie *Roza-Sekunda* stanęła na kotwicy, zaraz wszyscy pasażerowie, kapitan, majtkowie, mężczyźni, kobiety i dzieci w największym nieporządku skoczyli w czółna i popłynęli do brzegu, tak, że na pokładzie pozostał tylko porucznik z jednym chilijskim majtkiem, z kucharzem murzynem, chłopczykiem i trzynastoletnią dziewczynką... wszystkiego osób pięć, z których dwoje dzieci.

Jednak *Roza-Sekunda*, oprócz znacznej ilości doskonałej, francuskiej wódki, posiadała zapasy żywności, rzeczy i łódmoki emigrantów, łatwo więc porucznik (znany niegdyś w Botany-Bay) potrafił wmówić swoim towarzyszom, żeby podjawszy kotwicę wyruszyć na morze i zawładnąć okrętem — tak też uczyniono.

Odpoczywający na brzegu pasażerowie *Rozy-Sekundy* spostrzegli z przerażeniem wydęte żagle i bryk swój odpływający na zachód.

Darmoby chcieć opisywać gniew, oburzenie i rozpacz tych nowych Robinsonów, jak równie na nie się nie zda opowiadanie tego co się w przeciągu miesiąca działo na pokładzie *Rozy-Sekundy*. Muszę tylko powiedzieć, że nowi właściciele okrętu, po

różnych ucztach i nadużyciach, pewnego ranka obudzili się nieopodal wysp Markizkich. Odurzonych pijatyką, obawa przyprowadziła do przytomności; zaczęli się naradzać. Murzyn kucharz radził udać się do Afryki, sądząc, że tam potrafią bez przeszkody wylądować i sprzedać okrętowy ładunek..... Ale dwaj drudzy bali się afrykańskich brzegów i ziomeków kucharza.... Przytém ta podróż zajęłaby pół roku! Majtek Chilijski proponował wrócić do Ameryki, porzucić okręt przy brzegu i jak Bilboquet umknąć z kassą. Na żadne z tych zdań nie przystano. Porucznik będący duszą stowarzyszenia i wzbudzający szacunek doświadczeniem nabytém w podobnych zdarzeniach, twierdził, że trzeba się zdobyć na męstwo i udać do *Nu-Hiwy*, gdzie okręt dobrze ładowny, zawsze jest pożądanym gościem; co w gruncie było wielką prawdą.

— Ale, — zarzucił murzyn, — w Nu-Hiwie są francuzi obchodzący się srogo z takimi jak my ludźmi; nie mający żadnych względów.... Powiadam z doświadczenia, bo widywałem ich często w Senegalu i Gorei...

— Spalim będące na pokładzie papiery i napiszemy inne po angielsku, — przerwał porucznik, — francuzi umieją mówić tylko swoim językiem; na wszystkie ich pytania będziemy odpowiadać: *I not understand!* (nie rozumiem).

Tymczasem z Nu-Hiwy spostrzeżono *Rozę-Sekundę*, a że jej żagle były podarte, że nie mogła się dobrze kierować i płynęła nie tak jak należy, komendant *Galatei*, korwety będącej na stacyi, myśląc że to jaki potrzebujący ratunku, uszkodzony okręt, wy-

słał mu na pomoc dodany sobie dwumasztownik *Papeety*, który wnet doń odpłynął.

Na widok szlifów i dwónastu majtków będących na statku, porucznik uczuł że go męztwo opuszcza; jednak na wszystkie przyjacielskie zapytania kapitana *Papeety* odpowiadał śmiało:

— *I not understand!*

Lecz gdy ten przemówił czystą angielszczyzną, rabuś użył hiszpańskiego języka... Na jego nie-szczęście oficer francuzki władał nim doskonale.

*Kurz und gut* (krótko i dobrze) jak mówią niemcy, kapitan *Papeety* widząc w tem coś fałszywego, bez żadnych ogródek zabrał *Rozę-Sekundę*.

Po dostaniu się na ląd, w skutek zeznań chłopca i dziewczynki, wszystko się wykryło, i dawny osadnik z Botany-Bay, ze swojemi dwoma kolegami został wtrącony do więzienia oczekując nim rząd Chi-lijski nie każe skrócić stryczków, na których wszyscy trzej będą wisieć.

Takie było opowiadanie mieszkańca Nuka-Hiwy, po którem napiwszy się dla ochłody, (co jest konieczne pod zwrótnikiem), zabrał z sobą, jak najdroższe relikwije, pięć numerów *Patrie* datowanych przed pół rokiem, i mówiąc nam do widzenia, odpłynął do Dominiki. W tej samej chwili o pół do czwartej, ukazała się w zatoce szalupa z francuzką flagą, — poznaliśmy tą razą że nam przywozi sternika.

## XLI.

Wybiła czwarta gdyśmy stali u wejścia do zatoki, a wpływawszy do niej, zostaliśmy otoczeni *burzą ciszy*

jak się malowniczo wyrażają marynarze. Ujrzeliśmy wraz wszystkie szalupy *Galatei*, na wzór córek matki *Gigogne*, odczepiające się od jej boków i dążące ku nam dla zaciągnięcia nas na miejsce zarzucenia kotwicy.

— Niech żyje *zmiana*! wołali wesoło majtkowie, pozdrawiając nas z szalup.

*Alkmena* rzeczywiście miała zastąpić później *Galatę* na stacyi.

O godzinie czwartej i minucie dwudziestej piątej, — widzi pani jak opowiadam dokładnie, — zarzuciliśmy obie kotwice na dwudziesto-trzy-sążniowej głębokości, o 120 sążni od brzegu.

Nu-hiwijska zatoka ma pół mili głębokości przy 120 sążniach od brzegu; podobna do podłużnej sadzawki lub kanału *Saint-Martin* większych rozmiarów; oba jej brzegi nagie, dzikie, piaszczyste, lecz w głębi od strony lądu przedstawia widok zachwycający. Na pierwszym planie z prawej strony wznosi się twierdza, na której powiewa trójkolorowa chorągiew; trochę dalej dają się widzieć magazyny, domy oficerów, i koszary nowo-zbudowane, czyste, wybiełone i otoczone drzewami, zupełnie jak wille w Passy lub Boulogne. Wreszcie na pochyłości małego zielonego wzgórza, znajduje się śliczny ogród, otoczony jodłami, z prostem pod sznur, wysypanemi piaskiem alejami.... Jest to cmentarz, miejsce najpiękniejsze na całej wyspie i najbardziej uczęszczane. Na lewo zaś dziewczęca puszczę z wyniosłemi drzewami, trawami i roślinami, wśród których usiadły gdzieś skromne lecz poetyczne lepianki krajowców, przedstawia zupełnie innego rodzaju lecz zarówno piękny



widok. Całość nieporównana! wspaniała i miła razem!

Jeszcze żagle nie były zwinięte a już do trzydziestu łodzi napełnionych Kanakami obojej płci, krążyło naokoło naszego okrętu. Łodzie te zrobione z prostej wydrążonej kłody, dla równowagi miały przytwierdzone z wierzchu żerdzie, podtrzymywane dwóma kijami, broniły one takim sposobem od wywrótu w czasie silniejszego wiatru. Kanak nie używa wiosła, lecz pływa z żaglami, gdy mu zaś wiatr nie służy, wywija z obu stron łodzi pewnego rodzaju łopatką, czem jej dość znaczny pęd nadaje. Kiedy nasz porucznik pozwolił krajowcom zbliżyć się do okrętu i wejść na pokład, ujrzelśmy ich zaraz wążących i wdrapujących się ze wszech stron jak stada małp.

Byli to urodziwi, piękni i dobrze zbudowani ludzie, nie mający innej odzieży oprócz *marot*, tych winnych liści nowego rodzaju! i związki z trawy trzymające w kupie wszystkie włosy na wierzchołku głowy. Nuka-Hiwijczycy mają ślicznie tatuowane ręce, nogi, piersi i plecy, a będąc *dzikimi* w całym znaczeniu tego słowa, do dziś dnia wierzą w swoich brzydkich, drewnianych bożków, w *tabu*, i nie przestają pożerać białych. Właśnie wtenczas, kanakowie osiadli przy zatoce Nu-hiwijskiej, prowadzili wojnę z Tai-pii, i powiadano, że w obu armijach, szczególnie francuzi, byli uważani jako wielki przysmak. Jednak jest to rzecz pewna, że nawet kanak z nad zatoki Tai-pii, najzakamienialszy w zbrodniach, rzeczywiście nie bardzo okrutny, zabija człowieka nie dla przyjemności zabijania, lub dla widzenia czyichś cierpień, lecz po

prostu dla jedzenia — z łakomstwa, — jednym słowem, zupełnie jak nasze dzieci które popełniają kradzież.... dla konfitur. Jest to właściwy odcień uczucia.

Po trochę spóźnionym obiedzie udaliśmy się na ląd; najprzód dla oddania niezbędnej wizyty gubernatorowi wyspy, powtóre dla obejrzenia miasta.

Nic pani nie powiem o gubernatorze, wiesz że wszyscy podobni jeden do drugiego i że zazwyczaj mają dobre mieszkania. Mógłbym pójść o zakład, że to pani wystarczy. Co się tyczy miasta, to składa się z jednego domu i z jednej ulicy, nazwanej ulicą *Bucefała*, zapewne z tego powodu, że na Nu-Hiwie nie ma koni.

Na przedmieściach znajdują się koszary bardzo pięknie urządzone, magazyn, sztab, kawiarnia i twierdza. Ta ostatnia zbudowana na wyniosłości i wystawiona na wiatr, którym się wyłącznie cieszy i obudza zazdrość wszystkich innych budowli, stojących z wywieszonymi językami jak psy wracające z polowania.

Po cmentarzu, jedną z osobliwości miasta, jest ogród *Galatei*: obok jarzyn i owoców europejskich, przypominających *Cháville* i *Viroflay*, widać tam drzewa pomarańczowe, bawełnowe, cytrynowe, bananowe, mangowe i wszystkie inne kończące się na *owe*, a znajdujące się w tych ciepłych strefach.

Z prawej strony miasta, na w pół ukryte pod gałęziami wyniosłych drzew, ukazują się chaty krajowców, zazwyczaj małe i nie mające nigdy więcej trzech izb, najczęściej zaś jedną; pokryte liśćmi bro-

niąciami od słonecznego skwaru i ochraniającymi wnętrze od upału.

Cały dobytek kanaka składa się z jednej tykwy z wodą, drugiej z owocami lub *taro*, z kilku myśliwskich lub rybackich narzędzi zrobionych z rybich kości, z wyszczerbionej siekiery i z kilku mat zastępujących łóżko. To wszystko bardzo ułatwia przenosiny.

Jednak wygodki europejskie i tam się wkładać poczynają, większa część *Whaynów* (tak się nazywają porządniejsze kobiety) posiada łóżka z baldachimem. Kobiety te jak najmniej odziane, lecz tak piękne, tak dobrze zbudowane, że się to im wybacza; zamiast zębów mają perły, włos dziwnie obfity i miękki, nóżki i rączki jak u dziecka. W gruncie dobre istoty, zdolne do przywiązania — niezdolne do wierności; usposobione do pracy ręcznej, jako to: do szycia, do prania, prasowania etc. i równie jak ich ojcowie, mężowie i bracia z rozkoszą zajmują się *ludozerstwem*, ale takim, którego mój czytelnik, francuz i złośliwy z natury, łatwo się domysli.

Trzeba być jednak wyrozumiałym i przyznać, że oprócz miłości, Nu-hiwa nie wiele może dać rozrywek swoim mieszkańcom. Do nich trzeba zaliczyć śpiew i taniec.... ale jakież śpiew i jaki taniec! *Komomu-titot*, który nie odważam się dosłownie przetłumaczyć, — podobny... jakby to powiedzieć?... do *kankana*? nie, nie tak, jednak nie mogę go inaczej nazwać. Zresztą jest to przesadzony, posunięty do ostateczności *kankan*, jeżeli chcecie kankan przejęty Sewillą, Limą i *Grande Chartreuse*, jednym

słowem *olla podrida* o lubieżnych i dziwacznych ruchach.

Co do śpiewu, powiem tylko, że wyłącznie do kobiet należy, jest nawet rodzaj *śpiewu wieprzów*, wykonywanego przez same dziewczęta, a tak *naturalnie*, że milczeć musi najściślej krytyka. Czemużby wszystko nie miało być *naturalnem* w kraju żyjącym od wczoraj?

Oczywiście, że *komomu-titot* i *pieśń wieprzów* noszą dziwaczne piętno niestłuchanej oryginalności i kolorytu miejscowego, dają się widzieć i słyszeć tylko w Nu-Hiowie, o sześć tysięcy mil od starego świata, w obec natury szorstkiej i dzikiej, lecz oczywiście że gdziekolwiek indziej nie uchodzą.

Sprawiedliwie powiedziano, że rasa kanaków niszczeje. Odkąd *whayny poznaty* (styl biblijny) ludzi białych, z dawnymi mężami prawie nie mają dzieci. Czyżby to pochodziło z tego, że krew *biała*, — choć czerwona, — bogatsza, cieplejsza od *czarnej*, i że ukryta w tem jakaś tajemnica Opatrzności? Nie wiem; lecz to tylko mogę przepowiedzieć, na podobieństwo ludzi zapowiadających deszcz gdy już pada, że rasa kanaków wkrótce całkiem zniknie na ziemi.



## ROZDZIAŁ XVII.

**Ważność Nuka-Hiwy jako cytadelli na Oceanie Spokojnym. — Jej przyszłość. — Jej środki. — Hong-Kong. — Kanak. — Missjonarze katoliccy. — Religija kanacka. — Tabu. — Najwyższy kapłan. — Śmierć jego. — Zwyczaje z tego powodu. — Pogrzeb najwyższego kapłana w Nuka-Hiwie. — Sztuki piękne na wyspach Markizów. — Jak się pisze bistorja. — Wyjazd z Nuka-Hiwy. — Alkmena zmuszona oczekiwać na Rozę-Sekundę. — Opóźnienie. — Wyspy Łazarew i Kruzenstern. — Wyspy Pomotu. — Dla czego nazywają się Nizkiami albo Niebezpiecznemi. — Alkmena zatrzymuje się kolo Taiti.**

### XLII.

Nu-Hiwa jest wprawdzie pięknym zakątkiem kuli ziemskiej, to jedno można o niej powiedzieć, ale nic więcej. Czyliż to ma znaczyć że niepotrzebna dla Francyi? Przeciwnie; w danym czasie Nu-Hiwa może być punktem zgromadzenia okrętów francuzkiej eskadry, udzielną twierdzą, stacją morską wielkiej wagi między Ameryką południową a Chinami. Któż



wie (zapowiadając jój mniej świetne losy) czy Nu-Hiwa z powodu niestałości rodzaju wielorybowego, nie stanie się z czasem miejscem schadzki dla flot rybackich, lub przynajmniej portem zasilenia żywności dla naszych własnych okrętów do połowu wielorybów? Nie ma w tém nic niemożliwego, dziś już bowiem na Markizkim archipelagu często można widzieć połów potłiszów. (Gatunek wieloryba).

Zatoka ubezpieczona od burzy, wygodnie może pomieścić w sobie od sześćdziesięciu do stu okrętów; woda dobra i obfita; nie brak owoców; choć dowodzą przeciwnie, klimat wcale niezabójczy, (co innego mieszkańcy); dość więc tych powodów, ażeby przewidzieć przyszlą rolę Nu-Hiwy i naszej osady, gdy wybije stosowna godzina. Przytém, widząc co wytrwałość angielska zdołała zrobić z Hong-Kong, — to jest ze skały, — przekonujemy się że niczém nie trzeba się zrażać.

Wiem, iż nie cała wyspa przez nas opanowana, lecz mogłaby być jutro nawet, żeby się do tego wzięto na serjo, i w każdym razie nastąpi to niezadługo; bo niestety! trzeba przyznać, że na wszystkich tych nowo-zawojowanych wyspach, musi ustać walka z braku walezących.

O ile wiem, ze wszystkich ludów Oceanii, jeden tylko Nu-hiwijczyk, z dziką zjadłością i namiętném zaślepieniem, bronił do ostatka od Europejczyków swojej strzechy, swoich bogów i swoich starożytnych zwyczajów. Wojował, dopóki mógł się opierać z bronią w rękę, zwyciężony, nie przestał być ludożercą, a przyniesionej przez Francję cywilizacji odpowiada bałwochwalstwem i zabójstwem.

Teraz się pani wcale nie zadziwi, gdy jej powiem, że w Nu-hiwie znajduje się trzech katolickich misjonarzy i prawie tyle chrześcian, co w zastosowaniu do dwónastu misjonarzy (którzy kolejno w przeciągu sześciu lat mieszkali na wyspie) znaczy, że nawrócenie każdej duszy kanackiej okupuje się spożyciem dwónastu francuzkich misjonarzy. I to równie pania nie zadziwi gdy dodam, że wielożęństwo jest główną cnotą u pogan, a ofiara z ludzi podstawą religii kanaków; ho Nu-hiwijczyk zadaje kłamstwo wszystkim geografom dowodzącym, iż on jest gorącym katolikiem, dobrym ojcem i dobrym mężem; — żeby mieć prawdziwe pojęcie o jego charakterze i zwyczajach, trzeba się jeszcze trzymać pamiętników Kooka i współczesnych jemu podróżnych.

Jak już wyżej wspomniałem, bóstwa kanaków są małe, straszne, wcale nieartystycznie wyrżnięte z drzewa figurki. Każda religia ma swoje ołtarze, każde bóstwo swoich kapłanów, więc kanakowie posiadają także pewnego rodzaju obrzędy i proroków. Wyznanie zależy na zachowaniu *tabu*, — potem wyjaśnię co to znaczy, — na najczęstszém obchodzeniu *komomu-titoti*, na pożeraniu Francuzów przy zdarzonej okoliczności, na wyciąganiu się cały dzień na słońcu, na przywłaszczaniu cudzych żon, na zaspakajaniu pożądliwości bez małżeństwa i wreszcie na zaopatrywaniu spiżarni proroka w świeżą rybę, w świninę, w szczenięta, owoce i inne podobne drobnostki.

Co się tyczy proroka, arcy-kapłana, lub wodza, nazywając wedle upodobania, postannictwo jego bardzo proste: powinien najprzód pobierać należną

sobie dziesięcinę, zasięgać rady pocziwych drewnianych bożków, dbać o ich całość, zasiadać na *komomu-titot*, wyznaczać odpowiedni na to czas, i nakoniec stanowić *tabu*, to jest dziwnie srogie prawo, niepodlegające żadnemu rozbiorowi, groźne jak żądło żmii, od którego trzeba uciekać jak od psa szalonego. Dzisiaj świnię są przedmiotem *tabu* (zakazane) jutro pomarańcze, pozajutro cytryny, słosownie do tego w co arcy-kapłan chce zaopatrzyć swoją spiżarnię — a musisz przyznać czytelniku, że uszanowanie dzikich dla ich *tabu* nas prawowiernych katolików Francuzów, jedzących z mięsem od popielcu do wielkiejnocy bardzo upokarza. Widzimy, że obowiązek najwyższego kapłana na wyspach Markizkich zależy na zupełnej beczynności, coś w rodzaju akademickiego krzesła. Pomimo tego, śmierć arcy-kapłana spowodowywa powszechny smutek i żałobę. Kobiety ucinają sobie włosy i przez dni kilka wydają żałośnie krzyki, w których jest coś tak dzikiego i zarazem tak bolesnie smutnego, iż je można porównać z jękiem wiatru lub rykiem fali.

Zwłoki zmarłego kapłana przez kilka tygodni wystawiają się w jego własnem czółnie dla otrzymania należnej czci od prawowiernych, poczem przykryte liśćmi, zawieszają się nad jego chatą pomiędzy dwoma drzewami pod cieniem których lubił przesiadywać. Zgodźcie się, że nie brak temu ani uczucia, ani pewnego rodzaju poezji.

Kiedy wszyscy jeden przed drugim opłakują śmierć arcy-kapłana, ma się rozumieć, że i jego żona nie daje się wyprzedzić; powinna krzyczeć mocniej niż

kto inny, płakać obficie i dłużej; zupełnie jakbyś pani robiła straciwszy swego szanownego małżonka. Powinna szczególnie powstrzymywać się od wszelkiego *komomu-titoi*, dopóki czuje obecność nieboszczyka... a śmiem twierdzić, że ją bardzo czuje.

Jednym z pierwszych, ale przyjemnych skutków śmierci arcy-kapłana, jest obowiązek włożony na każdego kanaka należeć do uczty familijnej z przyczyny tak ważnej okoliczności; zupełnie tak samo jak dzieje się przy rogatkach *Montmartre*, z tą tylko różnicą, że grabarze paryscy skromnie pożywają cielęcinę i niewinną, tradycyjną sałatę, a kanak nie obejdzie się bez ludzkich kotletów, szczenięcej sztuki mięsy i potrawki z rekinów.

Nie wiem czy warto w tym pobieżnym opisie wspominać o bardzo mało upowszechnionych na wyspach Markizkich naukach i sztukach. Muzyka na równym stopniu doskonałości jak w Chinach, gdzie ją upowszechnili Amerykanie... Tam, jak w Kantonie, rodzaj bębna gra główną rolę. Rzeźbiarstwo ogranicza się na wyrabianiu małych bożków z drzewa; malarstwo nie wychodzi z granic damskiej toalety — co nie jest wcale najwyższym szczytem tej sztuki.

Literatura bardziej rozwinięta.... jednak nie do takiego stopnia żeby trzeba już było stanowić prawa o wolności myślenia i druku. Francuzki sąd przysięgłych nie zdołałby osądzić wykroczenia, gdyż druk Nu-hiwijski różni się zupełnie od naszego. Dziennik mieszkańca wysp Markizkich jest poprostu kawałkiem sznurka z węzłkami przypominającemi różne wypadki, na podobieństwo kawałków papieru, które

mój dziadek wkładał do swej tabakierki żeby sobie przypomnieć... że ma o czemś pamiętać.

Łatwo pojąć, iż przy takim sposobie pisania historyi, można ją sobie najłatwiej tłumaczyć. Na przykład: taki to węzeł może znaczyć że w pewnym dniu o pewnej godzinie, mieszkańcy z nad zatoki *Paranis* (Francuzów) otrzymali świetne zwycięstwo nad *Tai-pii*, albo że *Tai-pii* pobili kanaków, *Paranis*, albo wreszcie że rekin połknął *Papa-á-koko*, czy też, że *Lahaina* wydała na świat białe dziecko podobne do kucharza sztabu francuzkiego.

— Gdy zachodzi wątpliwość, nie wyrokuj — powiada przysłowie.

### XI.III.

Przebywszy dni kilka w Nu-Iiowie, *Alkmena* wioząca z Francyi dla osad w Otaicie pół miliona franków, gdzie była z tem większą, bo dłuższą oczekiwaną niecierpliwością, sama też po dziewięcio-miesięcznej podróży, chcąc przybyć prędzej na miejsce, wyruszyła do wysp Towarzyskich.

O siódmej rano wystrzelono z działa na znak odjazdu, a o w pół do ósmej te same szalupy *Galatei*, które nas w przeszłym tygodniu tak wesoło wprowadziły do Nu-Iiwy, teraz ze smutną miną wyciągały nasz okręt z zatoki. Równie jak w dzień naszego przyjazdu, morze było spokojne, niebo czyste i wietrzyk łagodny, lecz w szalupach nie śpiewali majtkowie i taka cisza panowała na zatoce, że żeby nie głos komendanta przewodniczącego manewrom, nie byłoby nic słyszeć oprócz fali szumiącej i łoskotu uderzających o maszty rejów.



Za nami posuwała się zwolna *Rosa-Sekunda*; mając na sobie francuzkich majtków; byliśmy obowiązani towarzyszyć jej do Taiti, zkaż tamieczny gubernator miał ją wyprowadzić na powrót do Chili.

Co zaś do rabusiów którzy ten bryk pochwytili, ci z kajdanami na nogach, siedzieli na dnie okrętu, rozmyślając zapewne o niestałości losu ludzkiego.

O dziewiątej powstał wiatr z początku cichy, niejednostajny, nieśmiały, potem silniejszy i równiejszy. O dziesiątej straciliśmy z oczu biały domek i maszt z chorągwią morskiej nadbrzeżnej straży, a o pół mili przed sobą, widzieliśmy falujące się morze, co dowodziło iż wiatr się ustalił. W pięć minut potem, na rozpiętych wszystkich żaglach, płynęliśmy dziesięć węzłów. Dziesięć węzłów! zapowiadało to nam prędkie przybycie do celu podróży, czegośmy wielce pragnęli i cieszyli się patrząc na drżący od wiatru, jak kobieta w objęciu kochanka, wierzchołek górnego masztu. Ale niestety! zapomnieliśmy o *Rozie-Sekundzie*, komendant zaś naszego okrętu miał wyraźne polecenie nie tracić z oka Chilijskiego brygu. Otoż, od chwili jak wiatr nam zaczął służyć, zostawiliśmy *Rozę-Sekundę* tak daleko za sobą, że wydawała się tylko białym punkcikiem na horyzoncie. W skutek tego o w pół do dwónastej musieliśmy zwinąć najwyższe żagle, potem o południu ściągnąć dolne, o pierwszej będące przy masztowym koszu, a o w pół do drugiej ociągać się za pomocą rudla żeby nas nasza *pupilla* mogła nareszcie dopędzić. O czwartej zrównała się z nami kulejąc, przewalając się z boku na bok, sapiąc i wyrzucając z siebie mnóstwo wody. Powitaliśmy ją najprzód głośnym chorem złorzeczeń,

potem zaczepiwszy linami ciągnęliśmy za sobą z tak wyraźnem uieukontentowaniem... iż nazajutrz rano była zupełnie zmęczona i musieliśmy okazać jej trochę czułości... co nas opóźniało..

Jednak w dwa dni potem, płynęliśmy pomiędzy wyspami Łazarew i Kruzenstern, a po dwóch dobach, podczas najpiękniejszej pogody, mijaliśmy archipelag Pomotu, inaczej nazwany *Nizkimi wyspami*, bo wyglądają na oceanie jak kosze z zielonością, co ma w sobie wiele wdzięku i *zalogności*, ale *niebezpiecznej* jak wszelka *zalogność*, i złąd pochodzi nadane im trzecie nazwisko *Wysp Niebezpiecznych*.

Trzeba przyznać że te strony długi czas były nieznane, że są tam liczne rapy i silne prądy, usprawiedliwiające zupełnie nazwisko *Niebezpiecznych*, dane wyspom Pomotu.

Mniejsza tem jakie wyspy, Pomotu, *Nizkie* czy *Niebezpieczne* (choćby obie razem) znikły nam z oczu, ustępując z kolei miejsca *ziemi wysokiej*, nie *Niebezpiecznej*, ale sławnej, nazwanej Otaitą!

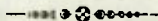
Tak samo jak Nu-hiwę wedela o godzinie trzeciej spostrzegła Taiti, i tak samo jak w Nu-hiwie, nie mogliśmy dnia tego zawinąć do portu.

Korzystaliśmy z tej okoliczności, żeby naszej nie-szczęśliwej ofierze *Rozie* dać wolność, lecz nie umiając jej użyć, pozostała przy nas ze zwieszonymi uszami jak zmokłe psisko.

Nazajutrz o szóstej byliśmy wszyscy na nogach; ogoleni, wyświeżeni; *Alkmena* miała nowo-malowane baterye i dolne maszty, co dowodziło wyraźnie, że nie chcieliśmy uchodzić w Taiti za ladajakich gości.

O ósmej, dały się słyszeć trzy działowe wystrzały na powitanie chorągwi, gdy oficer dyżurny zawołał:  
— Wywieszaj flagę!

O w pół do dziewiątej trzy drugie, wzywające sternika, który przybył o południu.



## ROZDZIAŁ XVIII.

Otaïta. — Moorca. — Fatarea. — Ich widok. — Zatoka. — Papeete. — Wrażenie na widok miasta. — Wsteczny rzut oka. — Port. — Jego otwarcie. — Prędkość komunikacji między Otaiti i San-Francisko. — Przyszłość i bogactwo wyspy. — Królowa Pomare. — Czem jest w istocie. — Skutki sprawy Pritszarda. — Otaitczykowie i Otaitki. — Ich zwyczaje. — Pomieszkania Europejskie w Papeite. — Budowle Francuzkie. — Rząd. — Teatr. — Kościół Katolicki. — Przegląd wojska. — Jaka korzyść z odbycia sześciu tysięcy mil podróży.

### XIV.

Otaïta jest jedną z najwynioślejszych wysp tej części Oceanii i widząc ją choćby zdaleka, wnet można się domyślić że obfituje w roślinność, bo nie ma na niej ani jednego miejsca któreby nie było pokryte zielenością, ani jednego wierzchołka skały któryby nie był podobny do ślicznego ogrodu.

Niedojeżdżając do Papeiti, ominęliśmy Mooreę położoną na północ od Olaiti i będącą pod jej prote-

ktoratem; potem na wszystkich żaglach wpłynęliśmy do zatoki i za kilka minut zarzuciliśmy kotwicę na sześćsążniowej głębokości o 60 sążni od brzegu.

Trudno sobie wyobrazić coś miłszego i piękniejszego od miasta Papeiti. Białe domy oczepione wijąciami się roślinami, zdają się grać w chowanego, kryjąc się za gęszczą drzew i kwiatów; podobne do spacerujących w ogrodzie pensionerek w czasie rekracyi. Zatoka, przykryta małą wyspą Fatarea, — którą wziąć można za rozkwitłą różę, tak jest świeża i uśmiechnięta, — zamyka się gronem bukietów z bananowych drzew, i odbijając się, jak teatralna dekoracya, na tle jasnego nieba, przedstawia czarujący widok.

Łatwo pojąć dla czego Bougainville nazwał Olaiti *Nową-Cyterą*, a admirał Legoarant de Tremelin dziś ją jeszcze nazywa *bąbonierką Oceanii*; ale niestety! boję się żeby jej nam nie zepsuło drapieżne kupiectwo, byłaby wielka szkoda, a mówiąc prawdę, wyspa ta nie stworzona na plac handlowy; ziemia pierwotna w stanie natury, na której dość być szczęśliwym, kochać i umierać... jednej jeszcze rzeczy brakowałoby może Nowej-Cyterze, oto historyi Pawła i Wirginii, to jest, za naszych czasów rzeczy prawie *niepodobnej*.

Bądź co bądź, Olaili jest jakby zakątkiem serca przyrody, na którym żyć trzeba tylko sercem. Czyż rząd lipcowy, aby dać Francuzom słodką swobodę pisania czułych idylli w Papeiti, prowadził tak długo wojnę z kanakami i posyłał do Oceanii wojenne okręty? Nie wiem, gdyż poezya i miłość nie należą do rzędu bóstw, którym rządy palą kadzidła. W tej okoliczności, Francya powodowała się trochę radami

Marsa a bardziej Merkurego: laury amerykańskich i angielskich handlarzy spać jej nie dawały, tak, że musiała wysłać bardzo przedsiębiorczego admirała dla zatknięcia swej chorągwi w pośród chat kanackich.

Nie wchodząc w rozbiór tego, zresztą już dokonanego faktu, i zostawując na stronie poezję z jej świetnym orszakiem, trzeba przyznać, że stary król powziął szczęśliwą myśl, umieszczenia Ołaity pod francuzkim protektorem. Bardzo długi czas śmiano się z okrętów i z wojska, które działami miało kruszyć *strzały kanaków* (strzały te jednak były strzelbami najlepszego kalibru), bo zbyt długo nie pojmo- wano ani we Francyi, ani w Ameryce Południowej, jak wiele można było skorzystać z tej osady.... dziś zaś wiadomo całemu światu, jakim skarbem może się stać Ołaita, i rząd teraźniejszy dowiódł że to najlepiej pojmuje, rozkazując przyśpieszyć ukoń- czenie zaczętego przez admirała Bruat portu, któ- rego kupiecka marynarka Oceanu Spokojnego oczeki- wała z wielką niecierpliwością. A że w takich kwestyach więcej znaczą dwa zdania niż jedno, przy- toczę tu słowa z listu P. Derbec, uczonego kolo- nisty, korespondenta *Journal des Debats*; list ten był pisany w dwa lata po mojej podróży.

„Stosunki handlowe pomiędzy Ołaitą i San Fran- cisco, stają się coraz częstsze. Pisał pan Derbec, 5 maja 1852 r. Przed dwoma tygodniami przybyło tu 6 okrętów naładowanych różnego rodzaju owoca- mi, szczególnie pomarańczami i kokosami, oprócz tego domowemi zwierzętami, perłową macicą i *trepanami*. Perłowa macica pochodzi z wysp Po- motu i przeznaczona równie jak *trepany* (morskie



„robactwo suszone na słońcu) dla chińczyków bardzo „na nie łakomych. Oczekujemy z Otaity dwónastu „okrętów z różnego rodzaju żywnością, nie licząc tych, „które się teraz ładują, lub tam się udających po „ładunek. Kapitan Bonnard starał się przez libe- „ralny i mądry zarząd ściągnąć do Otaity handlują- „cych na Oceanie Spokojnym, i jego starania zaczęły „już uwieńczać się pomyślnym skutkiem. Ostatnie „złamtąd wieści są bardzo ważne dla marynarki ku- „pieckiej. 15 marca odbyło się solenne otwarcie „przystani przed kilką laty rozpoczętej. Przystań ta „bardzo ceniona przez marynarzy, bo jedyna w tej „części Oceanu Spokojnego. Odbywały się świetne „uczty z powodu jej otwarcia; równie jak ludność „biała, załoga, marynarze wojenni i kupcy, tak i „krajowcy brali w nich udział. Założenie przystani „przyczyni się do podniesienia pomyślności Otaity i tak „już zapewnionego położeniem geograficznem i uro- „dzajnością roli, może najlepszej na całej ziemi. Odle- „głość nie stanowi przeszkody do pomnożenia pomię- „dzy temi dwoma krajami stosunków. Często szczęśli- „wie odbyte drogi wynadgradzają usiłowania kapita- „nów. Bryg *Agata*, przybył niedawno z Otaity w prze- „ciągu dwódziestu trzech dni, a pierwiej w przeciągu „dziewiętnastu i czternastu godzin, co jest godne po- „dziwienia. Już przeszłego roku dwumasztownik ame- „rykański *Betty-Bliss*, którego kapitan był ślepy, „z Papeiti do San-Francisko płynął tylko dwadzieścia „dwa dni. Okręt ten przybywając pierwszy na targ „jeszcze pusty, zyskał za pomarańcze 30,000 piastrow, „to jest 150,000 franków. Komunikacya ta ustali się „z czasem za pośrednictwem Klipperów; czyż nie-

„dawno sławny *Challenge* nie przybył z Chin w przeciągu trzydziestu trzech dni? Rad jestem że Kalifornia wywiera swój wpływ dobroczynny na francuzkie posiadłości drugiej pół-kuli; i nie podlega to wątpliwości, iż kiedyś oba kraje ze wzajemnem zadowoleniem wejdą w ściślejsze stosunki, jeżeli tylko nowy gubernator będzie naśladował dawne-go.”

Gdy do okoliczności wymienionych w liście pana Derbec dodacie odkrycie w Australii min przyczyniających się do powiększenia handlu na Oceanie Spokojnym; gdy zechcecie przekonać się na mappie, że Otaita leży po drodze z San-Francisko do Sydnéj i z przylądku Horn do Hong-Kong, to jest w samym środku Oceanu, łatwo pojmiecie jak ważną rolę w przyszłych dziejach obu nowych światów mogłaby odegrać nasza osada, żebyśmy tylko umieli pragnąć tego stale.

#### XLV.

W czasie naszego przybycia do Otaity nie było w zatoce innych wojennych okrętów oprócz fregaty *Syreny* o pięćdziesięciu działach pod dowództwem komendanta Lavaud, naówczas gubernatora Papeiti, — powtórę, rozebranego parostalku *Faeton*, którego maszyny wyprawiono niedawno do Francyi, i parowej korwety *Gassendi*.

Handlowe zaś okręty były następujące: statek amerykański, bryg z Hamburga, bat duński i kilkanaście krajowych dwumasztowników.

Rząd królowej Pomare jest konstytucyjny; izby

zgromadzają się dwa razy do roku, posiedzenia ich trwają parę miesięcy. Proszę kochanej czytelniczki żeby mi wybaczyła tak nagłe przejście, lecz trudno dłużej mówić o Taiti bez wzmianki o sławnej Pomare, a zatem i o jej rządzie.

Królowa, z powodu której wymyślono wiele dobrych i złych żartów, jest nieco otyłą, ale zapewne musiała być najpiękniejszą ze wszystkich swoich poddanek, ma rozumny wyraz twarzy i delikatne rysy; powiadają że jest bardzo dobrą i ubóstwianą przez swoich poddanych; przytem gdy chce, pełna godności i z wielką swobodą odegrywa monarszą rolę.

Zazwyczaj królowa Pomare chodzi w białej odzieży i boso; sypia na zwyczajnej macie; ma dwieście kobiet do usługi i za ogród całą wyspę.

Od czasu sławnej sprawy Pritszarda władza królowej została ścieśniona, szczególnie co się tyczy administracyi, nie zaś moralnego wpływu, ten bowiem do niej zupełnie należy i pewno żadna królowa nie panowała tak wyłącznie nad sercami swoich poddanych: na jedno jej skinienie cała wyspa gotowa upaść przed nią na twarz.

Ma się rozumieć że do królowej Pomare należą najpiękniejsze na całej wyspie chaty; można nawet powiedzieć iż wszystkie,—lecz oprócz tego ma urzędowy pałacyk, zbudowany przez rząd francuzki na dowód przyjacielskich stosunków istniejących między dwoma narodami.

W miłostkach swoich Pomare jest bardzo niestałą; w czasie mojego pobytu w Taiti, dawniejszy jej ulubieniec był wygnany na wyspy Gambijskie i już

nowego upatrywała sobie w Moorei... Lecz czyż i najwięksi ludzie nie mają słabostek?

Mężczyzni, a szczególnie kobiety są lepiej ubrane niż w Nu-hiwie, co zaprawdę nie trudno. Ubiór męzki niczém się nie różni od ubioru wszystkich kolonistów: składa się z białych spodni, kolorowej koszuli, kurtki i słomianego kapelusza. Odzienie kobiet stanowi za zwyczaj długa biała suknia w kształcie naszych starożytnych bluz.

Rassa ludzi bez porównania wyższa od Nu-hiwijskiej: mężczyzni urodziwi, dobrze zbudowani, silni, łagodni i bardzo przemyślni; kobiety ładne, nieco otyłe, pojętne i po większej części cywilizowane.

Obyczaje płocze; lecz żeby było inaczej w *Nowej-Cyterze*, nie byłoby to niedorzecznością? zresztą krajowcy obojęd płci okupują swą płoczość nieocenioną cnotą gościnności.

Wejdz śmiało do każdej otwartej chaty, lub zastukaj do drzwi, a pewno będziesz pożądanym gościem; posadzą cię na najlepszym miejscu, dzieci wyskoczą do lasku, żeby ci przynieść najpiękniejszych owoców, i jeżeli tylko zapragnie tego twe serce, głowa rodziny zaofiaruje ci żonę lub córkę, co zaprawdę jest najwyższym stopniem chęci przypodobania się gościowi.

To powiedziawszy, nie potrzebuję dodawać, że kanak taicki odladł zaniechał dzikich i strasznych zwyczajów rodu *Tai-pii*; dziś nie jest w stanie szkodzenia komukolwiek, nawet muchom; bo kto tak pojmuje gościnność, musi kochać bliźniego jeżeli nie więcej, to przynajmniej tyle ile siebie, zatem nade wszystko cenić jego życie.

Jednak wbrew *Rocznikom Propagandy*, krajowcy wcale nie są dobrymi katolikami, a jeszcze mniej protestantami na pociechę... katolickich misjonarzy. Czemże są?

Przyznam się, że trudno na to odpowiedzieć. Obalili wzniesione przed wiekami bożkom swym ołtarze; nie zbudowali nowych i są w wolterowskiej epoce; chętnieby zaśpiewali z Diuimasem synem:

W to tylko wierzyć wypada,  
Co się gruntownie posiada.

Jednak ta niewiara, czy też obojętność pod względem religii, nie przeszkadza im być najlepszymi i najcichszymi istotami na świecie, co im zapewne będzie z czasem policzono w niebie.

Oprócz kanaków, w Taiti a przynajmniej w Papeiti, znajduje się dość znaczna liczba *białych*.

Pojmuje pani, że wyrazu *biały* użyłem tu dla tego tylko, iż został przyjęty dla oznaczenia pewnej rasy ludzi, bo istotnie w Taiti zdarza się bardzo często, że ci *biali* bywają bez porównania czarniejsi od krajowców. Niemniej jednak Papeiti zamieszkane przez białych, i temu to zapewne winne swój wesoły, malowniczy i pełen różnaitości widok. Domy europejskie z kolumnadami, z zielonemi okienicami, z malowanemi dachami, stanowiąc uderzającą sprzeczność z kanackimi chatami, składają przecie z niemi razem dziwnie piękną całość.

Port nadzwyczaj ożywiony, nad którym wznosi się *Manutention* (w starożytnym stylu), ma też bardzo oryginalną fizioognomiję z powodu różnorodnego w nim zgromadzenia. Tam, chinczyk frymarczy z mieszkań-



cem Jawy lub Manilli, tu, krajowcy przysposobiają wodę dla amerykańskich okrętów, dalej, wesoły francuz wyśpiewuje swoje *ra, fla*, w towarzystwie jakiejś grzecznej *whajny*: jednem słowem, widzicie wszystkie części świata tu zgromadzone.

Budowle francuzkie w Papeiti zajmują większą część miasta, a są następujące:

- 1<sup>o</sup> *Manutention*, o którym wspominałem wyżej i którego ważność każe mi je najprzód umieścić;
- 2<sup>o</sup> Kilka koszar,
- 3<sup>o</sup> Twierdza,
- 4<sup>o</sup> Magazyny wojenne,
- 5<sup>o</sup> Bióra, kawiarnie, traktyery i prywatne domy.
- 6<sup>o</sup> Zabuđowania rządowe.

Rządowy pałacyk umieszczony w końcu wielkiego gazonu, ze wszech stron ocieniony, ma na dole bióra i salony do przyjmowania wizyt, na pierwszym piętrze prywatne apartamenta gubernatora, na drugim.... poczyną się dach; lecz na dachu jest wystawa, z której odkrywa się widok na zatokę i na całe miasto; wieczorem wieje tam tak cichy i świeży wietrzyk, iż się wam zdaje, że jesteście w Nicei.

Jest także w Taiti teatr i kościół katolicki, — oba tak wielkie, że mogłyby stanąć na pokładzie korwety... co zresztą nie zmniejsza ich wartości.

Kościół szczególnie, czyli raczej kaplica, ze skromną, drewnianą wieżyczką, ma w sobie coś tak pierwotnego, tak dobrego, że mile działa na wzrok i na serce. Ukryta między drzewami jak fijołek w trawie... Nie prawdaż, pani, iż takiego rodzaju świątynia aż nadto wyrównywa naszym katedrom?

Nazajutrz po wylądowaniu odbył się przegląd wojska z muzyką, manewrami i tryumfalnym marszem na uczczenie P. de Cendrecourt, który przybył dla objęcia dowództwa... Robcież więc sześć tysięcy mil drogi, żeby widzieć potem tak ciekawe rzeczy!

## ROZDZIAŁ XIX.

Jak w 1848 r. można się było uważać za szczęśliwego, znajdując chociażby statek do polowu wielorybów udający się gdzieindziej jak do Kalifornii. — Logan z New-Bedfordn. P. Nikkelson. — Kuchnia okrętowa. — Whale! — Dzień stracony. — Dyplomacya F. Nikkelsona. — Polów. — Uzbrojenie rybackich okrętów. — Są okręty nieszczęśliwe. — Przygotowania do wydobywania tłuszczu. — Szturm. — Wieloryb wpada do wody. — Zimna krew kapitana. — Sztukamięsa z wieloryba wzięta za wołowinę. —

### XLVI.

W kilka dni potem byłem skazany na wstąpienie na statek do polowu wielorybów udający się do wysp Sandwich, tymczasowego celu mojej podróży. Powiadam *skazany*, bo pobyt na statku do łowienia wielorybów wcale niemity; lecz wówczas wszystkie okręty chorowały na gorączkę posiadania złota, i rzadkim trafem można było spotkać choćby statek rybacki dążący gdzieindziej jak do Kalifornii. Wsiadłem tedy na

statek *Logan* z New-Bedfordu, pod dowództwem kapitana Nikkelson, i rad byłem dostawszy za pięćset franków pokoik wielkości dwóch szaf i pokarm równie niezdrowy jak szczupły, a zaraz po wyjeździe z Taiti mogłem się o tem przekonać, bo zaledwie wypłynęliśmy z zatoki i narządziliśmy żagle, gdy kapitan Nikkelson zawiadomił mnie iż dano śniadanie.

Uczta ta amerykańska składała się z obrusa, talerza, filiżanki, noża, widelca, szklanki i z kawałka słoniny, przy którym były jeszcze sucharki i garnek ciepłej wody, nazwanej przez grzeczność kawą! O południu to samo, o szóstej wieczorem to samo co o południu z tą tylko różnicą, że na ten raz ciepła woda nazywała się herbatą.

Lecz zresztą! na morzu jak na morzu? Na drugi dzień po wypłynięciu, mieliśmy małą burzę z południowym wiatrem, co urozmaiciło naszą nudną podróż.

— *My Good!* (mój dobry panie)—zawołał Nikkelson przybliżając się do mnie z wyrazem zakłopotania na twarzy, — brzydka dziś pora, nie można gotować jedzenia, trzeba się bez niego obejść.

Stysząc od kogo innego, mógłbym to wziąć za niezgrabny żart, ale w ustach kapitana Nikkelsona było to arcy-komicznem, ponieważ szanowny *Jan-kee* \*) brał na seryo i swoją słoninę i swą ciepłą wodę. Uczyniłem co mogłem: nałożyłem twarzy wyraz smutku, a Nikkelson myśląc jakoby mnie to na prawdę obchodziło, wielce się ucieszył i zapowiedział tryumfującym tonem, że od jutra znowu bę-

---

\*) Przewisko szyderskie mieszkańców Stanów Zjednoczonych.

dziemy się cieszyć przysmakami jego kuchni. Jednak przeiwny wiatr wbrew przewidywaniom P. Nikkelsona trwał tak długo, iż rzecz niesłychana w dziejach marynarki, w dziewięć dni po wyjeździe z Taiti byliśmy jeszcze naprzeciw Nuka-hiwy. Rzecz niesłychana! bo w tych stronach cały rok panuje zwyczajnie wiatr północno-zachodni, służący płynącym z Kallao do wysp Markizkich i do Taiti, więc samo przez się niepomysłny dla powracających.

W tem gdyśmy płynęli o piętnaście mil od lądu, wedeta zawołała wesoło:

— *Whale! whale! whale!* (wieloryb).

I w momencie, jak na znak czarnoksiężkiej laski, wszystko na pokładzie przybrało inną postać. W każdym drzwiczkach ukazała się rozpromieniona twarz majtki, i nawet sam kapitan Nikkelson zapominając o swojej zwyczajnej zimnej krwi, gdy wedeta po raz trzeci zawołała *Whale!* był już w masztowym koszu.

Po tym pierwszym wybuchu radości, nastąpiła solenna cisza, że możnaby posłyszeć przelatującą muchę, a wszyscy z zaciśniętymi pięściami, wyciągniętą szyją i natężonym wzrokiem, stali nieruchomie na miejscu.

Wreszcie spostrzeżono na horyzoncie dwa wytryski wody i ze wszech stron ozwały się głośne okrzyki *whale! whale!*

W mgnieniu oka przyrządzono łodzie i spuszczone je na morze, bo trudno sobie wystawić zapał z jakim ci rybacy śpieszą po swoją zdobycz.

Uważany z prozaicznego punktu widzenia rzeczy, połów wielorybów jest także pewnego rodzaju handlem, podobnym do każdego innego, szczególnie do korzennego handlu; lecz pojęty ze stanowiska wy-

maganych przezeń niebezpieczeństw, męztwa i doświadczenia, może się nazywać sztuką, bo w awanturniczem życiu tych rybaków, jest coś korsarskiego, a jednak, jeśli chcecie, i poetycznego.

Wzruszenie, które opanowało okrętową osadę, tem było naturalniejsze, iż zupełnie niespodziane. Rzadko się zdarza znajdować wieloryby na archipelagu Markizkim.... chyba przypadkiem, jak koło *Gallopagos*, *Chiloe* i *Juan-Fernandez*. Trzeba do tego dodać, że od dwóch lat po wyjeździe z New-Bedfordu nie służyło szczęście *Loganowi*, i że nie zyskawszy ani jednej beczki tranu, opłynął oba przylądki i Hornu i Dobręj-Nadziei, co się przyczyniło do zwiększenia jego łapczywości na podobne polowanie. W kwadrans cztery najlepsze łodzie odpływały od okrętu.

Każdemu znajomy kształt łodzi używanych do połowu wieloryba, lecz może nie wszyscy oświadczeni z całym ich przyborem. Siada do każdej po czterech wioslarzy, przytem jeden majtek z hakiem, drugi do rudla, razem sześciu ludzi; mają oni z sobą *wędę*, (bo wieloryb jak prosty kiełbuk łowi się na wędę), siekierę dla jej przecięcia w potrzebie, beczkę wody, suchar, kompas i żagiel.

Po odpłynięciu dwudziestu czterech ludzi, na pokładzie pozostaliśmy tylko: *Boy*, młody, piętnastoletni majtek, kucharz stary, siwy murzyn, kaleki majtek, kapitan dający rozkazy z wierzchołka masztu, gdzie siedział z lunetą, i wreszcie ja, postawiony przy rudlu przez kochanego P. Nikkelsoua, mającego mnie za doskonałego marynarza i nieprzypuszczającego żeby ktoś mógł nim nie być.



Na szczęście morze było spokojne, mały wiatr nie pozwalał nam płynąć więcej czterech węzłów, co ułatwiało moją czynność, zresztą, nieusprawiedliwiając dobrego o mnie przekonania P. Nikkelsona, byłem jednak w stanie usłużenia mu. Lecz wkrótce zaszła nieprzewidziana trudność: okręt powinien był być obrócony przodem do łodzi, żeby dążył w kierunku, jakiego się one trzymały w pogoni za wielorybem, a to wymagało ciągłych zwrotów; otoż gdy w czasie pięknej pogody, ma się rozumieć, wszystkie znane manewra były dla mnie dziecinną igraszką, zdarzyło się wcale inaczej, gdy dla ich regularnego wykonania, przyszło mi odbierać rozkazy z ust kapitana Nikkelsona.... Bo jakże zrozumieć angielski język amerykańczyka i jeszcze język marynarski, techniczny! Przy pierwszym więc obróceniu popełniłem wielki błąd, tak, że poczcziwy marynarz ze swego wysokiego obserwatorium zwrócił się do mnie z silnem:— *Goddam!*

Przyszło mi na myśl, przetłómaczywszy je dosłownie po francuzku, przesłać mu na powrót — powstrzymałem się jednak sądząc, iż się to na nic nie zda.... chyba żeby mieć przyjemność wymówienia złośliwego wyrazu.... więc zawołałem po prostu:— *I have not uderstand!*

Nikkelson uśmiechnął się i zmienił swój pierwszy wykrzyknik na *my good*, co było mniej obrażającym. Potem postanowiliśmy odbywać manewra podług umówionych znaków. Wskazywał ręką stronę w którą okręt powinien się być zwracać, lub wołał *stop!* gdy miał ruszać na prost. Wykonywałem rozkazy z uległością pruskiego żołnierza i dzięki temu porozumieniu wszystko szło dobrze. Ale niestety! nie od

nas zależało pojmanie wieloryba; czy brak wprawy rybaków, czy nieszczęście spowodowało, że łodzie wezwane na powrót działowym wystrzałem nic na pokład nie przywiozły.

Powitanie przez Nikelsona majtków, wracających z wyprawy, było bardziej dyplomatyczne, niż się tego spodziewałem. Chwalił ich zręczność i odwagę w tym dniu okazane, mówił, że zapewne szczęście jutro lepiej posłuży i w końcu kazał rozdać wszystkim podwójną porcję, tak zupełnie, jak żeby się połów najlepiej udał.

— Inaczej nie można, — rzekł do mnie po hiszpańsku, — znam ludzi!

Majtkowie nie w bardzo złym humorze udali się na swoje miejsca, — pragnąc zaś urzeczywistnić przepowiednię kapitana, tak się nazajutrz zawinęli, że już o ósmej rano, ogromny wieloryb był przywiązany wzdłuż pokładu.

Rozpromieniony, jak Napoleon po bitwie pod Austerlitz, Nikkelson miał do swego wojska małą przemowę i niezwłocznie zajął się pochowaniem w bezpiecznem miejscu zwłók nieprzyjaciela. Urządzono przeto dREWKA i w mgnieniu oka płomień objął kotły; ze wszech stron ponaciągano liny, przygotowano sznury do odmiany, wyostrzono noże, a już się miała zacząć operacyja, (część żagli była zwinięta i staraliśmy się utrzymywać na miejscu), gdy niespodzianie ukazał się na horyzoncie czarny punkt zapowiadający niepogodę. Nie upłynął kwadrans kiedy zaczął padać straszliwy deszcz party przenikającym wiatrem.

*Logan* umiejący się doskonale utrzymywać na fali, z początku wcale się tem nie poruszył, lecz wkrótce

niepogoda zmieniła się w burzę, wiatr targał się szalenie, ocean potrzasał swą starą i spokojną zazwyczaj grzywą.... tak, że za jednym silnym uderzeniem strącony z pokładu wieloryb, wpadł do morza. Dzielny Nikkelson przeniósł tę nową próbę bez zmarszczenia nawet brwi; połknął tylko spory kęs tytoniu, (*chigue*) co mi dało powód do powiedzenia: kapitanie, z jakim że *szykiem* zniosłeś ten nowy cios! potem jakby na zemstę kazał rozpuścić wszystkie żagle i położył się spać z filozoficzną spokojnością, której nie zmógł najstraszniejszy, panujący do koła łoskot.

Nazajutrz spostrzegłszy z zadziwieniem podaną na śniadanie sztukamięse wołową, i znalazłszy w niej smak doskonały, zapytałem naszego *Bey'a* o tę kuchenną tajemnicę.

— Ach panie, — odrzekł mi ze smutną miną, — to nam tylko pozostało z naszego wczorajszego połowu!



## ROZDZIAŁ XX.

Wyspy Sandwickie albo Hawaj. — Wyspa Hawaj. — Hilo. — Dom p. Pittman. — Twierdza. — Żołnierze Kanaccy. — Krajowcy. — Kobiety. — Ubiory. — Parani. — Ksiądz \*\*\*. — Jego pomieszkanie. — Poi. — Taro. — Tarapassy. — Wycieczka w głąb' wyspy. — Muna-Roa. — Muna-Kea. — Wspomnienia wywołane przez te dwa nazwania. — Roślinność. — Wspaniałość krateru. — Msza odprawiona przez księdza \*\*\*. — Proste porównanie. — Sielskie śniadanie. — Powrót do Hilo. — Plyulemy dalej.

## XLVII.

**W** TYDZIEŃ po przebyciu równika, przy silnym południowo-wschodnim wietrze, byliśmy o sześćdziesiąt mil od wysp Sandwicz, wsławionych śmiercią Kooka, a dziś będących jednym z najważniejszych punktów Oceanii. Wyspy te pospolicie nazywają się *Hawai*.

W języku Kanaków, *hawai* znaczy *ogień*; że zaś archipelag polinezyjski składa się z samych wulkanów, przeto to ostatnie nazwisko bardziej logiczne i stosowniejsze niż Sandwicz, które przypomina po prostu nazwisko pewnego lorda admiralicii angielskiej, bardzo szanownego zapewne, ale o którego rzeczywiście potomność mało się troszczy.

Zresztą mniejsza o lorda Sandwicz i naszą manję chrzczenia wszystkiego na nowo, (przechrzcilibyśmy nawet Amerykę, żebyśmy ją kiedy opanowali,) *Logan* jednak w tydzień po przebyciu równika podpływał do wysp *Hawai*. Właściwa wyspa *Hawai*, jest największą z całego archipelagu i pierwsza daje się widzieć; wysoka ta i wspaniała ziemia wygląda jakby silna tama na Oceanie, mówiąca doń: — Dalej nie pójdziesz!

W rzeczy samej, można pomyśleć że daremnie fala uderza o skały hawajskie i że ocean Spokojny tam się kończy gdzie one się poczynają. Ujrzawszy *Hawai*, płynęliśmy jeszcze całą dobę z prędkością sześciu węzłów nim zawinęliśmy do portu w *Hilo*. Widzieliśmy kilka okrętów z rozpiętymi żaglami dążących ku nam i po stronach kilka małych statków, co nas przekonywało, że mamy przed sobą ważny punkt handlowy i że koło wysp Sandwiskich panuje wielki ruch okrętów.

O siódmej rano na drugi dzień, po spostrzeżeniu *Hilo*, opłynęliśmy ostatni południowy cypel ziemi, zakrywający przed nami wspaniałą zatokę.

W głębi jej widać miasto otoczone odwiecznymi drzewami, a z lewej strony twierdzę — *battery* (jak mówią Anglicy,) panującą nad całą zatoką.



Hilo stolica wyspy Hawai, jest prostą wsią, podobną do wyżej opisanej w Taiti. Takie same piękne chatki, śliczne ogrody i proste ulice wysypane piaskiem, jak ścieżki książęcego parku. Jedyne tam piękne, ma się rozumieć europejski dom, należy do niejakiego pana Pittmann, bogatego i wywierającego wielki wpływ negocjanta. Dom ten składa się z dwóch części, z których jedna przeznaczona dla pożytku, druga dla przyjemności, to jest, że obok izb przeznaczonych na magazyny z różnemi towarami, na składy i kuchnie, znajdują się apartamenty umeblowane z gustem i z odznaczającym się *konfortem*. Więc tylko do domu pana Pittmann wstępuje król podczas swego pobytu w Hilo. Dalej wznosi się dom gubernatora wyspy dobrze utrzymany, nie mniej gustownie umeblowany i bardzo malowniczej powierzchowności. Nad wcale nieźle uzbrojoną twierdzą powiewa przy maszcie narodowa chorągiew. Baterje zawierają dużo dział, ale tak odkrytych, że obrona w czasie prawdziwego szturm, byłaby niepodobną w dzisiejszym stanie rzeczy. Ze swojej strony znajdujący się tam żołnierze, nie przyczyniają się do nadania twierdzy, groźnej powierzchowności; tylko ich mundury mają wojenną minę. Nie trzeba jednak sobie wyobrażać, żeby hawajski *piou—piou* był podobnym do karykatur otaickiego wojska, przedstawionych niegdyś w *Charivari*, bo jeżeli niema zakroju *afrykańskiego strzelca*, to przynajmniej mało co śmieszniejszy od wielu gwardzystów narodowych. Wystawcie sobie człowieka w krótkich białych spodniach, w granatowej z kołnierzykiem kurtce, z obszlagami i wypustkami czerwonymi, w sukiennej

czapeczce ze znakiem K.—III. (Kameha-Meha III.,) a będziecie mieć żołnierza wysp Sandwicz. — Wreszcie ten strój wędrującego szarlatana, jest tutaj noszony z taką dobroduszością, że nie można wątpić o łagodności charakteru jego szczęśliwych posiadaczy. Lecz ani pora tu, ani miejsce mówić o hawajskim wojsku, wolę wspomnieć o bezbronnnych mieszkańcach Iiilo. Stoją oni daleko wyżej od mieszkańców Nu-Iiwy i Taiti, gdyż są całkowicie ubrani. Odzienie ich wcale nie wyszukane, ale odpowiednie klimatowi czterdziestu stopni ciepła. Składa się ono ze świątłych spodni, z wywieszanej na niej koszuli w rodzaju bluzy i ze słomianego kapelusza; obuwie, uważane za przedmiot zbytkowy, nosi się tylko w dni świąteczne. Niektórzy mężczyźni, a szczególnie kobiety, noszą i codziennie chińskie trzewiki. Tym strojem przypominają naszych pocziwych langwedockich wieśniaków; widząc ich tak cichemi, tak łagodnemi, mimowoli człek zapytuje siebie jakim sposobem mogli się stać okrutnemi na chwilę i zabić kapitana Kooka?

Kobiety ani brzydkie, ani piękne, lecz z pięknymi włosami i prześlicznymi zębami, zdają się być równie łagodnemi jak ich bracia i mężowie — są też takimi w istocie. Ubierają się jak kobiety w Taiti, tylko że kapelusze przykrywają liśćmi, a ręce i szyję ozdabiają bransoletkami i naszyjnikami z pewnego rodzaju miejscowych owoców czerwonych i sinych, bardzo jaskrawych ale przykrego odoru. Chociaż to nieco pretensjonalne, jednak wcale malownicze.

Pochodźwszy po ulicach Iiilo, i upewniwszy się, że z francuzów (*Parani*), nie ma nikogo oprócz Kato-

lickiego missijonarza księdza \*\*\*, udałem się śmiało do jego mieszkania. Zacny to był duchowny choć nie wymyślił prochu, a i pocóżby go miał wymyslać? człowiek święty, którego oczekiwało królestwo niebieskie,—błogosławieni ubodzy w duchu! zresztą kapłan z powołania, czem okupywał inne niedostatki.

Ksiądz \*\*\* mieszkał w małej, skromnej aż do ubóstwa chacie, stojącej tuż przy kościele, któryby się podobał sławnemu Bernardin-de-Saint-Pierre.—Z po za chaty ukazywał się długi ogród ocieniony bananowemi drzewami i opasany płotem z cukrowej trzciny. Może ten ogród był zarazem i cmentarzem katolickim w Hilo? Bo czyż nie najlepiej żyć w rodzinnem kole? Wszak dobry pasterz nie powiuen nigdy opuszczać swojej owczarni.... jak generał wojska na placu bitwy.... Przytem czyż to tak straszno deptać umarłych? Czyż nie jesteśmy do koła otoczeni śmiercią? Ksiądz \*\*\* bez wątpienia tak musiał myśleć i wyobrażam sobie iż popioły nieboszczyków, użyżniały grędy jego ogrodu. Jeżeli to tak nie było, to być mogło i miałoby uzasadnienie.—Nieznam filozofów większych od grabarzy, żywią się oni śmiercią, jak śmierć żywi się życiem.... odwieczne dzieje świata!

Młody Kanak zakrystjan, brzydki jak stara dewotka i zwinny jak małpa, przyniósł w mgnieniu oka stół do altanki, a przykrywszy go obrusem, zaprosił nas na śniadanie skromne ale smakujące. Wystawcie sobie człowieka zmuszonego żywić się słońną od czasu wyjazdu z Taiti, znajdującego przed sobą niespodzianie kawał doskonałego łososia, świeże jajka, mleko i owoce; pojmiecie wtedy co to jest na-

głe przejście z mak piekielnych do rajskich rozkoszy. Nie mając wina, ubogi missijonarz zerwał z drzewa trzy ogromne cytryny i wycisnąwszy z nich sok do tytkwy z wodą, zrobił doskonałą limonadę.

Powinienem tu wspomnieć, że jeżeli pobyt missijonarzy w Polinezii nie jest wcale otoczony wielkimi niebezpieczeństwami, (o których piszą Roczniki Propagandy) to jednak trzeba wyznać, że nie bardzo wygodny; ksiądz\*\*\* nie zawsze ma tak wspaniałe śniadanie jakiem mnie przyjął. Rządząc parafią rozległą na dwadzieścia pięć mil, trawiać więcej czasu na koniu niż w konfesjonale, przepędzając noc w pierwszej lepszej chacie, karmił się zazwyczaj narodową, odwieczną potrawą, nazwaną *poi*.

Zapewne zapyta mię pani co to takiego te *poi*? Na to, rozsiadając się poważnie w mojem krześle z miną profesora wykładającego wstęp z *de l'iris*, odpowiem poważnie:

— *Poi* jest pewnego rodzaju rozczyń z *taro*, albo rozczyńniem *taro*, co na jedno wychodzi, — (jakby sprawiedliwie zauważała akademija), a *taro* jest *grudką* z rodziny *konwalwuluców*, pochodzących z wysp Sandwiskich.

Spodziewam się że teraz pani wie.

Czyż dla jaśniejszego wytłómaczenia rzeczy potrzeba jeszcze dodawać, że ta grudka nie jest czém inném jak tylko, (*patatą*) kartosłą ameryki południowej? (*Convolvulus Batatas*.) Myślę że mało to panie interesuje, lecz chciałem jej dowieść znajomość łaciny.... kuchennej, przy tak dobrze zdarzonej okoliczności podchlebiania czytelnikowi i powiększenia

w nim ufności w autora. Zgoda więc na *Convallulus Batatas*.

Te kartofle i te *taro* zajmują ważne miejsce w tamiecznem rolnictwie dla bardzo prostej przyczyny, bo *poi* jest powszednim chlebem kanaków. Jak u nas na polu widać kłosa, tak tam szerokie i głębokie *tarapassy* (*tarapasses*). Są to miejsca na *taro*, urządzone w rodzaju stopniowanych sluzów, w których cały rok woda płynie—i od takiej to błotnistej niwy zależy życie biednego ludu.

Upieczone w popiele *taro* jest doskonałą jarzyną, prawie zupełnie podobną do zwyczajnej kartofli... takie porównanie jest największą dla niego pochwałą. Przyrządzone po kanacku może uchodzić za doskonały klej i rzeczywiście, miejscowi tapicerowie używają go do naklejania pokojowego obicia.

### XLVIII.

Przy śniadaniu ksiądz\*\*\* opowiedziawszy mi o przykrości swojego pobytu w Hawai, wytłómaczywszy, że wyspa dzieli się na pięć obwodów katolickich pod zarządem tyluz księży, że liczy do sześćdziesięciu kościołów, niektórych murowanych i bardzo ładnych, nauczywszy mnie wielu rzeczy, zapytał niespodzianie:

Długoż zabawisz w Hilo?

— Nie wiem.... może dwie doby.

— Dobrze jeździsz konno?

— Czemu?.... zapytałem z kolei.

— Bo julro niedziela i powinienem pojechać ze



mszą ztąd o dwadzieścia mil; myślałem jechać wieczorem.... lecz jeśli nie obawiasz się utrudzenia, wyruszę zaraz, to jest, wyruszymy oba i obejrzym będący przy drodze wulkan.

Wulkan ten był nadto sławny, i obudził we mnie zbyt drogie wspomnienia (o których opowiem), że bym nie miał chętnie przyjąć propozycji księdza \*\*\*.

W samej rzeczy *Muna-Kea* była w dzieciństwie moją przyjaciółką, nie żeby to imię bardzo mnie zajęło w czasie uczenia się geografii, której nigdy nie umiałem, lecz że byłem wtedy w jednej klasie i w przyjaźni z synowcem znakomitego członka akademii P. Gaudichaud,—ten widział *Muna-Keę* i często nam o niej opowiadał z zapałem artysty i z głębokością uczonego.

Czasami P. Gaudichaud wodził nas do lasu zbierać rośliny, a kiedy pomimo naszej młodości, nie umieliśmy wbiec na pogórek lub wdrapać się na skałę, sławny naturalista opowiadał nam wtedy jak się dostawał do większej połowy *Muna-Itoa*, stryjecznego brata *Muna-Key*,—mającego 5,700 metrów wysokości a nie 4,888 jak utrzymują wszystkie geografie.

Dodawał, że od tego czasu choruje na reumatyzm, lecz zgodziłby się zostać zreumatyzmowanym od stóp do głowy i dziękowałby jeszcze za to Bogu, żeby mógł być wówczas wleźć na sam wierzchołek sławnej góry.

Kiedyśmy byli zmęczeni i szli z ciężkością po piasku rozgrzanym od naszego bladego, europejskiego słońca, mówił nam o słońcu w Hawaj, i o podziemnem cieple, palącym stopy przy wejściu do wulkanu,

i o kipiącej lawie poniżej ścieżki, którą się wchodziło.

Słowem na samo nazwisko *Muna-Key*, przeniosłem się myślą w najszcześniejsze i najcichsze chwile mojego życia, w te różanne lata nazwane młodością, i bardziej przez miłość dla wspomnień, niż przez ciekawość lub chęć nauczania się (wyznaję to z pokorą) odpowiedziałem na propozycję księdza \*\*\* najwdzięczniuszem: *bardzo dobrze*.

Nikkelson uprzedził mię, że z cierpliwością będzie czekał mojego powrotu, nie miałem więc z tej strony żadnej obawy i znajdowałem się w najdogodniejszym położeniu do przedsięwzięcia jakiegokolwiek bądź wycieczki.

Ksiądz \*\*\* dał mi doskonałego konia, jak na paryżanina przyzwyczajonego do omnibusów, nie byłem bardzo złym jeźdzcem; przy ciepłym i jednostajnym wietrzyku, pomknęliśmy drogą lżejsi od snów zakochanego młodzieńca.

## XLIX.

Cieężko sobie wyobrazić coś równie wspaniałego jak wyspa Hawai, trzeba ją widzieć żeby pojąć jakie tam skarby natury. Roslinność obfita, pyszna, niezwyczajna i pełna nowości, o której chyba Taiti może dać wyobrażenie, — ale Taiti jest tylko kącikiem Hawai.

Zaledwie późno w nocy przybyliśmy do wulkanu przebiegłszy najczarowniejsze okolice. — Niebo było jasne, a księżyc igrając w śniegowych wyżynach *Muna-*

*Roa*, jak na wierzchołkach wyniosłych drzew, tworzył cały świat czarów. U stop *Muna-Roa*, niby wejścia do piekła, *Muna-Kea* otwierała straszliwą, rozżłoszczoną paszczę, którą możnaby porównać z ognistym morzem, potrząsającym płomienną grzywą fali. Był to wspaniały, jedyny widok, o jakim żaden nie śmiał marzyć poeta.... co dowodzi jak jest małą ludzka poezycja obok Boskiej rzeczywistości. Żeby jednym słowem wszystko wyrazić, powiem, że *Muna-Kea* jest najznakomitszym na całej ziemi wulkanem. A co jeszcze bardziej podnosi jego piękność i zachęca do widzenia, to to, że się zupełnie różni od wszystkich naszych wezuwuszów na małą skalę. Zazwyczaj wulkany są przepaściami we wnętrzościach gór mającymi swoje kratery na ich wierzchołkach, ale *Muna-Kea* wcale inшы: lawa wydrążyła sobie łożę w głębi samej ziemi i trzeba długo schodzić, żeby się z niem zrównać.

Do północy staliśmy na brzegu *Muna-Key*; ksiądz\*\*\* myślał zapewne o piekle, a ja podziwiałem, nie mając nic innego do czynienia — jak podziwiać. Postanowiliśmy wreszcie wrócić do chaty, przy której zostawiliśmy nasze konie — prawdziwie nieocenione zwierzęta! Wyciągnąwszy się na matach, oświeceni płomieniem *Muna-Key* (wówczas wybuchającej) przespaliśmy aż do rana. Ze świtem puściliśmy się w dalszą drogę, i o ósmęj, to jest ujechawszy dwanaście mil, stanęliśmy przy kaplicy, w której ksiądz\*\*\* miał mieć mszę.

Muszę się przed panią wypowiadać z tego że nie jestem zbyt gorliwym katolikiem, lecz to mnie tem bardziej czyni bezstronnym sędzią wszystkiego, co

może być wystawnem, lub tajemniczem w obrzędach religijnych.

Wpółśród wielkiego miasta, z organami, orkiestrą, śpiewakami opery i miejscami płatnemi, nabożeństwo wydaje mi się ni mniej ni więcej jak zwyczajnem widowiskiem. Ale na wsi widok na pół zrujnowanej kapliczki z księdzem (jednym tylko) poważnym i skromnie ubranym, przy śpiewie ptasząt latających koło drzwi, przy pokornej modlitwie kilku pocztowych wieśniaków i wieśniaczek, klęczących na kamiennej podłodze, przy woni trawy i kwiatów polnych zamiast kadzidła, msza wydaje mi się poetyczną, bo pełną prostoty. Dla tego i msza księdza \*\*\* miłe na mnie zrobiła wrażenie; modliłem się całym sersem, co mi się dawniej przy mszy nigdy nie zdarzało. Prawda i to że sam się do niej przyczyniłem, wyjąwszy uprzednio z podróznego worka księdza mszał, lichtarzyki, ampułki i buteleczkę z winem, potem przyniosłszy wody z poblizkiego źródła i odczepiwszy sznur od dzwonka... zakrystjan lepiejby tego nie wykonał.

Mieszkańcy wysp Sandwiskich nie są bałwochwalcami, wierzą w Biblię i w Chrystusa Pana — ale na tem koniec. Darro wspominać im o ewangelii, o pacierzach, odpowiadają bowiem, że Bóg ich stworzył dobrymi, że Sam jest dobry i że nie mogą prosić Go o to co im Sam nie dał.

Mów kobietom o czystości, odpowiedzą naiwnie ci: Dla czego?

Wspomniałem o tem dla wytłumaczenia, że missjonarze w Oceanii muszą okazywać wielką tolerancję, szczególnie pod względem form, i wymagają niewiele

dla otrzymania czegokolwiek. Nie myśląc zastanawiać się nad tém co ich przywiodło do Kaplicy, pobożność czy ciekawość, ksiądz \*\*\* był bardzo rad z obejścia się kanaków w czasie mszy; widział że byli, a to rzecz główna!

Po mszy spożywaliśmy prawdziwie sielankowe śniadanie; siedzieliśmy pod cieniem drzew; u stop naszych płynął strumień, przy którego brzegu było mnóstwo ananasów, że jakieby Chevet od sztuki zapłacił po dwadzieścia franków; nad naszymi głowami wisały grona złocistych banan; mając wyjęte z torby księdza resztki *taro* i przyniesione przez gorliwych katolików melony i pieczoną rybę.... cóż mogliśmy więcej żądać?

Doświadczałem prawdziwej przyjemności i ze szczerem żalem uczułem zbliżenie się pory odjazdu: trzeba było jednak chcąc niechcąc wsiąść na koń i tego samego dnia jeszcze pod wieczor wrócić do Hilo.

Pierwszą osobą, którą spotkałem w mieście, był poczciwy Nikkelson. — A! — zawołał z dala jak tylko mnie spostrzegł, — cieszę się żeś powrócił.... wiatr doskonały.... rozwinie żagle. I nie dając mi czasu pożegnać się z moim kochanym księdzem, pociągnął mnie z sobą do portu, wsadził do łodzi i zawołał: — *odbijaj!* a to z flegmą właściciela stawu, który ruszy od brzegu dla opłynienia swój wyspy i wrócenia nazad po dziesięciu minutach; prawda że dla Nikkelsona, Hilo było tém, czém u nas dla konduktorów omnibusowych bióro stacji. O nic więcej nie dbał tylko o swój okręt i reszta świata wydawała mu się tylko miejscem, do którego się przybywa lub z którego się odjeżdża.... czémś równie mało obchodzą-



cem jak dla passażerów przeprząg koni w dyliżansie podczas nocy, deszczu lub w czasie, kiedy nie można wysiadać na popas.

Dzięki Bogu, nie podzielałem tego sposobu zapakowania się na rzeczy, należąc do rzędu ludzi, którzy myślą, że trzeba wszędzie gdzie się żyło, kędy się przejechało, zostawić cząstkę swojego serca; czułem żal opuszczając ziemię na której doznałem serdecznej gościnności, lecz pocieszało mnie moje własne postanowienie najprędszego powrotu dla zawarcia ściślejszej znajomości z księdzem \*\*\*.

Zaraz po wejściu na pokład, kapitan Nikkelson kazał podnieść kotwicę i narządzić żagle.... a gdy na kościelnym zegarze w Hilo było godzina dziewiąta, opływaliśmy z wiatrem ostatni cypel ziemi przy ujściu zatoki, zostawując w niej cztery spore dwumasztowe okręty hawajskie, trzy statki rybackie amerykańskie i bryg angielski.



## ROZDZIAŁ XXI.

**Maui.—Molokoi.—Kapitan Nikkelson chce koniecznie odwiedzić starą znajomość. — Logan dąży do lądu. — Ożywiona Cyklorama.— Lahaina. — widok miasta przybywając od strony Hawai.—Port.—Królewska rezydencyja.— Kościół protestancki.— Ulice.— Obicie straży.—Hotel francuzki. — Rodak. — Trochę poezji z powodu wygnanego Vatel'a.—Wiktor Chancerel. — Jak to szczęśliwie, kiedy można pogwarzyć o sztuce.—Przechadzka za miastem.— Czarowna Kraina. — Nocni stróże.**

## L.

**Z**WIATREM od strony lądu, mogliśmy w nocy opłynąć Hawai i uniknąć panującej tu zazwyczaj ciszy, pochodzącej z przyczyny *Muna-Roy*, która swoją wyniosłością przerywa ciągłość periodyczną wiatru.

Zatoka Hilo, którąśmy opuścili jest najbardziej uczęszczaną przez wojenne okręty, naprzód że łatwiejszy do niej przystęp i że bezpieczniejsza od in-

nych, powtóre, że oprócz przyjemności pięknego widoku, Hilo ma wszystkie materiały żywności okrętowej i obfitą wodę za bardzo mierną cenę.

Jeden jeszcze wzgląd, a może najważniejszy, przyczyniający się do zwabiania okrętów do Hilo, jest to że klimat w Hawai najzdrowszy na całym świecie, i że zbiegostwo, ten miecz Damoklesa, wiecznie zawieszony nad wojennymi okrętami, wcale się tam nie zdarza.

Nad rankiem ujrzelśmy wyspę *Maui* leżącą w północno-zachodniej stronie o siedmdziesiąt pięć mil od Hawai.

— Bardzoż panu pilno przyjechać?—zapytał mnie Nikkelson, skierowawszy lunetę na szczyt góry *Mołoko*i.

— Pilno jak każdemu, będącemu w drodze od dziesięciu miesięcy.

— To jest, że panu wszystko jedno być na morzu dobę dłużej lub krócej.— A więc dodał przyspieszając chód okrętu, — przypuśćmy żeśmy byli zagnani wiatrem, lub podchwyceni przez *burzę ciszy* i przybijamy do lądu w *Maui*. Dobra to moja znajoma.... chorowałem na niej pół roku podczas mojej ostatniej podróży.

Nie była to przecie jedyna przyczyna zmuszająca pocziwego, lecz wcale nieuczuciowego Nikkelsona do zatrzymania się przy *Maui*; miał on drugi powód, o którym sam mi powiedział: prawdziwym celem tego powtórnego popasu było zaopatrzenie się w kartofle lepsze, szczególnież zaś tańsze w *Maui* niż w *Oahu*.

Jak widzicie, Sandwickie wyspy i tak już bogate we wszystkie podzwrotnikowe płody ziemi, obfitują

jeszcze w płody północnej Ameryki i starej Europy. Tam po raz pierwszy od wyjazdu z Paryża, znajdujemy prawdziwe *kantalupy*, — i widzimy kwitnącą z całą siłą młodzieńczego wieku dobroczynną córę Parmentie'go (kartoflę).

*Logan* obróciwszy się przodem do *Lahainy* (portu w *Maui*), przy silnym wietrze płynął jakby dopędzając jaki ładny dwumasztownik, i dumnie przebył prąd dzielący dwie wyspy, zostawując *Hawai* z lewej, a przybliżając się do *Maui* z prawej strony.

Z obu stron widok był przepyszny, z jednej wejście biegło w górę za olbrzymiemi kształtami *Muna-Roy*, wybituemi na tle nieba — z drugiej, spoczywało na wesołych, zielonych równinach *Maui*.

O południu będąc o trzysta kilkadziesiąt sążni od lądu, mogliśmy już policzyć wszystkie nadbrzeżne drzewa i chaty, widzieć biegające na piasku dzieci, słyszeć ryk wołów i rżenie koni... to jest, że oprócz przyjemności płynienia morzem, doświadczyliśmy rozkoszy pobytu na wsi... Obrazy ciągle się zmieniały jak w *cykloramie*, gdzie przed zdziwionym wzrokiem widza przesuwają się na przemian to lasy, to rzeki, to amerykańskie pustynie, z tą tylko różnicą, że tu my posuwaliśmy się a złudzenie było rzeczywistością.

O trzeciej spostrzegliśmy z dziesiątek dużych okrętów, jak nasz płynących z wiatrem, i poznaliśmy w nich statki do połowu wielorybów, dążące do *Lahainy* zapewne z tego samego co my powodu. Gdziekolwiek na falach białe, podobne do zimorodków (rodzaj morskich ptaków) żagle, zapowiadały bliskość ożywionego i ważnego portu.

Wkrótce ujrzelśmy miasto *Lahaina*! ukazało się nam nagle, jak wspaniała królowa, otoczona jasnym światłem, siedząca na brzegu Oceanu. Przed nami dachy miejskie błyszczące od promieni słońca, uwydatniały się swoją czerwonością na ciemnym tle drzew otaczających domy. W głębi zatoki dwadzieścia dużych okrętów i tyleż dwumasztowych kołysało się na kotwicach, powiewając różnokolorowemi chorągwiami i ukazując wysmukłe, świeżo-pomalowane maszty. Na lewo ciągnęła się przepyszna dolina *Maui*, a na prawo wznosił się piaszczysty szczyt góry *Molokoi*... Niebo było okryte fantastycznemi obłokami, pochodzącemi ze zwrotnikowego światła; słońce zachodziło podobne do ognistej kuli... my zaś wpływaliliśmy majestatycznie na wszystkich rozwiniętych żaglach.

Upewniam panią że to był tak wspaniały widok o jakim ani jej wyobrażnia, ani dekoracye opery nie mogą dać jasnego wyobrażenia. Przyznaję, iż nie jestem w stanie wyrazić tego com czuł i widział, a choćbym miał na mojej palecie wszystkie kolory tęczy, zawsze nie byłbym w stanie wykonania tego obrazu, brakowałoby mu życia, harmonii i tej potężnej poezyi, którą Bóg piętnuje swe ulubione dzieła.

O piątej wiatr zmęczony jak klarncista po reprezentacyi *Proroka*, zostawił nas nagle własnym siłom; żagle zwisły na masztach, podobnie do obcistej niegdyś sukni na wychudłej starej pannie.

Lecz zaledwie *Logan* przyjął na się zbiednioną postać lisa pojmanego przez kurę, jaką zwykle nadaje cisza najdzielniejszym latawcom obu Oceanów, gdy



razem z nadbrzeżnego sitowia, jakby czarodziejską laską wysunęło się mnóstwo szalup i przybliżyło się do nas żeby wciągnąć okręt do portu. W pół godziny zapuszczaliśmy kotwicę na głębini dwudziestu sążni o 120 od brzegu, między jachtem *Kameha-Meha III.* a *Regular-Packet-Oahu.*

## II.

Patrząc z lądu, Lahaina jest śliczném miasteczkiem, podług mnie zbytecznie amerykańskiem, lecz zresztą bardzo oryginalnem, czystem i ożywionem.

Długa, prosta ulica z magazynami różnego rodzaju, zajezdne domy, kawiarnie, letnie pomieszkania na brzegu morza, obszerny kościół protestancki, fortyfikacya uzbrojona siedmdziesięciu działami, rezydencya królewska, prześliczne okolice, miłe spacerdy, choć nieco piaszczyste, wiecznie zielone równiny, drzewa na każdym kroku, strumienie przerzynające najmniejsze uliczki, oto nie w jednym, lecz w kilku słowach opisanie *Lahainy*, stolicy *Maui.*

Tu, jak w Hilo, główni urzędnicy są następujący: gubernator wyspy, komendant portu, poborca ceł, i sędzia pokoju; nie brak też żołnierzy i policyantów, lecz mają oni równie dobroduszne miny, jak ich koledzy w Hawai, i przy najlepszej chęci ciężko ich brać na seryo. Jest to jedno z nieszczęść ich rzemiosła, lecz doznają drugiego daleko przykrzejszego, to jest, że są bici przez siedm lub ośm tysięcy majtków corocznie wysiadających w *Lahainie.* Czyż i u nas bicie straży długi czas nie było w mo-

dzie?... i w gruncie nie pięknyż to zwyczaj? Lecz czy zły, czy dobry, zawsze jednak majtkowie odnowili go na korzyść hawajskiej policyi z dodatkiem wszystkich nowo-wynalezionych szturchańców.

Jak w Hilo, pierwszym mojem staraniem było wywieść się czy nie ma w *Lahainie* francuzów. Za całą odpowiedź wskazano mi trójkolorową chorągiew, powiewającą w końcu wybrzeża; pomyślałem z początku iż ta flaga należy do francuzkiego konsulatu, lecz stopniowo przybliżając się i poczuwszy odor przysmażonej cebuli, zacząłem się domyslać, że służy za szyld jakiemuś wygnanemu w te strony Watel'owi.

Zawczasu uczułem pociąg do tego pocziwca, który opuściwszy ojczyznę i to wszystko co czyni ją dla nas tak drogą, przybył tu warzyć strawę dla dzikich ludzi (mówię o majtkach amerykańskich), i który o sześć tysięcy mil od swej rodzinnej wioski dumnie wywieszał narodową chorągiew.

— Jest to, myślałem, — jeden z tych nieocenionych wysłańców, zapowiadających *Nowym Światem*, że stary jeszcze istnieje.

Jednak przybliżając się dodałem.

— Żeby to tylko nie była przynęta, i czy czasem flaga francuzka nie pokrywa amerykańskiej kuchni! Lecz w téj samej chwili postrzegłem szyld i przeczytałem: *Hotel francuzki, utrzymywany przez Wiktora Chancerel*.

Nie pozostała najmniejsza wątpliwość; nie mogłem się mylić, bo rzeczywiście wszystko było prawdziwie francuzkie.

Wszedłem więc z pewnością człowieka wiedzą-

cego dokąd idzie, i zrobiwszy kilka kroków w pierwszej stancyi, zapełnionej pijacemi, zwróciłem się zaraz do osoby z poczciwą twarzą, z wielkimi bakardami, rozpogodzoną na widok tylu gości.

Zgaduje pani, że tą osobą był sam pan Wiktor Chancerel, jak się tego domyślałem. Lecz cóż pani powiem? Oto, syu marnotrawny powróciwszy do ojca, nie był tak czule przyjęty przez szczęśliwego i rozrzewnionego rodzica, jak ja przez tego człowieka, dla którego przed chwilą byłem zwyczajną istotą, gościem jak inni; o! bo przybywałem z Francyi, byłem owiany jej powietrzem, obudziłem w nim wspomnienia o dalekiej ojczyźnie, dałem obszerne pole odświeżenia pamiętek młodości!

Proszę mnie nie posądzać o pisanie tu poezyi, bo piszę historję, ale historję serca ludzkiego.

W podobnych okolicznościach nowo-przybyły podróżny bywa często powodem żalów za przeszłością lub miłych przypomnień, zupełnie jak dyliżans ze stron rodzinnych, czy też dziennik ogłaszający zawarte związki małżeńskie w VIII. roku. Czyż nie to samo w miłości? Kto odważy się twierdzić że ten zmięty czepeczek, lub ten but wyczyszczony nie mogą wyrzucić rozmaitych wrażeń? Wiemyż co i dla czego kochamy?... Fojmujemyż dla czego czasem zgrabne słówko do łez nas pobudza, a prawdziwe nieszczęście do śmiechu?... Wszystko potrzebuje tylko powodu, bo w życiu wszystko jest powodem i we własnem sercu nosimy wszystkie cierpienia i wszystkie radości.... Lecz jakiegokolwiek jesteśmy, niech tylko dobry powód wskaże drogę, — wiesz zaś pani jak wyobraźnia, poprzedniczka serca łapczywie zań chwyta, i

pędzi z nim na wzór wolno puszczanego żrebca, — to wtedy i samo serce daje się uwieść złudzeniom i z kolei pada ofiarą. Jednem słowem, nie śmiejcie się jeśli wam powiem, że w obecności rodaka, i co więcej, z tych samych stron, mój kucharz w *Lahainie* rozczulił się ni mniej ni więcej, jak tkliwa Markiza.

W tej chwili ujrzał on w myśli swoją wieś, swój dach słomiany, starego ojca poważnie palącego lulkę, proboszcza i malców, z któremi wykradał jabłka; popełniając rzecz zabronioną prawem, lecz zupełnie niewinną, jeśli się cofnę do moich i czytelnika wspomnień. Czegoż to on nie widział, i czegoż nie widzimy rzeczywiście zagłębiwszy się w przeszłość?... W jednej chwili wypadki całego życia okazują się zgromadzone w jasnym świetle, rażą oczy jak sztuczne ognie, ożywione na moment i zaraz gasnące.

Ale już kończę, by nie wpaść na rymy, gdyż dzisiaj wierszy wcale nie lubią.

## LII.

Zawsze jednak stosując do *rymów*, ja i mój rodak, stuknąwszy dla *rymu* dwa kieliszki wódki, (proszę mi wybaczyć tę grę słów) rozmawialiśmy naprzód o Francyi, francuzach, nawet i francuzkach, a przepędziwszy tak pierwsze chwile, pomyśleliśmy i o tem żeby się posilić... co dało mojemu rodakowi sposobność okazania swoich kucharskich zdolności.

*Hotel Francuzki* był wówczas wielkim budynkiem, podzielonym na trzy oddziały. Pierwszym był front

samo przez się wychodzący na ulicę. Wchodziło się prosto z podwórza do pewnego rodzaju bazaru, który stanowił zarazem i kawiarnię i plac targowy; sieni nie było żadnych, gdyż je wygnano ze wszystkich nowoczesnych budowli, zupełnie tak samo jak przedmowy z książek; wiek nasz żyjąc zbyt prędko nie ma czasu zatrzymywać się na wstępie, lecz od razu przystępuje do rzeczy. Wchodziło się więc z podwórza do długiego z błękitnem obiciem pokoju, będącego i szynkownią i miejscem targu. Z jednej strony ustawione rzędem stały butelki z winem i innemi trunkami, z drugiej wisały meksykańskie siodła, zwoje perkalów, Chilijskie *ponchos*, kapelusze z Panamy, Chińskie spodnie, a kanak siedzący poważnie za kantorem nalewał i kieliszek likieru i mierzył łokciowe towary. Był to rodzaj *olla-podridy* czy też *pot-pourri*, gdzie się pomieszały wszystkie wyroby i wszystkie narodowości, jednak nie brakowało temu oryginalności.

Druga część domu od strony dziedzińca wychodziła na morze i stanowiła hotel w ścisłym znaczeniu. Na dole była sala jadalna, a na pierwszym piętrze pokoje dla podróżnych.

Część trzecia również zajmująca, choć bardziej pospolita: składała się z kuchni, piekarni i różnych pomieszczeń dla dwónożnych i czworonożnych zwierząt, oddawanych codziennie na ofiarę niemiłosierdnemu apetytowi panów marynarzy.

Wiktor Chancerel z prawdziwą przyjemnością pokazywał mi wszystko, zaczawszy od klatek z kurami, aż do kuchennych sprzętów, i tłumaczył sposób hodowania kotów dla robienia z nich potrawki z kró-



lików. Będąc w swoim żywiole i panując pomiędzy pieczurami jak bóstwo na Olimpie, nie chciał stracić tak dobrej sposobności *pogadania o sztuce*. Musiałem się więc uzbroić w filozofję i w męztwo, jak na akademickiem posiedzeniu i nie zmrużywszy oka, połknąć ze sto potraw, potrawek, pieczyst, bulonów, rosółów, etc., o których pani nie wspomnę, będąc przekonanym że masz doskonałego kucharza.

Trzebaż przyznać, iż ta kuchenna rozmowa była bardziej zajmującą niż rozmowy prowadzone w salonach wielkich bankierów?... a zresztą będąc zmuszonym znosić to lub owo, lepszem było to niż co innego.

Z kucharzami to samo zdarza się co z poetami i z ludźmi stanu.... Kiedy raz wezmą w łapy nie dają ci ani jednego sonetu, ani ziarnka pieprzu, ani protokołu; lecz umizgając się kilka razy w życiu do ślicznej żony nudnego deputowanego, rymoklety lub kaszowara, będziecie zahartowani na te małe przykrości..... Nie prawdaż, że takie i twoje zdanie kochany czytelniku?

Oprowadziwszy po całym domu, Chancerel dał mi obiad, podczas którego zapomniałem się na chwilę, myśląc, że jestem w Paryżu. Po obiedzie siedliśmy na konie i wyruszyliśmy na pola. Zawsze ta sama dziewicza natura, ten daleki szum morskiej fali, obszerne łąny, na horyzoncie góry sięgające niebios, to jest: Wszechmocność boska objawiająca się ogro mem i nieskończonością.

Była już noc gdyśmy wrócili do miasta, a cisza wespół z księżycem przyczyniała się do utworzenia z *Lahainy* czarodziejskiego widoku, obcego naszej

nowoczesnej ludności i naszym kwadratowym, ciężkim zabudowaniom.

Te dachy pokryte błyszczącą dachówką, te słomą kryte chaty, te lekkie z drzewa kolumnady, galerie w zieleni i zatoka z okrętami podobnemi do wodnych duchów drzemających na uśpionej fali, miały w sobie coś tak mglistego i niepewnego, że tworzyły prawdziwie czarodziejski widok; było to coś nieokreślonego, coś jakby nawieszonego między niebem i ziemią, jakby snem, nadprzyrodzoną mocą zmienionym w rzeczywistość.

Zaledwieśmy wjeżdżając ominęli kilka domów, gdy nagle krzyk *nocnych stróżów* ściągnął nas na ziemię; są oni i na wyspach Sandwickich; jednak krzyk ten był tak łagodny i żałosny, że także usposabiał do marzenia.... Przytem ubior stróżów odpowiadał zupełnie ich krzykowi: spodnie, kurtka, kapelusz, *poncho*, wszystko białe; a widząc tych ludzi przesuwających się cicho pomiędzy drzewami, wziąć można było za widma, gdy głos ich zdawał się jękiem pokutującej duszy.

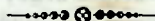
Sam Chancerel chociaż przesycony tem wszystkiem co mię zachwycało, i zamyślony o sosie z którym miał jutro wystąpić, zawołał nagle:

— Do licha! wszak zdaje się że to czary!

Możnaż coś więcej przytoczyć na dowód cudowności i wspaniałości widoku, który miałem przed oczyma?

Następny dzień poświęciłem na dokładne obejrzenie miasta i jego okolic; lecz mając szczególnie zamiar poznamienia pani z *Honolulu*, stolicą wysp Sandwicz, głównem miejscem gdzie ciekawe obyczaje,

zwyczaje, cywilizacya i bogactwo kraju, łatwiej dają się uchwycić w całości, śmiem prosić o pozwolenie wstąpienia znowu na pokład *Loganu* i rozpuszczenia żagli raz jeszcze. Będzie to przynajmniej na jakiś czas... po raz ostatni.



## ROZDZIAŁ XXII.

Wyjazd z Maui. — Wyprzedzamy statki hawajskie, które potem nas wyprzedzają. — Rozpacz kapitana Nikkelsona. — Sternik. — Rozbicie się w porcie. — Cypel Dya-  
mentu. — Widok Honolulu z morza. — Dolina Nu-a-nu. —  
Aleje z kokosowych drzew. — Autor zaprasza czytelnika  
do siebie na popas. — Trochę historyi — Kameha-  
Meha I. nazwany Wielkim. — Zakłada monarchyę. —  
Dzień Pari. — Francuz przyczynia się do zasiania na  
wyspach Sandwicz pierwszych nasion cywilizacyi. — Prędkie  
postęp. — Lio-Lio wstępuje na tron po Kameha-  
Meha I. — Przyjmuje na się posłannictwo cywilizatora  
przekazane mu przez ojca. — Znosi Tabu. — Jego  
śmierć w Londynie.

### LIII.

O godzinie dziewiątej wieczorem wypłynęliśmy  
jednocześnie z dwumasztownikami hawajskimi *Ka-  
meha-Meha* i *Oahu*, przewożącemi z wyspy do wy-  
spy różne produkty i podróżnych. W przejściu po-

między *Maui* i *Molokoi*, odległych od siebie na milę, przy silnym, pomyślnym, północnym wietrze, który aż zmusił nas zwinąć górne żagle, wyprzedziliśmy statki jego królewskiej Hawajskiej mości, lecz gdy o piątej rano, zmieniwszy kierunek, wiatr zaczął słabnąć, wtedy z kolei statki owe rozwinęły wszystkie żagle dla pośpiechu.

Z początku widzieliśmy na horyzoncie punkt biały, potem ten punkt przybliżał się coraz prędzej, i gdy walcząc z przeciwnym wiatrem, nie mogliśmy się posunąć nawet na długość okrętu, *Kameha-Mehu* i *Oahu* rozkosznie toczyły się z fali na falę, z prędkością strzały, wypuszczonej z luku silnem ramieniem.

Trudno sobie wyobrazić coś piękniejszego od tych śmiałych, delikatnych okrętów, na pół leżących na fali, ukazujących od czasu do czasu swój przód ozdobiony mosiądzem, jak piękna i młoda kobieta ukazuje wybranemu kochankowi swe skarby dla innych ukryte. Najdoskonalszy śpiewak romansów i najlepiej wyrażone wyznanie miłości wydadzą się przytém ekliwością... małostką, jak człowiek umieszczony na wierzchołku kolumny *Vendôme*. Jakkolwiek bądź, ale zwyciężone wczoraj statki były teraz naszymi zwycięzcami.... co się często zdarza nie tylko na morzu lub na polu bitwy, ale i gdzieindziej.

O ósmej godzinie *Kameha-Mehu* i *Oahu* z wywieszonymi flagami idąc bystro przeciw wiatru, ominęły nas jeden z przodu, drugi z tyłu. O dziewiątej zlitował się wreszcie Eol nad zrozpaczonym amerykańcem i wydał żagle *Logana* swém opiekuńczém tchnieniem. Odtąd pocziwy Nikkelson nie posiadał

się z radości, bo Honolulu było w młodzieńczych latach ulubionem jego miastem i każdą razą płynąc po Oceanie Spokojnym zbaczał z drogi o pięćset mil dla odwiedzenia swej dawnej kochanki. Urządziwszy żagle i nakierowawszy okręt, udał się prędko do kajuty, a po chwili ukazał się na pokładzie rozpromieniony i świetny jak gwiazda.

Miał na sobie błękitny lustrynowy surdut, białe spodnie, swiatłą w kwiaty kamizelkę, muslinową chustkę na szyi i białe pończochy, przytem trzewiki z klamrami, breloki i starożytny kapelusz.... jednym słowem, brakowało mu tylko harbejtla.

W chwili ukazania się Nikkelsona w całej jego świetności i blasku, niebo się rozpogodziło, wiatr ucichł i ustało kołysanie się okrętu. Za nami z prawej strony znikająca w dali *Maui*... a z przodu wznosiła się *Oahu*.

Przybywając z pierwszej z tych wysp do drugiej, znajdujemy ją mniej powabną. W porównaniu do dziewiczych lasów *Hawaii* i do łąk *Maui* bardzo ubogą ma powierzchność. Kamienie nagie i czarne, ziemia sucha i nieurodzajna.... lecz to trwa tylko chwilę podczas opływania cyplu ziemi nazwanego Dyamentem, bo potem niespodzianie odkrywa się najwspanialszy widok.

Spostrzegliśmy rozległą i świetną dolinę: na prawo ciągną się ze trzy mile po za morzem, począwszy od miasta aż do Dyamentu, aleje z drzew kokosowych, z pomiędzy których wyglądają chaty i letnie pomieszkania; na lewo pagórek pokryty drzewami, uwydatniający białość rozłożonego u jego stop miasta. Wszystkiego było po trosze w tym krajobrazie,



a dolina zchodząca do morza przypominała najwyraźniej pochyłościę gór w okolicach Lijonu.

Co do samego miasta, te będąc zakryte lasem masztów, wydaje się z morza jakimś znakomitym portem europejskim lub amerykańskim.

O drugiej godzinie wezwaliśmy sternika i wkrótce ujrzelśmy go na naszym pokładzie: była to niska, pękata postać z rozweselonem, rumianem obliczem i wypukłemi oczyma. Patrząc na nią łatwo domyśliliśmy się że musi należeć do jednego z licznych w Honolulu *towarzystw wstrzemięźliwości*; sternik bowiem był śmiertelnie pijany; zaledwie objął dowództwo Loganu, zaraz wjechaliśmy na pokład Korali przy wejściu do zatoki i męczyliśmy się na nim ze dwie godziny, mogąc nawet doznać w porcie rozbicia okrętu.... co trzeba przyznać, byłoby nadto śmiesznem. Pod wieczór banda kanaków musiała nas holować za pomocą sznurów uwiązanych do masztów.

Zaiste, był to nieszczęśliwy okręt! Nazajutrz spotkałem Nikkelsosa na wybrzeżu, lecz nieszczęście nie zdołało go przygnieść! Miał na sobie ten sam co wczoraj błękitny, lustrynowy surdut, te same spodnie, białe pończochy, trzewiki z klamrami i kamzelkę w kwiaty, jedną rzecz tylko dodał do tego stroju... parasol.

#### LIV.

W pośród obszernego ogrodu, otoczony do koła drzewami stoi biały domek z zielonemi okienicami, podobny do Willi w Boulogne lub w Auteuil. Bu-

dynek ten ma tylko jedno piętro, kwadratowy, pokryty dachówką, z drewnianymi wschodami prowadzącymi na podwójną galeryę, dającą mu pozor szwajcarskiego domku.

Wschody, galerye, dach i okna okryte powojem i inuemi wijącemi się roślinami. Do ganku prowadzi wysypana piaskiem aleja. Naokoło domu aż do płotu ciągnie się łąka usiana polnemi kwiatami. W dolnej części budynku znajduje się duży pokój z wyrzynanemi z drzewa ozdobami; ma on sześć okien ze sztorami, i są w nim cztery krzesła obite włosianą materją, kanapa z drylichowym materacem, słomiany *hamak*, fotel, bufet i stół do pisania.

W tym pokoju mieszka autor tej książki. Uczynił mu pani łaskę wyobrażenia sobie na chwilę, żeście z sobą w przyjaźni, że palisz u niego doskonałą *manillę*, żeście oboje na pół zamyśleni, że on opowiada od niechcenia, a pani słuchasz niedbale.

O tę tylko jedną proszę dla niego łaskę; lecz się pani oburzysz i powiesz że zawiele wymagam.

Dobrze! niech i tak będzie — ma pani słuszość.... Wyznaję, iż nadużywam jej dobroci, okazanej mi wstąpieniem ze mną na okręt... lecz upewniam że już blizki koniec. Trochę cierpliwości... kilka dni spoczynku, a obiecuję pani odwiedzić ją do Francyi przy najpomyślniejszym wietrze. Wysadzę w Kale na ląd stały w najlepszym zdrowiu i dość ci będzie sześciu godzin drogi koleją żelazną, żeby zapomnieć o tej długiej podróży i o tym co cię do niej zmusił, — jak równie, żeby przybywszy na operę zrobić silne wrażenie pomiędzy widzami, wracając do Pa-

ryża świeższą i piękniejszą niż kiedykolwiek. Nie  
prawdaż?

## LV.

Nie zaczynając od potopu na wzór adwokatów, szczególnie nie popełniając historyi wysp Sandwichich, obszernie wypisanej w *Podróży na około świata*, redagowanej przez Dumont-d'Urvill'a, wypada jednak przypomnieć czem były te wyspy na początku dzisiejszego stulecia, żeby mózdz podziwiać z jakim rozwojem umysłowym i jak prędko, bo w przeciągu pięćdziesięciu lat niespełna, ten mały kraj potrafił stanąć na stopniu terazniejszej swej cywilizacyi.

Długi czas jeszcze po odkryciu Kooka, na wyspach Hawajskich nie było żadnego śladu cywilizacyi; kilka chat gdzieś tam rozrzuconych na brzegach morza, i ze sto łodzi stanowiło całe bogactwo i przepych tamiecznych mieszkańców. Lecz czy byli szczęśliwsi wóczas ze swoją niewiadomością, czy są dzisiaj z terazniejszą oświatą? trudno na to stanowczo odpowiedzieć, gdyż szczęście nie to samo co kawa lub cukier, których wartość zawsze się daje ocenić; można jednak wyznać, że krajowcy wiele zyskali w terazniejszym stanie rzeczy, a nie stracili tego co dawniej w nich było dobrém; wnoszę ztąd iż ich byt materyalny lepszy i że dziś szczęśliwsi niż dawniej. Dla usprawiedliwienia mojego zdania dość mi powiedzieć, że kanak najbardziej nie lubiący wojny, jej trudów i niebezpieczeństw, dziś cieszy się pokojem, gdy kiedyś z przyczyny podziału

wysp na małe państwa musiał ciągle stawać w obronie sprawy swojego panującego, lub służyć za narzędzie jego dumy.

*Kameha-Meha I.*, założyciel Hawajskiego królestwa, nazwany Wielkim, powziął myśl uczynienia wszystkich wysp zależnemi od jednego miasta. Miasto to składające się wówczas z kilkunastu chat i położone na dolinie *Nu-a-nu*, nazywało się *Honoruru*, z czego potem zrobiono *Honolulu*.

Dla dopięcia jednakowych celów używają się te same środki, więc i *Kameha-Meha I.* był rzeczywiście Ludwikiem XI. wysp Hawajskich, lecz także i Henrykiem IV. — przytaczają wiele jego postępów i czynów wojennych, którychby się *dobry król* nie zaparł. Nie cała mu jednak sława dostała się wyłącznie, gdyż i wrogowie jego mieli swoje *Termopile*. . . . Zaręczają, że nieprzyjaciele *Kameha-Mehi Igo* zapędzeni przez jego wojsko na brzeg *Pari*, przepaści głębokiej trzysta łokci, woleli wpaść do niej niż się poddać.

Jeżeli to prawda,—jak twierdzą kroniki,—w takim razie w cóż się obraca owo słynne wyrażenie *Kambrona*?

Opanowawszy z kolei wszystkie wyspy należące do archipelagu i rozmaite państwa na które się one dzieliły, *Kameha-Meha I.* zajął się ugruntowaniem swej władzy za pośrednictwem rozumnego i zręcznego prawodawstwa.

Przypadkiem w tym właśnie czasie przybyło do niego dwóch morskich wygów, szukających fortuny, którzy dopomogli mu w przedsięwzięciach; jeden z tych awanturników był francuz, drugi amerykańczyk. Do nas więc w połowie należy sława posta-

wienia na nogi tego kraju, zaledwie uwolnionego z pieluchów.

Dzięki kilku rybackim statkom przywykającym powoli zatrzymywać się przy wyspach, i prowadzić z nimi mały handel, jak równie z przyczyny innych okrętów, którym od czasu do czasu sprzedawano żywność za błąhą cenę, pieniądze zaczęły się pokazywać w Honolulu, a z nimi czegoż nie można dokazać nawet pomiędzy barbarzyńcami? Pomyślano najprzód o uczynieniu portu przystępniejszym, o zaopatrzaniu miasta w żywność sprowadzając ją ze wszystkich stron wyspy, potem wybudowano kilka dużych i wygodnych chat, w których majtkowie znaleźli schronienie, wreszcie gdy już okręty zaczęły uczęszczać do Honolulu, postanowiono od nich opłatę. Z początku była ona bardzo mała, służyła jednak za skazówkę nadal i wspierała ubogie dochody państwa. Lecz nie mam zamiaru przypatrywania się pierwszym probom, pierwszym krokom tego narodu, ani nawet jego prędkiemu postępowi; dziś, już to człowiek dojrzały, ja zaś chciałem tylko wykazać że jeszcze wczoraj był dzieckiem.

Po *Kameha-Meha I-ym* wstąpił na tron *Lio-Lio* albo *Kameha-Meha II*. Przy dokonanych już wielu rzeczach i przy nadanym raz krajowi kierunku, sfera działania nowego monarchy nie była zbyt obszerna. Trzeba jednak przyznać, że *Lio-Lio* zasługuje na wdzięczność za popieranie sprawy cywilizacyi, przekazanej mu przez umierającego ojca *Kameha-Mehę I*. Nie będąc z natury skłonny do złego mógł być obojętnym na dobro, lecz nie był nim, widziano go zawsze chętnie udającego się do środków mających



na celu zbliżenie wysp z cudzoziemcami ułatwiającymi drogę postępu. Lecz chcąc bardziej jeszcze wstawić swoje panowanie *Lio-Lio*, postanowił znieść *tabu*! Był to jego dzień *Pari*, jego *ośmnasty brumera*!

Zaprosił na wielką ucztę wszystkich wodzów i wszystkie znaczniejsze osoby; w naznaczonej porze kazał rozłożyć wielki stos, a obracając się do swoich gości i do ludu zawołał:

Jeżeli wasi bogowie mają prawo stanowienia *tabu* (rzeczy świętej, nietykalnej) to i sami muszą być *tabu*; jeżeli są *tabu* niepodobna żebyśmy mogli im jakie zło wyrządzić. Przekonamy się czy to prawda.

Tak powiedziawszy, kazał wszystkich małych bożków wrzucić na stos, które będąc po prostu kawałkami suchego drzewa, spłonęły w jednej chwili.... a że się nic złego nie stało, *tabu* zniesione wprzód przez prawo, wyszło prędko i ze zwyczaju, bo przy pomocy zdrowego rozsądku i światła nauki chrześcijańskiej, łatwo pojęto iż tylko osobisty interes arcy-kapłana był powodem tego srogiego i niedorzecznego zwyczaju.

Odtąd wszystko szło naprzód olbrzymimi krokami i kiedy *Lio-Lio* umarł w Londynie nie wyprosiwszy posłuchania u Jerzego IV, już wyspy Sandwickie posiadały małą nadbrzeżną marynarkę. składy żywności dla amerykańskich statków do połowu wielorybów i dosyć przyzwoitą królewską rezydencję.

Oto co w przeciągu dwudziestu lat dokazało czterech wytrwałych ludzi. Badając, ile do wykończe-

nia tego zarysu przyczyniły się późniejsze wypadki, duch przedsiębiorstwa i nadewszystko duch handlu przewodniczący naszemu stóleciu, znajdziemy że choć środki różne, skutek ludzkiej działalności zawsze jeden, a tym skutkiem postęp.



## ROZDZIAŁ XXIII.

Archipelag Hawajski. — Wyspy do niego należące. — Honolulu stolica państwa. — Port. — Wybrzeże. — Komora celna. — Pałac. — Kościoły. — Domy prywatne. — Sprzecznosc. — Król. Ministrowie. — P. Wyllie. — Doktor Judd. — P. Armstrong. — Dom Rządowy. — Polynesian-office. — Wydawnictwo na wyspach Sandwicz. — Wojsko. — Marynarka. — Pauszczyzna. — Lista cywilna. — Budżet. — Dochody. — Upiększenia. — Korzyści z wyspy Oahu dla kapitanów okrętowych. — Teatr, cyrk i bowling-allej. — Trochę filozofii nie będącej nią wcale. — Autor wzywa czytelnika na konną przejażdżkę.

### LVI.

**W** IADOMO wszystkim że archipelag Hawajski składa się z wysp:

Oahu ze stolicą Honolulu

Hawai ze stolicą Hilo albo *Karakakua*, gdzie był zabity kapitan Kook.

Maui ze stolicą Lahaina,—przy tém z wysp *Atoi*, *Molokotoi* i *Ranai* wyłącznie zamieszkanych przez krajowców, z kilką miasteczkami i wsiami nie zuaczącemi.

Mylę się mówiąc: *wiadomo wszystkim*. Bo czyż wiadomo pani? nie, ani pani, ani jój mężowi ani jój ślicznym dziatkom, ani ich zacnemu nauczycielowi, ani jój spowiednikowi, ani modystce ani odźwierzemu, ani nikomu z tych wszystkich, którzy mają szczęście być blisko ciebie pani.

Lecz czy powinni wszyscy o tém wiedzieć? to już wcale inne pytanie. Jeżeli córka pani na podobieństwo cokolwiek czytanej amerykańskiej panny, bez zająknienia wypowie, że archipelag hawajski leży pod 157° 161' długości zachodniej, a pod 17° 23' szerokości północnej, albo że miasto Poynagar w Hindustanie, w Księżtwie Sindhy znajduje się o 104 kilometry na południu-wschód od Hajderabadu, wtedy nie wiem czy my wiele na tém zyszczem, ale zato wiem ile ona straci....

Nie wdając się w zbyteczne detale na wzór amerykańków, powinniśmy się jednak czasami okazać więcej świadomymi rzeczy istotnie kraj nasz obchodzących: bo gdy jeden z naszych wybornych pisarzy rzucił zabawne, lecz oczywiście nie szczere zapytanie: czy Chiny rzeczywiście istnieją? w tym samym roku Anglija i Ameryka wysyłały do Hong-Kong pięćset okrętów.

Niech pani zauważa że na tym świecie wszystko się z sobą wiąże, polityka, handel, sztuki a nawet miłość. Kiedy idzie o zachowanie w całości tej starej sieci nazwanej społecznością, to jest o wspólne życie, o jego warunki, o nie spuszczenie najmniej-

szego oczka, o nie zerwanie najdelikatniejszej nici.... wypada wtedy czytając Lamartina, niezapominać i o mojej legendzie. Tu znajdziesz mię pani niedorzecznym, i słusznie: — kto wiele chce dowieść nic niedowiedzie!

Zawsze jednak wyspy *Oahu*, *Hawai*, *Maui* i *Atoi* tworzą jeden z najznacniejszych archipelagów Polinezii, którego stolicą jest Honolulu.

Miasto to nie mogłoby się nazwać Małym Paryżem, jak większa część stolic całego świata, niema pretensii być czem innem jak tem czem jest w istocie i z tego właśnie powodu prawdziwie piękne.

Wyobraźcie sobie miasto liczące piętnaście tysięcy mieszkańców położone na rozległej płaszczynie, któraby u nas wystarczyła na pomieszczenie stu tysięcy ludności.

W porcie podobnym do wielkiego kanału z przezroczystą wodą, uspioną na dnie z koralu, wypoczywa po trudach podróży ze trzysta okrętów przybyłych z różnych części świata. Tu, daje się widzieć gwiazdzista flaga Stanów-Zjednoczonych, lub trójkolorowa francuzka chorągiew, dumnie powiewająca na statkach zwiedzających japońskie morza; tam kotyszą się na kotwicach wielkie angielskie kippery, dalej błyszczące działa wojenych okrętów, wreszcie przywiązane linami do brzegu nowo-przybyłe lub ładujące się statki; a wszędzie mnóstwo brygów i rozmaitego rodzaju okrętów kupieckich.

Na wybrzeżu, gdzie panuje ten zadziwiający ruch, tylko portom właściwy, wznosi się komora celna z koralu i ciosowego kamienia, u drzwi której, po półrocznej podróży, wszystkie przybyłe statki składają

haracz; w pośrodku miasta spostrzegamy pałac *Kameha-Mehi III-go*, a trochę dalej francuzką katedrę; potem idą kościoły protestanckie ze swem zimnem piętnem purytanizmu, lecz imponujące ogromem, — domy konsulów, budynki rządowe, twierdza, nareszcie mnóstwo domów prywatnych bogatych, pięknych i oryginalnych. Oto Honolulu!

Coby powiedział kapitan Kook, żeby odżywszy na chwilę mógł się przejść po tém ślicznem i ruchawem mieście, które przed sześćdziesięciu laty było pustem, rozległóm wybrzeżem. Lecz doprawdy! cóżby powiedzieli wszyscy zmarli w 93 r., żeby im pozwolono wrócić do nas z tamtego świata, i czegożbyśmy sami nie ujrzeni i nie powiedzieli żeby można było powtórnie zbijać paryzkie bruki w 1954 roku.

Niech sobie co chcą mówią, a świat ciągle idzie na przód.... prawdziwy żyd wieczny tułacz!

Honolulu jest istotnie pięknem miastem, w którego murach znajduje się i wschodni przepych, i angielski *konfort* i francuzka wykwintność i najpiękniejsze chińskie *chińszczyzny*.

Szczęśliwy kraj! Chodząc po tych dziewiczych puszczach, po tych przepysznych dolinach, po tych zachwycających ogrodach, zdaje się nam, że śnimy o pierwszych cudach stworzenia świata, gdy nagle budzi nas głos bębnow i palnej broni, znajdujemy się w *café de Paris* lub na *perspektywie*. Z jednej strony widzimy kanaka dawnej daty, zającącego *poi* na progu chaty pokrytej palmowemi liśćmi, z drugiej witamy eleganta w lakierowanych butach, lub amazonkę w okrągłym kapeluszu. Ma to w sobie przyprowadzającą do rozpacz prozę i zarazem niepo-



równaną poezję, lecz szczególnie odznacza się żywą, niepospolitą prześliczną oryginalnością.

## LVII.

Oddając każdemu co się należy, trzeba wspomnieć o Jego Królewskiej hawajskiej Mości i o jego rządzie.

Imię króla *Kameha-Mehi III-go*, nie znajduje się w *Almanachu-Gotha*, chociaż ten monarcha swoją władzą, swoją dobrą miną i bystrością umysłu nie ustępuje wielu naszym koronowanym głowom; ale *Almanach-Gotha* wzięłby *Kameha-Mehę III-go* za jakiegoś *Suluka*, co byłoby największym błędem. Syn *Lio-Lio*, albo *Rio-Rio* ma lat trzydzieście pięć, średniego wzrostu, lecz dobrze zbudowany, z twarzą nadzwyczaj łagodną i z powierzchownością pełną prostoty i godności. Nie posiada wykształcenia w ścisłym znaczeniu słowa, szczególnie jeżeli porównamy jego naukę z nauką każdego z naszych adwokatów, ale ma o wszystkim ogólne pojęcie, co już wiele znaczy, gdy przypomnimy sobie, że na wszystkich wyspach Sandwickich jeszcze przed pół wiekiem istniało *tabu* w całej swej sile i inne przesady wynikające z bałwochwalstwa. *Kameha-Meha III*, umie wcale nie źle po angielsku, rozumie język francuzki i hiszpański, i pisze bardzo dobrze swym rodowitym językiem; posiada arytmetykę i geometrję, zna naszą historję polityczną ostatnich sześćdziesięciu lat, geografję umie na palcach, i powie lepiej ode mnie gdzie leży księstwo *Lippe-Detmold*, i jakie jego monarcha ma znaczenie na sejmie niemieckim.

Jako król *Kameha-Meha III* rozumny, stałego charakteru i sprawiedliwy. Naród go uwielbia; on też kocha lud swój i z tego powodu wszystko idzie jak najlepiej. Podobny do ojca otoczonego dziećmi; nieraz można widzieć Jego Królewską Mość przechadzającą się samotnie po wsiach, albo zatrzymującą się na rynku dla pomówienia ze sprzedającymi banany lub rybę. W podobnych zdarzeniach król i człowiek z ludu rozmawiają z sobą o swoich interesach jak żeby byli przyjaciółmi od dzieciństwa. Kupiec rozpytuje się o królowę, o zamiary dworu, o stan finansów, król dowiaduje się jak mają się dzieci, krewni i powinowaci kupca, bo *Kameha-Meha III*, jest wcieloną statystyką, zna każdego ze swoich poddanych i mógłby ich nazwać po imieniu. Prawda że ludność państwa nie przewyższa pół miliona mieszkańców, lecz wielu to książąt w Europie, mających daleko mniej poddanych, nie wie jak nazwać swego krawca lub szewca, czy *Piotrem*, czy *Stanisławem*, czy *Pietr'em*, czy *Wilhelmem*, lub *Wiljamsem*. Gdy dodam, że *Kameha-Meha*, jest najlepszym jeźdźcem na całej wyspie i odważnym marynarzem, pojmiecie dla czego pozyskał miłość poddanych, to tak rzadkie szczęście panujących.

W pełnym mundurze wygląda jak prawdziwy monarcha, mając całą jego wspaniałość i godność; w odzieniu cywilnem postać jego pełna elegancji i dobrego smaku. Oto ubiór, w którym go zawsze można spotkać: surdut, spodnie i kamizelka z białej chińskiej jedwabnej materii, bielizna i obuwie paryskie, na szyi zamiast chustki tylko czarna morowa wstążka, na głowie kapelusik ze słomy panamskiej, kosztu-

jący od tysiąca do tysiąca 200-tu franków, i on to stanowi jedyny zbytkowy przedmiot ubioru.

Król jest na czele władzy; forma rządu monarchiczno-konstytucyjna, z dwiema obradującymi izbami. Administracja dziwnie uproszczona: składa się z czterech ministrów, zajmujących się wszystkimi sprawami, a rzeczywiście—tylko z trzech, bo Jego Królewska Wysokość, będąc pierwszym ministrem spraw wewnętrznych, oraz prezydentem rady-państwa, niema portfelu.

Pan Wyllie, irlandczyk, jest tytularnym ministrem *spraw zagranicznych*, lecz *wojna* i *marynarka* należą do jego departamentu; człowiek to dziwnie czynny, bystry, łagodny i surowych obyczajów.

Minister *finansów*, sprawujący zarazem obowiązek ministra *spraw wewnętrznych* i do tego zawiadujący *robotami publicznymi* i *handlem*, doktor Judd, jest rodem z Ameryki północnej, protestant i jako człowiek prywatny wcale nieprzyjemny (czem przypomina wielu swoich rodaków), lecz bardzo biegły finansista. Jego kolega, ex-missionarz amerykański P. Armstrong rządzi jednocześnie departamentami *narodowego oświecenia*, *sprawiedliwości* i *wyznań*, zdaje się że jest i Biskupem, ale ze wszystkich ministrów najmniej światły i najmniej lubiony.

Jak widać z tego, mechanizm rządowy o ile można uproszczony.

Ministrowie nie mają rządowego mieszkania, mieszczą się gdzie mogą, jak prywatni ludzie. Doktor Judd i P. Wyllie przebywają na wsi w bardzo ślicznej posiadłości, a P. Armstrong w mieście pomiędzy swymi owieczkami.

Choć nie zamieszkane przez ministrów, ministerstwa są jednak zgromadzone w jednym ładnym pałacyku, dobrze zbudowanym i wygodnym nazywającym się: *Rządem*.

Na dole wspólny recepcjonalny salon, na górze ministerjalne bióra. Drugie piętro zajęte przez urzędników różnego stopnia załatwiających bieżące sprawy. Dwa małe, przyległe zabudowania uzupełniają *Rząd*. W pierwszym z nich mieszka urzędnik w rodzaju Lorda-mera, posiadający bardzo rozległą policyjną władzę; w drugim znajduje się *Polynesian-office*.

*Polynesian-office* wydaje dziennik urzędowy pod tytułem *the Polynesian* w formie *Journal des Debats*, przytem ogłasza różne urzędowe dokumenta, traktaty, prawa, dekrety i rozkazy, wreszcie od czasu do czasu dzieła polityczne, lub specjalne naukowe. Tamże wychodzi pismo urzędowe w języku kanackim, redagowane przez doktora Judd i dziennik religijny *the Friend*, pod wpływem ministra narodowego oświecenia.

Oto co się tyczy wydawnictwa ministerjalnego, lecz było jakiś czas i pismo opozycyjne *the Sandwich Island News*, które musiało upaść gdy mu nie stało pieniędzy i prenumeratorów.... walka się przerwała z braku walczących.

Missjonarze francuzcy, mający także drukarnię, probowali ogłaszać dzieła katolickie, lecz wkrótce zaniechali tego rodzaju nauczania, przekonawszy się że żywe słowo i przykład, lepszy wpływ wywierają; przytem i dziennik *the Friend* zapewne pod pozorem prawowierności, tak zaczął nastawać na pismo ka-

toliekie, że to musiało opuścić plac bitwy.... i tu walka ustała z wyżej wspomnianej przyczyny.

Rząd hawajski wynagrodził potomków zwyciężonych wodzów, dając im bogate mundury, które oni umieją wybornie nosić i czyniąc ich gubernatorami wysp albo obwodów z pensją wynoszącą trzy, cztery, pięć do sześciu tysięcy franków, nie licząc innych kosztów i mieszkania. Ci gubernatorowie są gatunkiem królików dla swoich podwładnych, lecz bardzo niewiele znaczą względnie do wyższych urzędników.

Wojsko składa się z dwóch tysięcy ludzi, i liczy od dwieslu do trzystu mniej więcej płatnych oficerów; lecz w czasie wojennym każdy kanak staje się żołnierzem i w tym celu ma ciągle u siebie mundur i strzelbę.

Marynarki wojennej niema tu właściwie, choć są trzy uzbrojone okręty (przeznaczone na usługi króla, lub dla przewożenia listów i pakietów pocztowych), a przy nich *komandor* z wyznaczoną pensją i z góry pozajmowane inne morskie urzęda. Wrazie gdyby rząd przedsięwziął jaką wyprawę, lub musiał bronić brzegów, (co byłoby prawdopodobniejszem) *komandor* ma obowiązek zwołania wszystkich zaciągowych marynarzy i wezwania dla dobra kraju (za późniejsze wynagrodzenie) wszystkich kupieckich okrętów, to jest około pięćdziesięciu dwumasztowników, dziesięciu brygów, pięciu lub sześciu okrętów trzymasztowych i od sześćdziesięciu do ośmdziesięciu statków różnego rodzaju.

Konstytucja uznaje wolnym każdego mieszkańca i każdego wstępującego na terytorjum państwa; je-



dnak w skutek sprzeczności spowodowanej potrzebami kraju, kanakowie obowiązani dwa dni w miesiącu pracować dla rządu bezpłatnie i tyleż dni odbywać wojenną służbę. Pierwsze dwa dni przeznaczają się na reperacje dróg i na inne publiczne roboty, jednym słowem na to co się u nas robi kosztem rządu lub stowarzyszeń.

Jak z tego widać, ministrowie potrafili ze wszystkiego skorzystać; nie mogąc zapobiedz wydatkom wyżej wzmiankowanym, a chcąc kraj obdarzyć dobrami drogami, obarczyli ludność bezpłatną pracą. Jako zasada, narzucenie na wyrobnika takiego obowiązku za srogie i niesprawiedliwe, ale w rzeczywistości na wyspach Sandwickich, gdzie krajowcowi przepędzającemu dzień cały w nieczynności życie zupełnie mało kosztuje, jest tylko prostem wymaganiem spełniania obywatelskich obowiązków.

### LVIII.

Na każdej wyspie jest gubernator, mianujący burmistrzów i innych urzędników w podwładnych sobie obwodach, lecz naznaczenie kogoś na ważne miejsce nauczyciela szkółki, zależy wprost od najwyższej władzy. Nauczanie stawienia wielkich liter i sylabizowania rzeczywiście wymaga pewnych pojęć o polityce, na które rząd sam chciałby wpływać. Wszystkie urzęda mniejwięcej są płatne, tylko chcąc być urzędnikiem trzeba być protestantem choć konstytucija przyznaje swobodę wyznań i porównywa różnowierców w obec prawa.

Jako głowa państwa król musi być protestantem; ministrowie nie wymagają od niego niczego więcej

jak kilka podpisów i dwurazowej co rok obecności w izbach prawodawczych, a za to dają mu pałac, przydworną służbę i trzydzieście tysięcy franków rocznej pensii. Summa ta zdaje się być bardzo małą i w każdym europejskim budżecie zajęłaby wcale podrzędne miejsce, lecz trzeba zauważać, że *Kameha-Meha III* robi jeszcze tyleż długów, i że sześćdziesiąt tysięcy franków służy mu tylko na drobne osobiste wydatki, gdyż wszystkie inne koszty sam dwór ponosi. Dla siebie zaś ministrowie wyznaczyli nadzwyczaj skromną, bo szesnastotysięczną pensję; każdy agent okrętowy w Honolulu więcej zarabia.

Wydatki państwa zupełnie małe, jednak, policzwszy opłatę urzędników, (których jest wiele), koszty utrzymania i upiększania miast, budowanie nowych niezbędnych domów, jednym słowem zebrawszy wszystkie a wszystkie drobne i nieprzewidziane wydatki, znajdziemy iż one wynoszą razem od ósmiu do dziesięciu milionów franków. Te wpływają od cudzoziemców przez komorę celną i i-sze portowe opłaty. To się znaczy, że komora celna i komis portowy mają bardzo wysoką taryfę, ale opatrności nigdy nie można się dostatecznie wypłacić, a wyspy Sandwickie dla statków są prawdziwą opatrnością, będąc najwyborniejszym handlowym placem na wszystkie towary (wyjawszy szlafmic i futer), posiadając magazyny żywności, doskonałych cięśli i warsztat okrętowy, to jest, wszystko czego tylko może zapragnąć właściciel okrętu znajdującego się na Oceanie spokojnym między równikiem i zwrotnikami.

Głównym zadaniem rządu hawajskiego i jedyną jego w każdym czasie polityką, było zwabienie cu-

dzodziemców i uczynienie im pobytu na wyspie przyjemnym, bo od niego zależało istnienie samego rządu. Przeto skoro się powiększyły dochody, z jakim że to upodobaniem upiększano tę nową Cyterę, która bez tego byłaby może piękniejszą; jak mądre porostawiano wszędzie sieci dla chwytania tych nieszczęśliwych płaszków, nazwanych emigrantami; zbudowano kaplice dla różnych wyznań; postawiono teatr, w którym przedstawiają się opery, wodewile, a nawet melodramy P. Dennery; wzniesiono cyrk, gdzie francuzi i amerykanie przedstawiają powszechnie znane konne sztuki. Zaprowadzono koncerty, *bowling-alley*, kawiarnie, hotele i Bóg wie nieco.... Jednem słowem postarano się o ile można zepsuć poetyczne Honolulu; zrobiono z niego pod pewnym względem przedmieście, któregoś z miast Ameryki północnej, podobnych jak pani wiadomo do wszystkich naszych miast handlowych. Przysnaj pani, że smutno widzieć zdala od nas tyle wspaniałych i wielkich tworów bożych wcisniętych w formę naszego, starego świata, i trzeba zapytać siebie, czy nie można było zrobić czegoś lepszego z tych dziewiczych krajów, niż ślepe naśladownictwo wielowiekowej Europy, zaszczipiając na młodej roslinie owoce wycienzonego już drzewa.

Może to zakrawa na filozofowanie? i pani daremnie stara się ukryć.... jak mam powiedzieć?... lecz mniejsza o wyrażenie, rzecz główna uznać żeś podnosiła do ust rączkę i że to dla mnie bardzo zły znak.

Zgadzam się, że filozofia jest rzeczą wcale niezabawną, wyznaję nawet że i marzenia są tej samej natury—ale na Boga! i rzeczywistość nielepsz! Po-

dziwiam duch handlu rozkrzewiający cywilizację pomiędzy dzikimi ludami, nie badam celu ani środków, widzę tylko same skutki i chciałbym żeby rozwój *nowych światów*, nie miał na sobie piętna świata staro-  
rego.

Życzyłażby pani sobie tego, żeby ośmnasta wiosna jej córki była podobną do ostatniej zimy jej babki? Bez wątplenia że nie,—więc się rozumiemy. Jeżeli można, zostawimy na stronie teatru, hotele, kawiarnie, kościoły, szpitale i cmentarze Honolulu, podobne do Londyńskich, Lizbońskich i Petersburskich, lecz będziemy się przypatrywać w stolicy kanackiej temu tylko co jest prawdziwie kanackiem.

Nie zajdziemy do króla, żeby go widzieć wstającym z łóżka; *Kameha-Meha III* wstaje jak wszyscy królowie.... a już od czasów Ludwika XIV i zwyczaj tych wizyt rannych strasznie postarzał.

Nie będziemy u żadnych amerykańek pić herbaty: one wszystkie wszędzie do siebie podobne i równie miłe w Honolulu jak w Kentukky, gdzie wcale nie miłe. Nie pójdziem na kazanie katolickie lub protestanckie, bo tyleż warte co amerykanki.

Nie odważym się wstąpić do kawiarni, bo kawiarnie są miejscem zguby dla młodzieży.... a pani jesteś młodą; nie udamy się na bal, który najczęściej jest magazynem mód bez gustu gdy pani wolisz widzieć mody tam gdzie się one znajdują prawdziwie... to jest w Paryżu

Wiesz kochana czytelniczko co uczynim? — oto w sobotę o godzinie czwartej po południu wsiądziem na koń i przejedziem dolinę *Nu-a-Nu*.

## ROZDZIAŁ XXIV.

**Dolina Nu-a-nu.** — Co znaczy i z kąd pochodzi ta nazwa. — Wyścigi kobiece. — Ich charakter. — Luau. — Imienniny królewskie. — Dla czego wyspa Oahu była wybrana na metropolję archipelagu. — Jej położenie. — Plody wysp. — Drzewo Koa. — Arow-root. — Sandałowe drzewo. — Dawniejsze dzieje Archipelagu. — Wprowadzenie chrześcijaństwa. — Co kanakowie stracili przez cywilizację. — Czyjeś zdanie o tem. — Ten ktoś ma słuszość i niema jej zarzem.

### LIX.

**C**hoć do tego nie podobne, jednak *Nu-a-Nu* oznacza wiele rzeczy (jak mnie powiedziano), a czytelnik zapewne okaże się równie wierzącym i uwierzy mnie, jak ja uwierzyłem. Ręczę za to, że oznaczając wiele przedmiotów *Nu-a-Nu* szczególnie znaczy *deszcz*; trzeba więc czytać: *dolina deszczu*. Zaprawdę, kanakowie nazywają rzeczy właściwie, gdyż ciągle silny deszcz pada w tej dolinie.



Pomimo to, czy może właśnie dla tego, dolina przecięta wzdłuż cienistą ścieżką, pełną jest poetycznego wdzięku. Szemrzą tam źródła u nóg twoich, drzewa łączą swe konary nad głową i wiszące na nich owoce, napełniają powietrze miłą wonią, mającą w sobie coś rozkosznego i odurzającego zarazem — co może na jedno wychodzi. Co sobota, przez tę dolinę pędzą kawalkady, podobne do fantastycznych gonitw jakichś nadpowietrznych bohaterów. Konie z błyszczącą szerścią, z ognistymi nozdrzami, wstrzymywane niewidzialną prawie uzdeczką, ozdobione napierśnikami z wijących się roślin, podobne są do starożytnych portretów familijnych z czasów gdy noszono kręzy.

Uśmiechasz się pani.... przyznaję, że w tem niema nic nadziemskiego, lecz śmiałybyś się również, gdybym ci powiedział iż te konie, których grzywy zaplatane bluszczami, piersi przybrane w morskie trawy, a boki w lskniące się rzędy, jakby bóstwa morskie, unoszą drżące najady.... jednak byłoby to bardzo zbliżonem do prawdy, bo rzeczywiście, same prawie kobiety dosiadają tych dzielnych wierzchowców. Kobiety te mają na sobie jaskrawych kolorów ubrania, zwane *sayas* i *tapas*, których długie końce igrając z wiatrem, tworzą w koło nich jakby różnobarwne obłoki. Ramiona ich pokryte bransoletami z konch, kapelusze z panamskiej słomy, oszyte bluszczem, a zamiast naszyjników mają girlandy z takichże traw morskich, jakie zdobią konie. Łatwo pojąć jak ubior ten pierwotny jest dziwacznym i oryginalnym, i jak dziwna ta cała żeńska kawalkada, zwłaszcza gdy się ją sobie wyobrazi złożoną z najmniejszych amazońek, zachęcających się wzajem krzy-

kiem i ruchami, i przelatujących pędem błyskawicy przed zadziwionem okiem widza. Nic w tem uiera europejskiego, lecz tak wyraźne piętno miejscowości, że w opowiadaniu traci całą swą poezję i wydaje się prawie niepodobnem do uwierzenia. Jako pamiątkę przeszłości i zabytek starożytny powinnyby przecie szanować ten obyczaj... Ale czyż dzisiaj szanują cokolwiek?... Rzucają kamieniem nawet na ten niewinny i malowniczy *Steeple-chase* niewieści.

— „*Niech ten co jest bez grzechu rzuci kamieniem*” — rzekł Chrystus o grzesznicy. Lecz niestety! któraż moda dzisiejsza tak niewinna aby mogła rzucić kamieniem na dawny obyczaj?

Z tem wszystkiem, złem okiem patrzą na ów cień przeszłości; boją się go... barbarzyństwo! wołają zgorszeni i niezadługo izby kanackie zniosą tę ostatnią po ojcach spuściznę, a potem wezmą się i za *luau*.

Co to *luau*? zapytasz mię pani; odpowiem, że to jest uroczystość kucharska równie czysto miejscowa i odbywa się następującym sposobem: wykopują dół głęboki i kładą węń prosię lub szczenię (kanak szczególną ma słabość do tego zwierzątka), obwijają je w liście *taro* i przykrywają rozpalonami do czerwoności kamykami, na nich rozkładają ognisko, a gdy się drzewo spali na węgiel, gaszą i czekają 12 godzin, po czem mają gotowe *luau*, czyli najdelikatniejsze, najczystsze i najkruchsze mięso. — *Luau* oznacza tylko potrawę, nie zaś z czego się ona składa, tak jak u nas *Marengo* lub *Bain-marie*, i stanowi wyłączny, konieczny przysmak hawajski. Jest to gęś Bożego Narodzenia, niemiecki *schachtfelt*. Narodzenie dziecka, pogrzeb nie-

widzianego męża, są szczęśliwemi wypadkami, w których nie można się obejść bez *luau*.

Sam król nawet, w dzień świętego *Kameha-Mehi*, zaprasza na wielkie *luau* z pięć tysięcy gości.... Lecz niestety! zniknie wkrótce i *luau*, ustępując miejsce jakiejś amerykańskiej nowożytniej sałacie.

Z *luau* zgaśnie ostatni ślad dawnych kanackich obyczajów; w niem jest wiązanie sklepienia pokrywającego dzieje wysp Sandwicz; wkrótce nie zostanie już na całym świecie ani jednego kącika, któryby nie był podobny do Marsylii, Liwerpolu, Niu-Jorku lub Triestu....

— Mniejsza oto, powiesz pani.

— Wcale nie mniejsza, będzie to bardzo smutno, ale nie dla zabawy przyszliśmy na świat i w tém pociecha.

## LX.

Z pomiędzy czterech wielkich wysp, z których się głównie składa archipelag Sandwicki, Oahu nie jest ani największą, ani najbogatszą, lecz na niej *Kameha-Meha I-y* założył monarchiję hawajską, do niej przybyli dwaj pierwsi pionierowie, którym ta część świata winna obecną swoją cywilizację, i to tłumaczy dla czego Oahu została wybrana na stolicę. Wyspa ta posiada oprócz wyżej wymienionych, inne jeszcze, szczególne zalety, usprawiedliwiające ten wybór. — Naprzód stanowi centralny punkt archipelagu przez równą swą odległość od Maui, Hawai i Atoi; powtórę, posiada doskonały port z wygodnym przejściem

nietylko dla największych handlowych statków, ale nawet dla wojennych fregat. Oahu liczy pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców na dwódziestu milach kwadratowych rozległości. Z tej liczby w samym Honolulu znajduje się część czwarta, reszta ludności rozproszona po wsiach i wioseczkach, jak równie po rozrzuconych gdzie nie gdzie samotnych chatach. Grunt żyzny i dobrze uprawiony, nie wystarcza wszakże na konsumpcję wywozową. Maui i Hawaii dostarczają wielkim handlowym domom w Oahu największą część zboża: to też żegluga między portami Hilo, Lahaina i Honolulu, bardzo ożywiona. Wyspa Atoi wyprawia również codziennie do stolicy statki napełnione różnymi produktami, jako to: cukrem, kawą, pomarańczami i t. d., lecz te są przeznaczone na handel zewnętrzny. Tak więc każda wyspa dostarcza swój kamień, jeżeli można tak się wyrazić, na budowę pomnika bogactwa narodowego. Hawaii dostarcza bydło, Maui i Oahu wszystkie zapasy żywności (oprócz zboża), Atoi produkta poszukiwane do zewnętrznego handlu. Dotąd, jak to wyżej powiedziałem, Honolulu zawdzięczało swoje bogactwo regularnemu zastanawianiu się w porcie statków zajmujących się połowem wielorybów. Punkt ten stał się ważnym jako ognisko zasobów żywności, lecz odkrycie Kalifornii nową otworzyło mu drogę. Odtąd wyspy Sandwickie biorą udział znakomity w *między narodowym* handlu: wyprawiają kawę, cukier, frukta, siano, zapasy żywności, drzewo budowlowe, sól, *arrow-root* i t. d. i t. d., a odbierają w zamian wyroby rękodzielne Ameryki, Francji, Anglii i Chin. Można więc przepowiedzieć tym krajom świetną przyszłość,

tembardziej, że klimat najzdrowszy na całym świecie, brak zupełny dzikich zwierząt i gadów, życie bardzo wygodne i stosunkowo tanie; wszystko to niechybnie sprowadzi tam wkrótce wielką liczbę parowych okrętów i zapewni wyspom Sandwickim znakomite stanowisko w przyszłych losach Oceanu Spokojnego.

Pomiędzy produktami archipelagu hawajskiego, które mogą stać się przedmiotem obszernego handlu w Europie, sprawiedliwie zauważać trzeba drzewo *koa*, mogące iść o lepsze z mahoniem i z *arowrot'em* bardzo przez dzisiejszą medycynę cenionem. Drzewo sandałowe, nie znajduje się tu już jak tylko na wierzchołkach gór Oahu, i to w bardzo małej ilości; ale zaprowadziwszy porządną oszczędność w wycinaniu, możnaby wielkie z niego wyciągać korzyści, nawet przez długi jeszcze przeciąg czasu.

Batwochwalstwo zostało zupełnie zniesione na wyspach Sandwicz; religija chrześcijańska rozlała już tam dobroczynne swe światło za pomocą katolicyzmu i reformy, a Honolulu bez wątpienia większą się dziś cieszy cywilizacją, niż nasze małe miściny. Towarzystwo białych w Oahu chociaż nieco zmieszane, jest jednak miłem; kanakowie stanowią jeden z najpocheiwszych ludów jaki sobie wystawić można. Aby dać wyobrażenie o dobroci i słodczy ich w obcowaniu, dość przytoczyć, że nigdy nie widziano ich wadzących się między sobą, że między małżonkami najzupełniejsza panuje zgoda i że dzieci nawet zamiast bić się i kłucić, jak się to zbyt często u nas zdarza, najgrzeczniej się pomiędzy sobą obchodzą i nie znają



większej przyjemności, jak wzięwszy się za ręce przechadzać się licznemi gronami.

Nadto chociaż kanakowie otrzymali od Boga tak szczęśliwe usposobienia, przyznać należy, że i oświata rozszerzana przez Missionarzy katolickich i protestanckich nie mało się przyczyniła do złagodzenia obyczajów. Łatwo jednak pojąć, że jeżeli wiele zyskali pod względem cywilizacji, stracili niemało na pierwotnej oryginalności. Właściwy typ fizjognomii znika, wyłączne rysy charakteru zacierają się, obyczaje miejscowe gasną; słowem, kanak ginie, a amerykańczyk zajmuje jego miejsce. Znam ludzi, którzy znajdują że to smutno: ludzie ci mają słuszość i nie mają jej zarazem.



## ROZDZIAŁ XXV.

Wyjazd z Honolulu. — Korweta francuzka *Gassendi*. — Fregata francuzka *Poursuivante*. — Spotkanie dwóch statków do polowu wielorybów. — Bryg *El Delphin* z Walparaizo. — *Los Farallones*. — Konieczność dobrego oznaczenia tych wysp. — Rossijanie mieli tu dawniej koloniję. — Wchód do zatoki San-Francisko. — *Saulito*. — *Yerba-Buena*. — San-Francisko. — Szczególny widok tego miasta. — Wychodzey. — Dziwactwa i kaprysy losu. — *Bras-rouge*. — Syn bylego para Francii. — Rząd. — Szybki rzut oka. — Hotele. — Kalifornijczykowie i Kalifornijanki. — Ubiór narodowy. — Konie. — Autor do czytelnika. — Co jest dzisiaj San-Francisko. — Missjonarze. — Słówko o Australii.

## LXI.

O KILKOMIESIĘCZNYM pobycie na wyspach Sandwicz, wsiadłem znowu na okręt, lecz tą razą na wspa-  
niałą fregatę admirałską, francuzką, o 52 działach,  
zwaną *Poursuivante*, którą od dawna już znałem;  
przyłątnęła ona do Honolulu razem z korwetką pa-

rową (również francuzką) *Gassendi*, aby ukończyć mały spór zaszyły między rządami księcia Ludwika Napoleona i króla *Kameha-Mehi III-go*.

Pięćset ludzi załogi okrętowej, statek sławny na całym Oceanie Spokojnym z dziwnej szybkości, sztab wyborowy i doskonała muzyka.... co za szczęśliwy traf. To też z niewypowiedzianą radością, 5 września, około 7-ej z rana wskoczyłem do czółna, aby się dostać do fregaty, stojącej opodal na kotwicy, i zabierającej się do odpłynięcia do San-Francisko w Kalifornii.

O dziewiątej korweta *Gassendi* wybierająca się także w drogę, zbliżyła się do admiralskiej fregaty i oddawszy jej część należną, całą siłą pary odpłynęła do Taiti. W pół godziny później, wyruszyliśmy podobnie, a koło zachodu słońca zostawiliśmy daleko za sobą Oahu z prawej, Atoi z lewej strony.

W pierwszych dniach żeglugi nic nadzwyczajnego nam się nie przytrafiło. Wiatr był pomyślny, niebo jasne, wiadomo zaś że na morzu nie tak nie męczy swoją jednostajnością, jak trwała pogoda; nie też nie ożywiło naszej podróży prócz spotkania dwóch statków do połowu wielorybów, przybywających z mórz Japońskich na odpoczynek do wysp Sandwickich. 21 Września, to jest, we dwa tygodnie po wypłynięciu z Honolulu, znajdowaliśmy się tylko o 120 mil od San-Francisko i mogliśmy nazajutrz tam przybyć; ale na nieszczęście niebo się zachmurzyło, wiatr ustał, płynęliśmy zaledwie dwa węzły; termometr wskazywał jeszcze 27 stopni ciepła. O drugiej po południu spostrzeżono statek zbliżający się ku nam równie powoli; o trzeciej poznano, że to był bryg,

który w godzinę ukazał flagę chilijską. Gdyśmy naszą podnieśli, zaczął się zastanawiać, admirał wydał rozkaz aby ku nam podpłynął.

Z początku myśleliśmy wszyscy że to bryg *el Correo de Cobija*, którego dowodzący był francuz, a który jednocześnie z nami odpłynął z Honolulu, ale zastanowiwszy się trudno było przypuścić aby ten statek mógł wyrównać w prędkości naszej fregacie, zwłaszcza w przepływie z wysp Sandwicz do San-Francisko, gdzie szybkość żeglowania zależy więcej na doskonałości okrętu, niż na pomyślności wiatru. Wątpliwość jednak nasza wkrótce ustała, gdyż obróciwszy się ku tylnej części pomienionego okrętu, mogliśmy wyczytać wyraźnie jego nazwanie, napisane wielkimi białymi literami na dnie czarnem: *el Delphin de Valparaizo*. Bryg *el Delphin* z dowódcą francuzem, udający się do San-Francisko z Valparaizo, po 70-cio dniowej żegludze, wstrzymał się aby nas o szerokość geograficzną zapytać.

Przez kilka minut oba statki płynęły blisko siebie i mogliśmy zauważać, że ów szczęśliwy Delliun unosił na pokładzie całą załogę pięknych kobiet. Westchnęliśmy żałośnie, oddalając się od niego.

Nazajutrz 22 Września przed południem wedeta zawołała: ląd!

Wiatr był łagodny, morze faliste, powietrze zamglone, spostrzegliśmy jednak wkrótce z lewej strony wyspy *los Farallones*; w pół godziny potem ujrzelismy ląd na prawo.

*Los Farallones* składają się z licznych wysepek podzielonych na dwie części, o milę od siebie odległych;

pomiędzy niemi znajduje się rapa, tem niebezpieczniejsza, że nieoznaczona na mappach, i że ta część Oceanu Spokojnego prawie zawsze pokryta mgłami. Wysepki te niezamieszkane i zamieszkać ich niepodobna. Niedługo wszakże Rossjanie z Ameryki północnej mieli osadę złożoną z kilku żołnierzy i około trzydziestu Indian, zajmujących się połowem fok i wyder, których wielkie mnóstwo tu się znajduje; pożywienie sprowadzano z San-Francisko o trzydzieście mil odległości, a statki wpływały do małej zatoki będącej w południowej części wysp. Przed kilku laty korweta *Brillante*, odbywając wyprawę do Kalifornii, mierzyła głębokość morza blisko wysp Farallones, i czytamy w jej dzienniku, że można zarzucić kotwicę ku południowi na dwadzieści ośm sążni; między wyspami zaś dno tak piaszczyste lub szlamowate, że kotwica niema się za co zaczepić i nie jeden okręt może osiąść na mieliźnie, jak to się i nam zdarzyło. Wydostaliśmy się wszakże prędko, pomimo licznych przeszkód, lecz nie wszystkie okręty tak ostrożnie i rozsądnie są prowadzone, jak fregaty wojenne, nie wszystkie zwłaszcza mają tyle rąk, aby się rychło i bez szwanku z niebezpieczeństwa wydostać. Niezbędne więc jest dokładne oznaczenie tych wysp na mappach, szczególnie teraz gdy San-Francisko stanęło się ogniskiem rozległego morskiego handlu. Z którejkolwiek bowiem strony okręty tam dążą, zawsze muszą koniecznie przepływać koło *los Farallones*. Jeśli do przyczyn wyżej pomienionych dodamy jeszcze trudności i niebezpieczeństwa przeprawy poza cieśniną San-Francisko, przyptyw wody, ogrom fali ukryte w morzu rapy i silne północno-wschodnie wiatry, to łatwo poj-



miemy jak ważna jest dla żeglugi dokładna wiadomość o położeniu wysp *los Farallones*.

Zbliżając się do brzegu, powzięliśmy zaraz wyobrażenie o nadzwyczajnym ruchu, panującym w porcie San-Francisko, gdzie dawniej chyba przypadkiem zawijało na rok, pięć lub sześć małych statków: spotkaliśmy wypływające z zatoki następne okręty:

Jeden bryg angielski.

Jeden amerykański.

Jeden francuzki.

Okręt trzymasztowy francuzki.

Takoż amerykański.

Takoż angielski.

*Schooner* hawajski.

Słowem ośm statków różnej wielkości; a wjeżdżające weń:

Okręt trzymasztowy francuzki.

Bryg chilijski.

Bryg amerykański.

Bryg duński.

Czyli cztery statki różnego kalibru, co czyniło ogólny ruch dwunastu okrętów w jednym dniu, o jednej prawie godzinie.

Ze strony północnej, szereg skał strzeże wejścia do zatoki San-Francisko; zaledwie się pierwszą z nich ominie, powstaje wiatr północno-zachodni gwałtownie koło ciążsiny wiejący i mgły jakby czarodziejsko się rozpierzchają. Widok zatoki jest bardzo wspaniały, — porównywiają ją z zatoką Rio-Zanejro, i w istocie trudno sobie wystawić coś wspanialszego, obszerniejszego i bardziej zachwycającego. Północna strona wybrzeża, przy którym zarzuciliśmy kotwicę,

nazywa się *Saulito*, znajduje się w odległości pięciu mil od San-Francisko. Z tego miejsca widać Sakramento i niezliczone, błogosławione łodzie, ładowne złotem, pływające po tej rzece do Stokton. Saulito posiada obszerne lasy, dużo zieloności i zwierzyny; tam-to mieszka P. Robertson dawny sternik z San-Francisko, niegdyś ubogi jak wszyscy ludzie tego rzemiosła, dzisiaj bogaty właściciel, pobierający trzydzieście tysięcy piastrow rocznej opłaty za samo pozwolenie czerpania dla okrętów wody w jego posiadłościach. Okręty przybywające do Kalifornii chętnie się z niej uiszczają, bo woda w San-Francisko niegodziwa i nieprzechowuje się na morzu.

Niepodobna sobie wyobrazić dokładnie nowonarodzonego miasta, wznoszącego się w stronie zatoki nazwanej *Yerba-Buena*. Około trzechset okrętów było w porcie. największa liczba rozbrojonych, niektóre pozbawione masztów i zamienione na pomosty i magazyny. Po większej części były tam okręty z Chili, z Ameryki, z Peru, Meksyku, Brazylii i Buenos-Ayres; były też z Holandii, Danii, Sardynii i Belgii, słowem ze wszystkich narodów, nawet dwa czy trzy Prusskie. Dziwna rzecz, że anglików, których wszędzie pełno, tu na ten raz nie było, ale za to Francja liczyła znaczną liczbę statków, jako to: *Stauëli*, *Martiniquaise*, *Meuse*, *Hougly* z Hawru, — *Bon Père* z Saint-Malo, — *Paul*, *Celina*, *Ville de Bordeaux*, *Chateaubriand*, *Orion*, *Anonyme*, *Jules-Cesar* z Bordeaux, — *Papeete* z Taiti i *Elisabeth* z Honolulu; przytém z dziesiątek wielkich dwumasztowych batów.

Jeżeli zatoka już dziś jest wspaniałą, port San-

Francisko obiecuje być przepyszny (i zapewne jest nim do tej pory). Całe miasto było zbudowane z desek, domy jednopiętrowe, ale wszystkie pod linią prostą postawione. Najznakomitszem i jedynem większem zabudowaniem był zakład położony przy wielkim placu, zawierający wexlaruie, bióra statków parowych i kolei żelaznych, ho już się zajmowano połączeniem statkami parowymi i koleją żelazną miasta San-Francisko ze Stoktonem, o dziewiędziesiąt mil odległym. W tymże zakładzie, a raczej w tej części miasta, znajdowała się także kawiarnia amerykańska, której właściciel płacił 150,000 piastrow, czyli 750,000 franków rocznie za sam lokal, urządzony z prawdziwie francuzkim zbytkiem. Na kosztownych kanapach rozwalały się massy zaburmaszystych figur: opylone bóty, fantastyczne pantalony, kapelusze *à la Robert Macaire*, wełniane koszule, włosy rozczochrane, brudne twarze i ręce, pistolety, pałasze, puginały, oto ich powierzchowność, podobna do chorów opery *Fra-Diavolo*, lub do bandy okropnych złodzieiów rozhulanych w eleganckim zamku.

Mieszkańcy San-Francisko uznawszy potrzebę pomagania sobie wzajem, uczynili to, co zwykle czynią cudzoziemcy w krajach gdzie rząd słaby nie daje żadnej rękojmi osobistego bezpieczeństwa, uformowali trybunał nieustający i milicję miejską; ktokolwiek został schwytany na kradzieży, lub na oszukaństwie, natychmiast był wieszany. Nie marudna to sprawiedliwość, ale niezbędna w kraju okazującym tyle skłonności do złodziejstwa. Oprócz trybunału był i *Alkal*; urząd to hiszpański, lecz wymysł amerykański.

*Alkad* w San-Francisko pełnił zarazem obowiązek sędziego, notariusza i policjanta. Miasto cieszyło się zupełną spokojnością, co łatwem jest do zrozumienia, gdyż liczba wzbogających się mieszkańców przewyższała o wiele liczbę ubogich. Czyż brak gwarancji każdego względem wszystkich, nie jest najlepszą gwarancją wszystkich względem każdego?... Sądzę, że gdyby nie było w Paryżu ani policyi, ani drzwi zamczysłych, nie byłoby ani jednego złodzieja!

Rząd w San-Francisko składał się z gubernatora, który sądząc się tu niepotrzebnym, przeniósł się do małego portu, znajdującego się o trzydzieści mil ku północy, i z Izby zasiadającej zawsze w Monterey, lecz obawiano się żeby szanowni deputowani nie zemknęli do kopalni złota. Siła zbrojna składająca się z ośmiuset ludzi, obozowała o milę od miasta; musiano kolejno część ich posyłać do kopalni, aby uniknąć zupełnej dezercii. Forteca na wzgórzu będzie z czasem niezdobyta, ale dzisiaj nieposiada ani jednego działą, ani jednego artylerzysty. Amerykanie w tem się zupełnie od nas różnią: nim się obwarują, czekają pierwiej aż nim będą mieć co ubezpieczać, w ten czas kiedy my podobni jesteśmy do owych strzelców z bajki, którzy zakładają sklep skór niedźwiedzich, niezabiwszy ani jednego niedźwiedzia.

Komora celna i zarząd pocztowy porządnie już były zaprowadzone i codziennie zbierały ogromne summy.

Prawie wszystkie hotele utrzymywane przez francuzów. Przykro to wyznać, ale prawie wszędzie gdzie za pieniądze jedzą, francuz te pieniądze zmiata.

Najlepszy hotel był *Tortonięgo* odznaczający się

zbytkiem i bifsztulkami, których porcja kosztowała piętnaście franków. Oprócz tego zewsząd nowe przybywały restauracje francuskie, angielskie, amerykańskie, opatrzone w kosztowne meble, srebra, stołową bieliznę i t. d.

San-Francisko, które tak długo zasypiało ubożuchną miejsciną, obudziło się nagle wielkiem miastem. Cudzoziemcy przybywali tam z czterech krańców świata, a zatem coraz nowe i liczne znajdowały się potrzeby, one to spowodowały tę niestychaną i trudną do uwierzenia drożynę, która się tam zaraz w początkach objawiła; częste zaś i niezwykle nagromadzenie towarów na placu San-Francisko pochodzi ztąd, że domy handlowe europejskie przysyłają je w skutek dawnych wymagań, a potrzeby w nowych krajach coraz się zmieniają.

Stolica Kalifornii dziwne wtenczas przedstawiała zjawiska: zubożałe damy wielkiego świata zajmowały się modn arstwem, wysokiego rodu panowie roznosili po ulicach wodę, — gdy tymczasem miljonowe kucharki i ubogaceni ulicznicy bawili się spekulacyami kolei żelaznych. Spotkałem tu wiele postaci znanych mi kiedyś z widzenia w Paryżu, a jeden z moich dawnych przyjaciół, były elegant paryzki, sprzedawał likiery w małym sklepiku przy debar-kaderze statków parowych, pod następnym szyldem: *Aux Mystères de Paris, Bras-Rouge*. Od kilku miesięcy zaledwie zatrudniał się tym handlem, a już blisko dwóchkroćstotysięcy franków miał w zysku. Drugi, syu byłego para Francii, stał się współnikiem właściciela nędznej garkuchni i przyjął obowiązek dostarczania mu zwierzyny za połowę ogólnego zy-



sku; w tym celu kupił łódkę, którą codzień rano płynął na małą wyspę nazwaną *wyspą Jeleni*, polował tam do wieczora i wracał z wielkim zapasem sarn i jeleni; inną razą wyjeżdżał konno na *Pueblo* uzbrojony w *lasso* i nie powracał bez pojmania kilku młodych bawołów.

Słowem, każdy sposób zarabiania pieniędzy był dobry, każdy równie honorowy, a jedyną, prawdziwą wartość miał tu robotnik.

Klimat w San-Francisko bardzo zmienny, ale powietrze czyste i przy ostrożności w odzieży i napoju, można być pewnym zdrowia i lat matuzalowych.

## LXII.

Kalifornijczyk jest właściwie przyswojonym indyńcem; wzrostu miernego, silny, zręczny, wstrzemięźliwy i uważny,—przepędza większą część życia na koniu; ubior jego prześliczny; składa się z obszernych spodni axamitnych z lampasami udołu, rozciętych i odkrywających boty,—przecięcie to połączone srebnym sznurkiem, przeciągniętym koło guzików z takiegoż kruszcu,—dalej z pasa czerwonego z chińskiej krepy, z obcisłej kurtki, ozdobionej wypukłymi guzikami na sposób maurytański, z kapelusza słomianego z szerokim rondem i z *poncho* wełnianego takiej szerokości, że przykrywa zarazem jezdca i konia. Ostrogi kalifornijskie są, jeżeli to być może, jeszcze bardziej przesadzonej wielkości niż meksykańskie, peruwjańskie i chilijskie. Kalifornijanki sto-

suukowo bardzo białe i ogólnie ładne; ubior ich wcale nie charakterystyczny i nic o nim więcej powiedzieć nie można jak tylko, że jest w rodzaju hiszpańskiego.

Gdy mowa o kalifornijczyku, jakże nie wspomnieć o jego koniu. Konie te słusznie wielką mają sławę w Ameryce zachodniej, północnej i południowej. Zdziwiające te stworzenia dość mizerną mają postać, ale zato z łatwością przebiegają od razu trzydzieści mil; gdy jeździec się zatrzyma, koń wyrwie trochę trawy, polize kamień dla ochłody i to mu wystarcza do dalszego biegu. Tu pani i kochana czytelniczko, niech mi będzie wolno w dalszą udać się drogę, i na to zwrócić jej uwagę, że jeżeli tak prędko opuszczam Kalifornję, to dla tego, że w podobnych krajach wszystko co chwila zmienia swą postać i co wczoraj było tam prawdą, dzisiaj zapewne kłamstwem się staje. Racz też pani zauważać, że ciągle w opowiadaniu używałem *czasu przeszłego*... co tem stosowniejsze iż i tę moją księgę niezadługo przeszłość pochłonie. Jakkolwiek bądź, wiadomo że od 1849 roku Kalifornia zupełnie się przekształciła: tam gdzie wtedy były liche wioseczki, teraz wznoszą się kwitnące miasta; najgorsze drogi, któremi za pomocą wołów przebiegały się ładowne wozy, dziś w jednej chwili koleją żelazną przebyć można; statki parowe dzień i noc wygodnie krążą po wodach, gdzie dawniej tylko nędzne baciki z trudnością żeglowały. Wspaniałe i gruntowne zabudowania wznoszą się we wszystkich częściach San-Francisko, stanowiące wartość sześćdziesięciu czy ośmdziesięciu milionów; coraz to więcej ich przybywa, a to pomimo tysiąca rozlicznych zatrudnień i

z bezprzykładną w innych krajach szybkością. Jeżeli nowe pożary nie wstrzymają postępu tych prac ogromnych, San-Francisko stanie się wkrótce jednym z największych i najpiękniejszych miast Stanów-Zjednoczonych. Ale co szczególnie godnem jest uwagi to to, że pomyślność, bogactwa i zasoby Kalifornii, tam się tylko skupiają, gdzie się znajdują emigranci; gdzie-indziej postęp zupełnie ustaje. Część kraju np. położona na południe hrabstw *Santa-Klara* i *Santa-Kruz* prawie wyłącznie zamieszкана przez Meksykanów i Kalifornijczyków, nie a nie wydaje i gdyby nie zakład sekty zwanej *Mormonow* w *San-Bernardino*, i ogrody i winnice założone przez cudzoziemców w *Las Angeles*, nie znać byłoby w całym tym wielkim obszarze ziemi ani śladu postępu, kultury i cywilizacji.

Dotąd prawdziwą opatrnością emigrantów były liczne *Missje* Franciszkanów jeszcze za panowania hiszpańskiego po Kalifornii rozrzucone; ale trzeba mieć nadzieję, że jak się zapasy złota zmniejszą, liczba przybywających cudzoziemców powiększy, a tём samem znajdzie się więcej rąk zdolnych do uprawy roli, mogącej tu być źródłem wielkiego bogactwa. Na nie-szczęście w Kalifornii rachują nie myśląc o Australii, która jeszcze może pomieszać wiele szyków, nadziei i zamiarów.



## ROZDZIAŁ XXVI.

**Wyjazd z San-Francisko. — Statek Oregon. — Monterey. — Santa-Barbara. — Missja San Luiz. — San-Diego. — Wybrzeże. — Miasto. — Czerwonawe morze. — Mazatlan — Strata francuzkiego okrętu Boland. — San-Blas. — Forteca. — Przylądek Corrientes. — Człowiek na morzu. — Acapulco. — Przybycie do Panamy. — Miasto — jego charakter. — Padres równika. — Przebycie między-morza. — wioska indyjska Kruces. — Rio de Chagres. — Statek Tay. — Kartagina. — Santa-Martha. — Cholera. — Doktor Valentin. — Marta. — Wyjazd do Europy. — Przymuszona bytność w Saint-Tomas. — Autor żegna się z czytelnikiem.**

### LXIII.

**P**IERWSZEGO Listopada, o szóstej rano opuściłem San-Francisko na statku amerykańskim *Oregon*, na którym się znajdowało mnóstwo pasażerów i towarów i największy panował nieład. Tegoż dnia dołączyliśmy do *Monterej*, gęsta mgła nas otaczała i rozprzeczła się zaledwie gdyśmy przyhyli pod same mury

miasta. *Monterej* posiada zatokę objętą z jednej strony cypłem ziemi rozciągającym się ku południowi, od północy zaś małym wybrzeżem. Zresztą zatoka ta niezła i niegdyś służyła za schronienie dla łodzi rybackich udających się niekiedy na połów do brzegów Kalifornii. Dno jej dosyć twarde, choć z piasku i mułu.

*Monterej* właściwie jest stolicą Kalifornii i posiada małą fortecę o dziesięciu działach nie wielkiego kalibru, nad którą powiewa chorągiew amerykańska; góry otaczające miasto pokryte lasem, okolice pełne wdzięku i zieloności. Nie liczą ztąd więcej jak 90 mil do San-Francisko, ale lądem z powodu złych dróg, podróż wymaga kilku dni czasu, wtenczas kiedy statkiem parowym w dziesięć godzin odhyć ją można. Niedaleko od *Monterej* znajduje się wielka liczba chat zamieszkaných przez Indian i bogatych osad, w cudzoziemskim po większej części posiadaniu. Klimat tu zdrowy, woda dobra, czem się nie wszystkie miasta tego wybrzeża pozczycić mogą.

Nazajutrz o piątej wieczorem zawinęliśmy do Santa-Barbara, małego portu w odległości 190 mil od *Monterej*, sławnego niegdyś missyą duchowną. Miasto składa się z około 60-ciu chat indyjskich i z dwóch czy trzech starych domostw hiszpańskich.

Missya w Santa-Barbara leży na wyniosłości górującej nad miastem; idzie się do niej po dobrze uasypanej ścieżce, ozdobionej po obu stronach darnią i białymi kamykami; missya ta złożona jak wszystkie Franciszkańskie w Kalifornii, z ogromnego klasztoru, kaplicy, obszernego kwadratowego dziedzińca, na którym umieszczone szopy przeznaczone dla rzemieśl-



ników różnego rodzaju, z wielkich placów i z kilku ogrodów odznaczających się dziwnie starannem utrzymaniem. Klasztor missyi w *Santa-Barbara* zowie się *San-Luiz* i dopiero co był wyreperowany. Budowa to piękna, surowa i wspaniała, a otaczająca ją płaszczyna pełna dzikiego i poetycznego powabu z widokiem na morze zawsze spokojne i na niebo wiecznie pogodne, wielką musi mieć wartość dla tego, który zerwawszy ze światem, szuka samotnego dla dumań swoich schronienia. Miejsce to szczęśliwie zaiste przez dobrych księży wybrane; niepodobna im nie zazdrościć tego kąta ziemi tak bogatego i tak ubożego zarazem. W chwili przejazdu naszego około *Santa-Barbara*, jeden tylko statek francuzki znajdował się w porcie, ale jest nadzieja, że częstszy pobyt statków parowych ożywi trochę ten porcik, któremu na zaletach nie braknie.

3go Pazdziernika zarzuciliśmy kotwicę w *San-Diego*. Wybrzeże przedstawia widok strasznego zniszczenia; port składa się z trzech tylko domów drewnianych i z kilku podartych namiotów, służących dla trzydziestu obozujących amerykańskich żołnierzy. *San-Diego* jest ostatnim portem w południowej stronie Kalifornii; służy on za skład węgla dla parowców krążących między Panamą i *San-Francisko*, jakoż jedynemi statkami, które znaleźliśmy w porcie, były łodzie węglarskie z *Niuw-Kastel*. Ponieważ *Oregon* miał się dwa dni w porcie zatrzymać dla nabrania węgla, wszyscy pasażerowie, w liczbie trzechset ośmdziesięciu, z wyjątkiem chorych na gorączkę, postanowili zwiedzić miasto o trzy mile od brzegu odległe. Na brzegu znajdują się konie do najęcia i

wozy zaprzężone wołami. Przebycie dzielącej od miasta przestrzeni jednym, lub drugim sposobem, kosztuje od dwóch do trzech piastrow; konno zabiera to chwilę, wozem trwa całą wieczność. Wiele jednak osób przenosi ten ostatni sposób jazdy i słusznie, bo wozy pokryte gałęziami chroującemi podróżnych od niecznośnego słonecznego skwaru, a konna choć daleko prędsza, męczy i piecze zarazem, — dodajmy, że na ochłodę dyszącej piersi nie ma nic po drodze oprócz kurzawy, unoszącej się z pod nóg rumaka. Niemniej jednak obrałem konia.

San-Diego wznosi się wśród obszernej łąki piaszczystej, jeżeli się tak wyrazić można, ale zagłębiwszy się o milę dalej, znajdujemy piękną zieloność. W pośrodku miasta złożonego z seciny domów w najgorszym stanie i chat indyjskich, Amerykanie postawili jedno działo i maszt ozdobiony chorągwią Stanów-Zjednoczonych. Nie brak tu jednak pewnego, charakterystycznego piętna i pomimo licznych blizn, łatwo się poznaje dawny hiszpański pierwiastek. Nietrudno tu napotkać typy i wnętrza przypominające ożywioną kartę Don-Kiszota.

Ktoby to uwierzył, że w tym zapadłym kącie, gdzie łatwiej spotkać zdechłego muła niż żywego człowieka, znajduje się dwóch francuzów, którzy tu osiedli i założyli... Co? czyż mam potrzebę mówić? jedyną w mieście a może i w całej prowincyi szynkownię (*fonda*), w której przejeżdżający amerykanie zawsze się upijają. Wiadomo bowiem że w krajach ciepłych, nie z francuzów, ani z krajowców płyną zyski szynkarzy, ale jedynie z mieszkańców Ameryki północnej.

Oprócz nadzwyczajnego zjawiska tych dwóch francuzów, osiadłych w San-Diego, znalazłem tam również jak w jego okolicach i w Santa-Barbara, inne nie mniej zadziwiające, a mianowicie: portret cesarza Napoleona, przejście przez most Arkolski i bitwę pod Montereau, zdobiące większą część chat indyjskich. Muszę więc pani przyznać, że sława i litografije jeszcze się na coś przydają na tym biednym świecie.

Wyruszyliśmy z San-Diego 5 listopada; we cztery dni potem przecięliśmy morze czerwoniawe (tak nazwane z powodu czerwoniawego koloru wody w zatoce Kalifornijskiej), 10-go zaś staraliśmy na kotwicy w odległości dwóch mil od Mazatlan. Mazatlan, najważniejszy port w Meksyku, znakomity brał udział w wojnach o niepodległość i jest pewno najrozkoszniejszym miastem na świecie. Wznosi się ono w kształcie amfiteatru, wśród najbujniejszej wegetacyi, pozwalając podziwiać białe swe domy, wysmukłe wieżyczki i błyszczące dachy, z zalotnością pięknej kobiety, znającej swe wdzięki i wzbudzone niemi uczucie uwielbienia.

Mazatlan liczy piętnaście tysięcy mieszkańców; miasto dobrze i regularnie zabudowane, czystość w niem wielka, bruk doskonały; co chwila napotyka się tu w budowlach starożytny styl maurytański: wysokie arkady, ząbkowane architektoniczne ozdoby i wzniosłe sklepienia.

Z Mazatlan można się dostać do Oceanu Atlantyckiego przez Meksyk, ale podróż ta zajmuje najmniej piętnaście dni czasu i bardzo jest uciążliwą. zwłaszcza aż do Meksyku, z kąd już potem w sześć-

dziesiąt godzin za pomocą dokonanych dyliżansów dojeżdża się do Vera-Kruz. Port Mazatlan zaopatruje we wszystkie zapasy raczej Tepik i Durango, niż samą stolicę rzeczypospolitej; magazyny i sklepy bardzo liczne i piękne, sam widok bogatych wystaw, dowodzi już skłonności amerykanów do zbytków. Jeżeli domy prywatne dawne i teraźniejsze zastanawiają cudzoziemców, nie tak się ma z publicznymi gmachami, których zresztą bardzo tu niewiele. Po między najważniejszymi liczą dwa kościoły i warownię, świeżo amerykanom przez meksykańów ustąpioną, którzy pozakopywali wszystkie jej działa z bojaźni aby onych nie użyto.

Kobiety w Mazatlan, jak w Peru, dziwnie kształtne i piękne. Powiadają, że są dowcipne, chętnie temu wierzę. U konsula francuzkiego spotkałem kilku rodaków, a między innemi doktora Alfonsa Chelles, z akademii paryzkiej, używającego sprawiedliwej sławy w Nowym-Swiecie; napisał on dzieło bardzo cenione o *Hygienie w ciepłych krajach*. Pod względem przemysłu, Mazatlan odznacza się wspaniałemi płaszczami (*ponchos*) z wełny, które się wyrabiają wewnątrz kraju. Zatoka prześliczna dzięki wysepkom które ją ozdabiają, ale niebezpieczna; to też statki bawia tu jak najkrócej; zarzucają kotwice o dwie mile od brzegu, wyładowują towary za pomocą płaskich batów, zwanych *Lanchos*, i zaraz się oddalają. Na kilka dni przed naszym przybyciem do Mazatlan podczas którejś z ostatnich burz, okręt trzymasztowy Roland z Hawru zginął z całą osadą i pakunkiem, rozbity o jedną z licznych skał, jakie

tu i ówdzie wychylają z wody omszone swe wierzchołki.

W chwili gdy okręt nasz opuszczał to miasto, korweta angielska *Champion* przybywała po ładunek złota. Oba statki powitały się wzajemnie, poczem posunęliśmy się rychło ku południowi parci mocnym północno-wschodnim wiatrem. Wieczorem wszczęła się nagle ulewa z błyskawicami i piorunami, a jeden z naszych chorych wyzionął ducha w pośród szumu burzy. Biedak, wyjechał szukać majątku, powracał bogaty, gdy śmierć mu drogę zaskoczyła. Czyż to nie okropnie! opuścić ojczyznę, udać się w dalekie kraje po odrobinę dostatku dla tych, których się kocha, narażać co chwila życie na niebezpieczeństwo, dopiąć celu i nie ukończyć podróży na powrót. Biedny człowieku! pomyślałem patrząc na opuszczony trup jego, — umarłeś na pokładzie, w pośród oceanu, — mokry żagiel zastąpił ci białą od łoża firankę.... gdzie twa rodzina? gdzie twój pokój czyściutki? gdzie miękkie i świeże pościelenie? gdzie samotne i ciche twoje schronienie? gdzie córka twoja? gdzie brat i żona aby płakali przy twoim boku i odgadywali ostatnie twe chęci? Niestety biedaku! tyś od nich daleko! brat twój w tej chwili poluje, córka próbuje przy fortepianie jakąś nową piosenkę, żona uśmiecha się.... do kogoś, a ty jak pies umierasz na deszczu i gorzej jak on, bo pies ma czasem pana przyjaciela od którego dobre posłyszysz słowo, który się nad nim użali! a ty biedaku!... żal mi cię... lecz nie, myślę się, umarłeś.... zazdrościć ci tylko muszę!

11-go Października przybyliśmy do San-Blas, małego



miasteczka, położonego o 60 mil ku południowi od Mazatlan. Zatoka była zupełnie pusta, wybrzeże równie nieożywione. Cholera zdziesiątkowała tam ludność, z białych pozostało tylko trzech zdrowych mężczyzn. San-Blas miało niegdyś, za panowania hiszpańskiego, wielkie znaczenie i dzisiaj jeszcze połamane mury i zniszczone szance wskazują burzliwą przeszłość starożytnej fortecy. Okolice miasta wspaniałe: bujność przyrody nadzwyczajna. Trzy drogi, a raczej ścieżki, rozchodzą się z San-Blas, wiodąc do Mazatlan, do Akapulko i do Tepiku.

Zatrzymaliśmy się tu kilka godzin, to jest tyle tylko czasu, ile potrzeba było na zamianę pakunku i pogrzeb wczoraj na okręcie zmarłego, poczem ruszyliśmy dalej. Podwieczór przepłynęliśmy koło przylądka *Korrientes*. Fale były wzburzone, niebo chmurne, grzmoty w górach nieustające, upał nieznośny, barometr znacznie spadał: wszystko zapowiadało straszną burzę na dzień następny. O ósmej krzyk: *Człowiek na morzu!* rozległ się na okręcie; *Oregon* nagle się zatrzymał, sześciu ludzi z pochodniami wysłano w łodzi na ratunek — poszukiwania ich były daremne. Człowiekiem, który wpadł do morza, był kucharz naszego statku; biedak nieostrożnie zasnawszy na przednim maszcie, osunął się w wodę i musiał być zgnieciony przez koła okrętowe.

— Ha! rzekł jeden ze starych majtków, — *człowiek na morzu* przy *Korrientes*... Burza nie musi być daleko.

Jakoż 13 października wieczorem, wszczęła się okropna burza i biedny *Oregon* przez całą noc zagrożony był zatonięciem. Gdy wiatr nieco ustał i dniać

zaczęło, spostrzeżliśmy, że w kajucie było na dwie stopy wody i wszystko na pokładzie pobite i zniszczone, ani jeden talerz, ani jedna szklanka nie została w całości, a statek chociaż niezbyt znacznie uszkodzony, wymagał jednak niezwłocznej naprawy. Zwróciliśmy się więc ku Akapulko, ostatniemu meksykańskiemu portowi w stronie południowej, od którego byliśmy niedaleko. Straszny ten wiatr, który o mało nas nie zgubił, zjawia się corocznie na całym meksykańskim wybrzeżu i nazywa się *Kordona de San-Francisco*. Akapulko jest jednym z najlepszych i najpiękniejszych znanych portów, chociaż wejście dosyć trudne, gdyż mała wysepka je zasłania i tylko dokładna świadomość miejscowości może od niebezpieczeństwa uchronić. Zresztą, wpłynawszy raz w cieśninę, można już być spokojnym, okręt sam się dostaje do portu i gdzie chcąc łatwo go zatrzymać... Cieśnin tych jest dwie: jedna od północy, druga od południa. obie równie wyborne i pewne. Wybór zatem dosyć obojętny, okręty żaglowe wpływają jednak zwykle od południa, gdyż tu powiew wiatru bywa regularniejszy.

Miasto Akapulko leży w końcu głębokiej zatoki otoczonej zewsząd wysokimi górami, mówię zewsząd, bo i cieśniny osłonięte są wysepką, o której wyżej wspomniałem, i wiatr nie ma którędy się wcisnąć w to wewnętrzne morze. Forteca portowa ślicznie się odbija na tle drzew zielonych. Kościół ukazuje swą starą wieżyczkę, domy popisują się białością murów, wybrzeże poetycznie ocienione, całość bardzo malownicza, żywa, wesoła i piękna.

Akapulko wiele straciło z dawnego znaczenia jako

plac wojenny i ważne miasto handlowe, ale pod tym ostatnim względem niezadługo odzyszcze je zapewne, gdyż wzmagająca się emigracya do Kalifornii tu się zatrzymuje, czyto statkami przybywając z Panamy, czy też ładem z *Vera-Cruz* i Meksyku. Już podczas przejazdu naszego, miasto przepełnione było cudzoziemcami, a w porcie widzieliśmy kilka okrętów, pomiędzy którymi cztery statki parowe.

#### LXIV.

23 października o 11-stej wieczorem zatrzymaliśmy się w zatoce Panama, a nazajutrz rano wysiadłem na brzeg. Pierwszem mojem staraniem było umówienie się z właścicielem mułów o transport moich paków do Krucez; następnie zająłem się kupnem konia, za pomocą którego chciałem w najdźdźystszej porze odbyć okropną, dziewięćmiłową drogę, nazwaną przejściem międzymorza Panama, które tak jest uciążliwe, że Amerykanie wolą wchodzić na góry skaliste, niż je przebywać.

Załatwiwszy wszystko, stanąłem w skromnej gospodzie, gdzie za luidora na dzień obiecano mi niezupełnie umorzyć głodem; wydało mi się to dziwnie tanio, bo kiedym wyjeżdżał z San-Francisko, jajko kosztowało pół uncyi \*); potem korzystając z czterdziestu ośmiu godzin, które miałem przed sobą, czułem się w obowiązku zwiedzenia miasta.

---

\*) Więcej niż 10 r. sr.

Panama było natenczas dosyć smutnem miejscem, lecz dzięki Kalifornii, niesłychanemu mnóstwu emigrantów przebywających międzymorze, kolei żelaznej, którą anglicy i amerykanie zamierzali tu poprowadzić, łatwo było przewidzieć, że miasto to stanie się wkrótce bardzo ważnem pod względem handlowym, że port się znacznie ożywi — dziś już ciekawy był widok sprzeczności pomiędzy przybywającymi a odjeżdżającymi emigrantami. Z jednej strony nadzieja, z drugiej zawód. Panama jednak podobała mi się ze względu na jej świetną przeszłość, o której tak wymownie świadczą ruiny: mówię o nieistniejącej Panamie, o Panamie Ferdynanda III. króla Hiszpanii i Indyi, o Panamie łupionej przez korsarzy, której wszystkie przedmieścia otoczone były wałami. Jakże zajmującym jest to miasto, widziane z tego stanowiska; wszystko tam do dziś dnia zachowało swe piętno i każdy bastyon miałby wiele do opowiedzenia. Forteca, w której wewnątrz widać jeszcze wspaniałe hiszpańskie działa lane w 1760 roku, gruntownie jest zbudowaną. Miasto ma dwie bramy z wieżyczkami i wał warowny otacza je dookoła. Czternaście kościołów po większej części zrujnowanych wznosi swe uszkodzone wieże.... lecz prawie wszystkie te świątynie odznaczają się piękną architekturą i pamiątkami: popękane sklepienia okryte hiszpańskimi herbami i baldachimami, pod którymi klęczeli niegdyś wice-królowie tego kraju. Fronton katedry nawet prawdziwie piękny... zresztą stare kościoły tę mają zaletę, że im zmarszczki bardziej do twarzy niż starym kobietom. To też wieczorem, gdy się rozlega głos dzwonu w staro-

żytnej, trzęsącej się wieży, gdy przez okna bluszczem okryte przedrą się światła z wnętrza kościoła, gdy śpiew starego i poetycznego psalmu wzniesie się przy organach, zda ci się być obecnym przebudzeniu ponurego zamku ze snów przeszłości, lub się znajdować w krainie *Lenory*, pośród urzeczywistnionej niemieckiej ballady. Jest w tem coś dziwnie tajemniczego i czarodziejskiego. Wewnątrz tysiąc świec płonie przed pożółtym obrazem Matki Boskiej, księża w komżach czytają psalmy i błogostawiają pocziwych Indyan z obnażoną piersią pobożnie powtarzających modlitwę, której się od swych księży nauczyli.

Łatwo ztąd wniesć to o czem nikt nie wątpi, że naród hiszpański był prawdziwie wielkim narodem, który po sobie zostawił gmachy i podania, a wszędzie gdzie przeszedł tak głęboko zaszczerpił własne życie, że ludy którym panował są i będą hiszpanami wbrew amerykańskiej, lub angielskiej chorągwi dziś u nich zatknętej... Cóż pozostanie z osad nowoczesnych... szczątki kolei żelaznych i zachowane w dziejach nazwisko ich założycieli — lecz nic więcej!

*Padre* (ksiądz), czyli jeśli wolicie *Basilio* \*) kwitnie w Panamie z całą okazałością, jak za dobrych czasów panowania jego królewskiej mości Ferdynanda III. króla wszech Hiszpanii i Indyi.

Nie jest to w istocie szczegół, który najwięcej wzbudził we mnie zachwycenia pomiędzy pamiątkami dawnej Hiszpanii, ale niemniej jest rysem charakterystycznym, uderzającym cudzoziemców.

---

\*) Osoba duchowna w Cyrliku Sewilskim.



*Paulre* w szczególnym swym ubiorze składającym się z trzewików ze srebrnymi sprzążkami, z jedwabnych pończoch silnie wciągniętych na nogi, z takichże spodni, z czarnej jedwabnej sutanny i koronkowych mankietów, przytwierdzonych złotymi łańcuchkami, z długiego, wlokącego się po ziemi płaszcza, i tradycyjnego, trójkątnego kapelusza, wydaje się jakby markizem z komedyi, znajdującym się przypadkiem na ulicy i paradyującym od niechcenia w wykwintnym stroju obok pospolitego paltota i mieszczańskiej bluzy. Postać tak wyjątkowa, z typem dawności tak starannie zachowanej, przechadzająca się wieczorem po ulicach, mimowolnie czyni wrażenie, zdaje się żywcem wyjęła ze starego jakiegoś romansu.

Zresztą, znajdują się jeszcze w Panama na jednej z błotnistych ulic ruiny klasztoru, który w historii wice-królestwa ważną grał rolę. W kaplicy ledwo nieledwo utrzymującej się, odbywa się i dziś nabożeństwo, jak za dobrych czasów jej młodości, chociaż słońce i deszcz od wieku blisko obrały sobie mieszkanie w jej murach, otwartych na wszystkie wiatry. W głębi tej kaplicy naprzeciw ołtarza można jeszcze spostrzedz celkę z potrójną żelazną kratą, z za której niegdyś mniszeczki słuchały Mszy świętej, zdala od obojętnego oka lub przynajmniej dla niego niewidzialne.

Nie jeden ponury dramat rozwijał się powoli w tej jaskini opasanej żelazem, na tej wilgotnej, kamiennej posadzce, zużytej od klęczenia... dziś śmierć i zapomnienie tamtędy przeszły. Wszędzie głucho i cicho, i ledwie wieczorami w czasie modlitwy cisza

ta grobowa, bywa niekiedy przerwana brzękiem różańca niedbale przebieranego ręką.

Wszędzie tam czas kościastą ręką wypisał: *Memento homo quia pulvis es et in pulvem reverteris!* (Pomnij człowiecze, że proch jesteś i w proch się obrócisz).

• I wychodzi się ztamtąd z sercem ściśnionem, myśląc jak błahą istotą jest człowiek. Ale na szczęście zaraz przy progu smutnej tej kajlicy rośnie zielona i bujna trawa; wiekowe drzewa zwieszają silne gałęzie nad zrujnowaną wieżyczką, ptaszki wesoło w gniazdeczkach śpiewają, słońce otacza nas ciepłem i jasnością swych promieni, a wszystko przypomina Stwórcę, pocieszyciela nędznej ludzkości.

Wycieczki moje wśród miasta i dumania przed każdym kawałem starego muru, zabrały mi dwa dni czasu. Przypomniałem że pora ruszać w drogę i kazałem przygotować konia na dzień następny.

W austerygudziem mieszkał, poznałem doktora \*\*\* z Tuluzy, człowieka z głęboką nauką i wielką praktyką; pytałem go o polecenia do Francyi.

— O dziękuję, odrzekł z gorzkim uśmiechem — nie mam już tam nikogo co by o mnie myślał .. ale będę korzystać z łaski pańskiej, aby napisać do kolegi, którego pan znajdziesz po drodze, jeżeli popłyniesz angielskim statkiem...

— Co to za statek angielski? — zapytałem.

— Jest to okręt kurierski wysp antylskich.

— Dążący wprost do Suthampton'u?

— Właśnie.

— Możesz więc swój list przygotować doktorze — wybieram ten parowiec.

— A o której wyjedziesz jutro?

— Kazałem mieć konia na pogotowiu o świcie — czy to zawcześnie?

— Nie, wcale, trzeba najmniej dnia całego aby się dostać do Kruceza, a że przed drogą spoczynek niezbędny, życzę panu dobrej nocy... o w pół do piątej przyjdę go obudzić.

Położyłem się, lecz daremnie usiłowałem zasnąć, tak byłem wzruszony radością, że wkrótce zmożę ostatnią przegrodę dzielącą mnie od Francyi, (gdyż dostawszy się na pokład angielskiego statku będę już prawie w Europie). Czekałem dnia z gorączkową niecierpliwością, która mi przypomniała pierwsze bezsenności dzieciństwa w wigilię Nowego Roku.

O naznaczonej godzinie wszedł doktor z zapaloną świecą szafranowego koloru.

— Sądzę żeś słowny, — rzekł dobywając zegarek.

— Niestychanie słowny!

— Ale przecież spałeś pan trochę?

— Przyznam się że nie nadto.

— Domyśliłbym się tego na sam widok pańskich oczu. Szczerze naprawimy to spożyciem dobrych, baranich kotletów i doskonałym czerwonym winem.

— Jakto chcesz mnie o tej porze traktować śniadaniem?

— Chyba że wolisz pan dostać gorączki. Jak widzę wyobrażasz sobie żeśmy we Francyi, pod najzdrowszym na świecie niebem, gdy pozwalasz sobie nie spać i chcesz odbyć dziewięćmiłową drogę z próżnym żołądkiem.

— To co innego doktorze... śniadajmy ile ci się podoba... lecz jakie dzisiaj powietrze?

— Prześliczne — za godzinę będzie ulewa i znowu będzie cudownie, a potem znowu ulewa i tak dalej aż do końca przyszłego miesiąca.

— Bodajto klimat Francyi!

— Nie sprzykrzyże ci się jeszcze?

— Daj mi radę, doktorze, jak trzeba się ubrać na drogę przez opłakany wasz przylądek?...

— Najlepiej byłoby nie ubierać się wcale, tak jak Indyanie, lecz że obyczaje nasze nie pozwalają nam tej wygody, za pomocą której moglibyśmy jak mieszkańcy lasów naśmiewać z deszczu i upału, należy się jak najmniej ubierać i najlżej jak można, to jest: w białe spodnie, taką kurtkę, *poncho ad libitum* i kapelusz słomiany — oto wszystko.

Spojrzałem na doktora, ubranie jego zupełnie z tem było zgodne, miał jeszcze przy sobie długi nóż strzelecki w skórzanej pochwie, był w bółach z ciemnego sukna, utrzymywanych powyżej kolan wełnianymi podwiązkami, z ogromnemi meksykańskimi ostrogami.

— Jedziesz ze mną doktorze? — rzekłem z wyrazem zadowolenia.

— Aż do *Pueblo*, odrzekł, bijąc pejcem po bocie, — mam tam biedaka chorego na gorączkę, który czeka tylko ostatnich moich odwiedzin żeby się wybrać w drogę...

— W jaką drogę?

— W ostateczną... ale śniadanie gotowe, zejdźmy na dół.

W pół godziny potem lekkim galopem wyjeżdżaliśmy z Panamy, podczas odgłosu dzwonów czternastu kościołów wzywających na Anioł Pański.

Niebo było czyste, powietrze świeże, droga równa, chociaż spłukana nocnym deszczem. Wkrótce przebyliśmy nadbrzeżną wysadzaną drogę, wiodącą od bram miasta do ostatnich domów przedmieścia. Dojechawszy do placyka znajdującego się w końcu tej drogi, doktor wstrzymał konia i rzekł:

— Dosyć tego, jedźmy stępo.

— Czemu doktorze? czy galop cię fatyguje?

— Mnie, odpowiedział z uśmiechem, — bynajmniej, i ja i koń mój przywykliśmy do galopu, to nasz zwykły sposób jazdy, ale z panem to co innego.

— Widzę, że mnie masz za złego jeźdźca.

— Ani trochę, pewien jestem że pan z łatwością trzydzieście mil od razu konno ujechać możesz, ale co kraj to obyczaj... co klimat to siły... Nie jesteśmy tu ani w Peru, ani w Chili, ani na wyspach Sandwickich, i to co tam było panu łatwem, a nawet korzystnem, tu mogłoby być szkodliwem...

— Jednak, doktorze, na tobie się to nie sprawdza, pomimo że dwa razy starszy jesteś ode mnie.

— Właśnie dla tego nie jest mi szkodliwem, tem bardziej że od lat dwudziestu mieszkam w Panamie; zresztą na drugiej stronie rzeki znajdzie się dróżka, która powstrzyma wszelkie galopowe zachcenia.

Wkrótce przybyliśmy do wąskiej ścieżki, zepsutej przez deszcze, tak, że dwa konie obok z ciężkościąby się przecisnęły; pomimo nazwania *drogi królewskiej*, jakie ta ścieżka nosi; konie nasze po brzuchy zapadały w błoto...

— A co? zapytał mię doktor ze złośliwym uśmiechem.

— Milutko! odrzekłem.



— Otoż tak będzie aż do Kruce, to jest, przez dziewięć mil.

— Kiedyż się więc tam dowlokę?

— Około 10-tój wieczorem.

— Doprawdy?

— Bez wątpienia.

— Zostałem więc haniebnie oszukany, zamiast konia sprzedano mi szkapę.

— O co za to, tobym nie przysiągł, a jednak chociażbyś pan miał moją *Pepitę*, najdzielniejszą klacz w Panamie, nie na wieleby się to przydało...

Po godzinie przykrej jazdy stępo, wjechaliśmy na dolinę gdzie się drogi rozchodziły. Doktor zatrzymał konia i podając mi zgrabnie złożony i zapieczętowany bilecik:

— Oto, — rzekł — list do kolegi mego w Santa-Marta, doktora Valentin, któremu pan podjąłeś się go doręczyć. Jest to bardzo odznaczający się człowiek, znajomość jego będzie zapewne panu miłą i jemu również będzie przyjemnie uścisnąć rękę rodaka.... Jeżeli tylko jeszcze żyje...

Doktor uśmiechnął się mówiąc te słowa, równie smutno jak to uczynił poprzedzającego wieczora, gdy go zapytałem o polecenie do Francyi.

— Jak dawno miałeś pan wiadomość o doktorze Valentin? zapytałem nieśmiało.

— Przez ostatnią pocztę dopiero dowiedziałem się o przybyciu jego do Santa-Marta.

— Więc zkądże te obawy?

— Ztąd, że w kraju gdzie panuje cholera, gorączka i inne zaraźliwe choroby, trzy tygodnie aż nadto

wystarczają do wygodnego przeprowadzenia na tamten świat.

— Jeżeli tak, sądę że zła gwiazda przyprowadziła doktora Valentin do Santa-Marta.

— Nie miał myśli tam osiąść, lecz powinność go zatrzymała.

— Jakaż to powinność?

— Cholera!.... dziwisz się pan, rzecz to jednak bardzo prosta; kiedy doktor Valentin przybył do Santa-Marta z zamiarem zatrzymania się tam tylko jedną dobę, cholera z taką siłą grasowała, że dwaj czy trzej starzy Eskulapowie miejscy padli jój ofiarą i wszyscy mieszkańcy wystawieni byli na pastwę zarazy bez wszelkich starań i leków. W takich okolicznościach postępowanie sumiennego doktora z góry jest wytknięte, cofać się byłoby podłością.

— Chociażby i tak, zawsze jednak poświęcenie to niemniej godne podziwienia.

— Znajdujesz to pan... więc się udaj do Brezylji, do Meksyku, do Autyllów, do Bourbon, słowem wszędzie gdzie jest gorączka, morowe powietrze, lub cholera, a spotkasz tam lekarza francuza, oddającego się całkiem pomocy bliźniego, którą pan tak podziwiasz. Teraz bywaj mi zdrów, życzę ci wszelkich pomyślności, przyjemnej podróży i szczęśliwego przybycia do Francji, do widzenia... na tamtym świecie.

Uściskaliśmy się serdecznie z przekonaniem, że to czynimy po raz ostatni; poczem doktor udał się na lewo, a ja zagłębiłem się w błotnistą ścieżkę na prawo i tak przerwała się nagle krótka nasza znajomość.

Około dziesiątej wieczorem, po całodziennych prze-

prawach przez wezbrane ruczaje i trzęsawiska, przybyłem do Indyjskiej wioski *Krucez*, gdzie dwa dni musiałem czekać na przybycie łodzi, za pomocą której miałem przepłynąć rzekę *Chagres*, aż do jej ujścia. Po dwóch dniach jakkolwiek przepędzonych w austeryi miejscowej, nazywającej się wspaniale Hotelem francuzkim, utrzymywanym rzeczywiście przez trzech francuzów, jedynych *białych* w *Krucez*, wsiadłem do łodzi długiej i wąskiej, kierowanej przez Indian zupełnie nagich, i popłynąłem szybko.

Druga ta część podróży przez międzymorze Panama, pod każdym względem bardziej zajmująca, zabiera od dwunastu godzin do trzech dni czasu przy najpomyślniejszej pogodzie, dwanaście godzin gdy się płynie z wodą, jakieśmy to czynili, trzy dni płynąc przeciwnie. Lecz podróż ta zdaje się krótką, bo chyba tylko bujna wyobraźnia potrafi przedstawić równie czarodziejskie obrazy jak te, które się ciągle zmieniają przed okiem płynącego po rzece *Chagres*. Te dziewicze lasy z drzewami łączącemi się u góry i tworzącemi jakby ogromną altanę, w pośród której prześlizga się rzeka podobna do olbrzymiego węża. Nieskończone głębie tych lasów zdają się prowadzić do wieczności, a przebiegając tę wielką i tajemniczą przyrodę, czuje się rękę Boga ciążącą nad sobą.

Zaledwie przed nocą, wśród ulewnego deszczu, zawinęliśmy do *Chagres*. Miasto zdawało się umarłem i tylko odgłos fali rozbijającej się o skały i łoskot grzmotów w oddaleniu przerywały ciszę.

Kilka mniejszych statków stało na kotwicy, a cztery wielkie parowce, zionące w porcie płomie-

niami i dymem wskazywały. żeśmy dosięgli krańca przylądku, kąpiącego się w Oceanie Atlantycznym.

Widoki tutaj równie dzikie i malownicze; natura równie silna i pierwotna; niebo groźne piorunami i burzą.

Nazajutrz o tej samej porze daleko już byłem od *Chagres* i tą razą ostatecznie dążyłem do Europy na wspaniałym angielskim statku, gdzie tylko z dzieśiątek było podróźnych, z któremi wspólnie używałem wszelkich słodczy nowoczesnych wygódek.

Powrót do europejskich zwyczajów po długim pobycie w Nowym Świecie dziwnie jest miłym, a przejście to tak było dla mnie nagłe, że przebudzając się na statku *Tay* w eleganckiej kajucie, zdawało mi się żem nigdy Europy nie opuszczał, wspomnienie zaś odbytej dnia poprzedzającego podróży, zniknęło w mglistej dali i w sen się dziwny zmieniło. Powoli jednak pamięć mi wróciła, przypomniałem sobie polecenie doktora do jego kolegi. Uprosiłem tedy kapitana żeby mi pozwolił dostać się na brzeg hacikiem odpływającym do Santa-Marta po tameczny pakunek; uspokojony oto zupełnie, oddałem się rozkosznemu umysłowemu *farniente*, które prócz wielu innych ponęt, dozwalało mi jeszcze małego złudzenia: uroiłem sobie żem w istocie nigdy Europy nie opuścił i myślą tą okryłem się cały, jak miękkim podróźnem ubraniem, z mocnem postanowieniem nie zrzucania go aż po przybyciu na ląd stały.

Zawinęliśmy nareszcie do Santa-Marta, oddawszy pierwszej hołd *Kartaginie*, tej dawnej potędze hiszpańskiej, której działa angielskie nawet niegdyś prze-módsz nie mogły i tylko wieki zdołały zamienić w rui-

nę. Było to już po zachodzie słońca, a że sternik nie zjawił się na nasze wezwanie, musieliśmy się wstrzymać do następnego rana, aby wpłynąć do portu.

W każdej innej okoliczności i pomimo spóźnionej pory, kapitan *Tay'u* wysłałby zaraz bacik z urzędukiem pocztowym dla wymiany korespondencji, a po przyjęciu pakunku, w dalsząby się puścił drogę, ale dowiedziawszy się w Kartaginie, że ładunek złota czeka na okręt jego w Santa Marta, odłożył to zatrudnienie na dzień następny, jako wymagające kilka godzin czasu.

Niebo było dosyć czyste, ale miasto okryte gęstą mgłą, jakby żałobną zasłoną. Port był prawie pusty, nieliczne statki, stojące w nim na kotwicach, zdawały się rozebrane, łodzie zaś i szalupy wyciągnięte na piasek, ludzie na brzegu zaledwie się kiedy niekiedy ukazywali.

Koło północy miasto się obudziło, głos dzwonów zaczął się rozlegać dziwnie smutno i zcicha, a liczne ognie błysnęły jednocześnie w różnych stronach. Uczepieni na maszlach, przyglądaliśmy się ciekawie dziwnemu widokowi: zdawało się nam spostrzegać jakieś ponure i tajemnicze processye, które jak w dawnych legendach niemieckich ożyły nagle przy ostatniem uderzeniu dwunastej godziny.... Wstrzymywaliśmy oddech, przysłuchiwalismy się ze skupionym duchem, a wiatr przynosił nam czasami od brzegu jakby oddalone echo kościelnych śpiewów.

— Mości Wiljamsie! rzekł w tej chwili starszy majtek kierujący rudlem do młodego chłopca, który mu się nie zdawał zbyt pilnym, — czy nie mógłbyś



mi powiedzieć jak nazywają ten wielki ogród, otoczony murem, który tam widać.

— Jest to cmentarz.

— A tę processyę przechodzącą z latarniami przez ulicę?

— Pogrzebem.

— Zgadłeś synku, masz oczy i dobrze ich używasz, będzie ci to pożytecznem na świecie, nie posadzą cię konno na drąg okrętowy.

Wszystko znowu na okręcie ucichło; wiedzieliśmy już co znaczył dziwny widok, który mieliśmy przed oczami, a który przez chwilę tak mocno nas zajmował. Cholera panowała w Santa-Marta. O świecie zjawił się sternik, a po godzinie zająłem się odszukaniem doktora Valentin.

Mieszkał on sam jeden w ogromnym domu, podobnym do austeryi, z bastyonami jakby u fortecy, położonym w końcu miasta na wzgórzu, co czyniło z niego miejsce spostrzeżeń.

Służący, mulat, otworzył mi drzwi i prosił o poczekanie na pana, który już był wyszedł, ale miał wrócić za kilka minut. Zgodziłem się na to i zostałem wprowadzony do gabinetu doktora

*Styl to człowiek*, powiedział Biufon, a po nim nie jeden to powtórzył, gdyż jest w tem prawda, albo przynajmniej podobieństwo do niej. Żadnej jednak nie podlega wątpliwości, że łatwo poznać człowieka po najmniejszym jego uczynku, po najmniej znaczącem poruszeniu, po ubiorze i mieszkaniu, a po tych ostatnich szczegółach łatwiej może niż po innych. Gruntownie o tem przekonany zacząłem badać wewnątrz gabinetu doktora Valentin, aby odgadnąć

z kim będę mieć do czynienia, lecz to prędzej dla przepędzenia czasu niż przez ciekawość. Pokój ten był obszerny, kwadratowy, podłoga wyłożona marmurem, sufit sklepiiony jak w kościele; światło i powietrze wchodziło przez wysokie gotyckie okno, zwrócone ku północy, ściany tynkowane wapnem. Umeblowanie odpowiadało powadze miejsca, znać że wszystkie sprzęty pochodziły wprost z Hiszpanii, gdzie musiały służyć jakiemuś staremu hidalgo przeszłych wieków; doktor Valentin dodał tylko *hamak* słomiany, cały arsenał fajek i narzędzi chirurgicznych, dwie półki obciążone lekarskimi dziełami, pomiędzy którymi, *Rozmyślenia* Lamartina, jedyny stanowiły wyjątek, w końcu portret przykryty czarną zasłoną; pod nim stał stolik do pisania, zarzucony otwartymi książkami, ćwiartkami papieru, lekarstwami w paczkach i flaszeczkach. Ale najwięcej mnie uderzyła elegancka szkatułka, ozdobiona hrabiowską koroną i ewangeliją z takimże herbem na bogatej oprawie, gotyckimi czcionkami drukowana. Czy te przedmioty były własnością doktora Valentina? i jakim sposobem do niego należały? oto zapytania, które zadawałem sobie i jak wszyscy co mają słabość do rzeczy nadzwyczajnych, mocno wierzyłem, że ta zagadka rozwiąże mi się jak najdziwniejszym sposobem.

Szczęściem w tej chwili drzwi się otworzyły i wejście doktora położyło koniec wszystkim moim domysłom. Jedno spojrzenie wystarczyło mi do poznania w nim hrabiego \*\*\* sławnego, paryskiego eleganta z ostatnich czasów panowania Ludwika-Filipa. Spotykałem go często u księżnej S.... z którą wtenczas zostawał w ścisłych stosunkach.

— Cóż to za dziwny traf! — wykrzyknął, witając mnie czule, gdy sobie mnie przypomniał. — Jeżeli się nie mylę, widzieliśmy się ostatni raz w Paryżu na otwarciu historycznego teatru i wtedy ani jeden ani drugi, nie myśleliśmy jeszcze o przebyciu oceanu....

— Bo też i o rewolucji jeszcze się nam ani śniło.

— Rewolucja.... rzekł od niechcienia.... jużem był o niej zapomniawszy.

— A czyż nie ona pana tu zagnała? zapytałem mimowolnie.

— Rewolucja? — powtórzył z równem rozłargnieniem, — nie, wcale... Lecz nie pojmujesz pan mojej metamorfozy? nieprawdaż?

— Wyznam że nic prawie.

— Więc się w kilku słowach wytłómaczę. Straszliwie się zaczynałem nudzić w Paryżu, gdy sobie razem przypomniałem, że kiedyś uczyłem się medycyny i miałem od dawna patent na doktora; w skutek tego przypomnienia i śmiertelnej nudy, tydzień potem, płynąłem z Hawru do Ameryki środkowej, gdzie mnie pan teraz widzisz.

Przez grzeczność dla doktora udałem że wierzę; po czym dla zmienienia przedmiotu rozmowy, oddałem mu list od jego kolegi z Panamy....

— Czy wolno przeczytać? — zapytał zrywając pieczętkę.

— Ale jakże! — bardzo proszę....

— Przepraszam, — mówił dalej z uśmiechem — ale

to są interesa, których w teraźniejszym czasie na dzień następny odkładać nie można.... I zaczął czytać, ale spokojnie, jak gdyby przeciwnie, nie tylko na dzień następny, ale i na rok przyszły śmiało rachował.

Korzystałem z tego czasu, aby mu się lepiej przypatrzeć. Miał około lat trzydziestu, zgrabny w ruchach, kształtnie zbudowany, wyrazu twarzy dziwnie szlachetnego i dowcipnego, słowem był takim, jakim go znałem dawniej, to jest pod każdym względem kompletnie przyzwoitym człowiekiem. Ale przypatrzwszy się bliżej, można było spostrzedz w kruczych włosach gdzieś niegdzie i siwe, przekonać się, że białość płci jego była bladością, urok spojrzenia... smutkiem. Znać było, że uśmiech jego był przymuszony i że pogoda rozlana na twarzy była tylko maską pokrywającą nieszczęście.... Z tem wszystkiem doktor Valentin przyjmował mnie u siebie z największą uprzejmością i grzecznością prawdziwie paryską. Rzekłbyś że nigdy nie był opuścił wykwinłego mieszkania swego w *Cite-d'Antin*, gdy tak dobrze zachował w sposobie obojętności i w powierchowności tę zupełną swobodę ludzi wielkiego świata, której nauczyć i nadać nie można.

Mulat służący nakrył do stołu w altance ocienionej kwitnącemi roślinami i zastawił śniadanie bardzo skromne, które jednak wydało mi się doskonałem, gdyż miłe towarzystwo gospodarza pokrywało wszelkie niedostatki. Pod koniec śniadania doktor spojrzął na zegarek i zdawał się zadziwiony, że tak już było późno.

— Pacheko, — zawołał do służącego, który nam nalewał kawę, — czy nikt po mnie nie przysyłał?

— Nikt, Senor, — odpowiedział Mulat.

— To mię dziwi, — czyliby przypadkiem burza dzisiejsza uniosła z sobą cholere?...

Gdy to mówił, dziesięcioletnie dziecko bawiące się w sąsiednim ogrodzie upadło raptem, jakby rażone piorunem. Na krzyk, który wydało padając, nadbiegła matka, podjęła je i uniosła ku domowi.... lecz zaledwie zrobiła kilka kroków, zachwiała się jakby była pijaną, i osunęła się na ziemię prawie u nóg naszych. Podskoczyliśmy do niej, łamiąc cienką barjerę, która nas rozdzielała.

— Pozwol pan! — rzekł mi żywo doktor Valentin, biorąc na ręce i matkę i syna, — to moja rzecz....

Chciałem nalegać aby przyjął moją pomoc, ale stanowczo mi odmówił; musiałem więc chcąc niechcąc zostać w nieczynności.

— Zaręczam panu, że mi zrobisz daleko większą przyjemność, oczekując mnie cierpliwie w moim gabinecie, niż towarzysząc mi przy chorych.... usługam, gdyż w tych słowach objawił się lekarz, a wszyscy prawie lekarze są despotami, przed których wolą ugiąć się trzeba....

W kwadrans potem, powrócił tak spokojny jakby nic nie zaszło; uważałem tylko że pobladł trochę.

— A co? — zapytałem go żywo.

— Już po wszystkim! — odrzekł krótko.

Zrozumiałem i zamilkłem. Doktor spojrzał na termometr umieszczony przy oknie, wylał na podłogę



płyn jakiś z flaszeczki, którą w ręku trzymał, potem obracając się do mnie rzekł:

— Bardzo mnie miło być z panem i chciałbym jak najdłużej korzystać z jego towarzystwa, ale powietrze dzisiejsze nie dobrą, radzę więc panu powracać na okręt....

— Jak sobie chcesz doktorze....

— Więc idźmy, odprowadzę pana do portu.

— Jak widzę boisz się abym nie powiększył liczby jego pacjentów.

— Być to może

— A o siebie się pan nie trworzysz?

— O siebie? — rzekł niedbale, — to co innego.... Obecność moja tutaj niezbędna. Bóg to widzi.... i jeżeli padnę ofiarą tej plagi.... to zapewne ostatni, jak dowódzca, którego szczędzą karłacze, a który po bitwie ginie od kuli.

— Ubolewam nad tobą doktorze równie szczerze, jak cię wielbię....

— Zasługuję zaprawdę na współczucie, lecz bynajmniej nie na uwielbienie.

— W tém podobnyś pan zupełnie do swego kolegi w Panamie, który uważa za rzecz zwyczajną iż doktor idzie przeciw śmierci i naraża się na nią....

— Bez wątpienia, jest to równie jak żołnierza, pierwszym naszym obowiązkiem....

— Zgoda, ale ciężki i wzniosły obowiązek wzniosłe wypełniony, najwznioslejszym jest czynem....

— Chyba chcesz powiedzieć — najrzadszym.

— Rzadkim zaiste, i właśnie dla tego zaszczytnym!

— Posłuchaj pan! — rzekł doktor prędko i z głębokim uczuciem, — nie chcę abyś miał przesadzone o mojej wartości wyobrażenie, a nawet chociażby trochę lepsze niż na to zasługuję: nie przybyłem tu z miłości dla mojej sztuki, albo z poświęcenia się dla ludzkości, słowem nie z tych wzniosłych i szczytnych powodów o których pan myślisz. . . .

— Z jakich więc? bo nie sądzę żeby to mogło nastąpić w skutek znudzenia i niechęci do zatrudnień jak to mi przed chwilą chciałeś wmówić. . . .

— Słusznieś mi pan wtedy nie uwierzył, — rzekł doktor zmieszanym głosem, — bo jestem tu tylko dla tego. . . .

To mówiąc usunął z portretu, który pierwiej spostrzegłem, czarną zasłonę, zakrywającą go do połowy. Ujrzałem wtedy przed sobą najcudowniejsze zjawisko jakie sobie tylko można wyobrazić: dziewczę zaledwie ośmnastoletnią, świeżą jak wiosna, z włosami koloru dojrziałych kłosów — piękność równie foremną, jak uderzającą wdziękiem. Nie była to jedna z tych bohaterek bladych i znużonych, jakie łatwo spotkać w powieściach i na stalugach dzisiejszych malarzy — dla tego też właśnie tak mnie jej widok zachwycił. Z prądiwą rozkoszą przyglądałem się téj postaci, bo widziałem w niej młodość, świeżość, zdrowie, wdzięk i niewinność. Była to prawdziwa córka Goeth'ego *Gretchen z Fausta*, skończony typ niemieckiej dziewczycy: oko niebieskiego błękitu, pełne dziwnej skromności, zatopione w morzu uczucia, na ustach uśmiech pełen powabu; lecz najwięcej uderzał w téj twarzy wyraz łagodności i anielskiej dobroci.

Napawałem się świeżością tego widoku, jakby wonią wiosennych kwiatów; przez kilka minut stałem zdumiony przed tym czarodziejskim obrazem, lecz gdy się obróciłem do doktora, aby mu powinszować jego własności, spostrzegłem że bladość jego zwyczajna zmieniła się w śmiertelną, a łzy rześiste, daremnie powstrzymywane, lały się strumieniami po twarzy. Drżącą ze wzruszenia ręką zaciągnął na portret czarną krepe i gwałtownie chwytając mię za ramie rzekł: — Jedźmy!

Gdyśmy szli przez miasto wśród strasznego upału, razita nas boleśnie grobowa cisza panująca dokoła; ulice były zupełnie puste, jakiś niewypowiedziany ciężar i tęsknota opanowały mię nagle—mysli ścisnęły się w głębi serca, słowa zamarły na ustach. Czułem potrzebę wynurzenia doktorowi wdzięczności za pełne serca przyjęcie i oświadczenia współczucia dla jego cierpień, które instynktowo odgadłem; ale daremnie szukałem na to słów, nie mogłem się na nie zdobyć, szedłem jakby pijany, wzrok mi się zamglił, zdawało się że śpię na jawie.

Gdy doszliśmy do portu zimny wiatr od morza rozproszył nieco to przykre usposobienie; korzystałem z tej chwili aby w niedostatku wymowniejszych oznak uściśnąć czule rękę doktora Valentin.

— Dziękuję!—rzekł zgadując myśl moją i oddając mi uściśnienie, a potem dorzucił:

— Nie pojmuję pół-zwierzeń, gdyż wydają mi się podobnemi do kobiet cnotliwych i skromnych, które na wpół tylko oddają się swoim kochankom... jestem prędjéj zwolennikiem ostateczności. Wszystko

albo nic. To mówiąc, doktor wręczył mi szkatułkę, która tak mnie zajęła na wstępie do jego mieszkania, zabrał ją był z sobą chociaż się tego nieomyśliłem.

— W téj szkatułce, — rzekł krótko i przerywanym głosem jakby chciał co najprędzej skończyć, — znajdziesz pan opisanie życia mego od chwili naszego spotkania w teatrze historycznym aż do dnia dzisiejszego. Rękopism zawiera około dwiestu stronic, które w czasie podróży mojej napisałem, posłuży to może panu za przedmiot do powieści; wprowadzam tam siebie jakby obcą osobę, to jest, z najzupełniejszą swobodą; ponieważ cię to zajmuje, dowiesz się pan dla czego obrałem schronienie w najniezdrowszych krajach i czemu szczególnie ukochałem to miejsce i jego nazwanie.

Nic na to nie odrzekłem, milczenie zdawało mi się najlepszą odpowiedzią, uścisnąłem go tylko po bratersku i wskoczyłem do czółna, które na mnie czekało aby odbić od brzegu.

— Żegnam cię, — rzekł do mnie doktor.

— Do widzenia!

— Nie, — powtórzył z wyrazem którego znaczenia nie pojąłem od razu, — żegnam cię.

Tegoż wieczora zachorowałem na gorączkę i zaledwie po sześciu tygodniach leżenia, pierwszy raz wstałem w *San-Tomas*.

W czasie przymuszonego pobytu mego w tém mieście, jako konwalescent, przeczytałem rękopism doktora Valentin pod tytułem *Marta*, zawierający pełne prostoty i czułości zdarzenia.

Kiedys je pani opowiem, lecz dziś muszę się zatrzymać; podróż skończona, a wzięłabyś mnie za złe gdybym ją dłużej zatrzymał zdala od Paryża w czasie, w którym wszyscy tam wracają.

Żegnam panię — a raczej do widzenia.

**K O N I E C .**







